Jerzy Radziwiłowicz: Wstałem i okazało się, że to nie to samo, co kiedyś

▶28

Bez kierunku zwiedzania. Byliśmy w muzeum przyszłości

▶34

WYSOKIE OBCASY

Mali twardziele. Jak krzywdzimy chłopców

FOT. FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL, DAVID PARRY/ V&A

MAGAZYN wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Amal Clooney

Po stronie tych, co nie mają głosu

▶23

FOT. JEAN-CHRISTOPHE BOTT/PAP/EPA

GAZETA wyborcza
Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348198
ISSN 0860-908X
9 770860 908167 03>

Nowi ludzie Brauna. „Chodzi i zbiera pokemony” ▶7

Rodzice gąbki, ryby, rekiny, delfiny. Kto wychowuje najlepiej? ▶26

Najsampierw było: „Day ut ia pobrusa a ti poziwai” ▶46

Kod dostępu do Wyborcza.pl na weekend

Sobota – czwartek, 17-22 stycznia 2026 | Redaktor prowadzący Andrzej Kulasek | Cena gazety 11,99 zł (w tym 8% VAT) | nr 13.11112, 1 Nakład 75 tys. + 317 tys. prenumerat cyfrowych

eprasa.pl 828ea60232

Agnieszka Kublik

Miało być win-win, jest lose-lose

Kto pamięta początek 2018 roku i aferę z premiami dla rządu Beaty Szydło? PiS stracił w sondażach aż 12 punktów proc. To był potężny spadek – z 40 do 28 procent – i pierwszy taki, od kiedy PiS wygrał jesienią 2015 roku wybory parlamentarne.

Ministrowie dostali po kilkadziesiąt tysięcy, najwięcej Mariusz Błaszczak – 82 tysiące. Ale Kaczyńskiemu z początku się te premie podobały. Słynne słowa Szydło, że „za ciężką, uczciwą pracę te pieniądze im się po prostu należały!", skomentował z zachwytem, że pokazała „pazurki". Ale „ludowa premierka" drapnęła zbyt mocno, bo również swoich wyborców. Kaczyński to pojął, dopiero gdy spojrzał na wyniki sondaży. „Vox populi, vox Dei", więc nieformalny premieroprezydent nakazał ministrom forsę oddać. Partia straty odrobiła.

Teraz w PiS marzą o takich spadkach i jakimkolwiek odrobieniu strat. Sondażowe słupki spadają im w takim tempie, w jakim rosną KO oraz Koronie Brauna. Średnio PiS ma niecałe 28 proc. W poniedziałek była już jasność, że Zbigniew Ziobro z rodziną dał dyla na Węgry przed 26 zarzutami, m.in., utworzenia i kierowania grupą przestępczą. Grupa, czyli jego podwładni, mieli ukraść z Funduszu Sprawiedliwości ponad 150 mln.

Ziobro i wierna mu grupka byłych wspólników w łamaniu prawa zapewne mają dowody przeciwko prezesowi PiS i jego ludziom

Eks-minister sprawiedliwości i prokurator generalny zapewniał, że nigdzie nie ucieknie. Ale Polacy mu nie uwierzyli. Jeszcze przed azylem u Orbana sondaże były bezlitosne: 80 proc. badanych w połowie grudnia było pewnych, że Ziobro do Polski nie wróci. Tak go oceniło aż 82 proc. wyborców PiS; 72 proc. uważało, że Ziobro powinien wrócić, skoro prokuratura chce mu postawić zarzuty, nawet gdyby wiązało się to z ryzykiem zatrzymania; w listopadzie 64 proc. źle oceniło decyzję Ziobry o wyjeździe, gdy toczy się wobec niego postępowanie. 83 proc. było zdania, że Ziobro powinien wrócić i stanąć przed sądem; 60 proc. wyjazd Ziobry za granicę nazwało problemem Kaczyńskiego.

Więc cóż powinien uczynić Kaczyński? Jak rozwiązać problem? Gdyby posłuchał głosu ludu, powinien poświęcić Ziobrę – potępić jego ucieczkę, kazać wracać, a jeśli odmówi, wywalić z partii.

Ziobro i malejąca jeszcze mu wierna grupka byłych wspólników w łamaniu prawa zapewne mają dowody przeciwko prezesowi PiS i jego ludziom. Nagrania, notatki, dokumenty. Ileż prokuratura by za to dała? Afera pegasusowa, wizowa, kopertowa, dwie wieże... Mogłyby pojawić się nowe zarzuty, akty oskarżenia. A w ślad za nimi większe tąpnięcie w poparciu PiS niż podczas skandalu z ministerialnymi premiami. Dużo większe.

Więc Kaczyńskiemu bardziej może się opłacać popieranie przegranego polityka, który podłożył pod partię ileś tykających bomb zegarowych i budzi irytację najwierniejszych wyborców.

Tak źle i tak niedobrze. Po raz pierwszy od wielu, wielu lat Kaczyński zawsze przegrywa. Miało być *win-win*, jest *lose-lose*. ●

Andrzej rysuje

Bandera na maszt!
Wodowanie w Gdańsku

FOT. MICHAŁ RYNIAK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Okręt rozpoznania radioelektronicznego wodowany w gdańskiej stoczni Remontowa Shipbuilding S.A., będzie drugą z serii takich jednostek. Pierwszą był ORP „Jerzy Różycki". Patronem nowego okrętu jest Henryk Zygalski, matematyk i kryptolog, który w latach 30. XX w. przyczynił się do złamania niemieckiej Enigmy.

Kod dostępu do Wyborcza.pl

Liczba tygodnia

1374

tylu osobom w 2025 roku postawiono zarzuty karne Centralne Biuro Zwalczania Cyberprzestępczości, to wzrost o ok. 30 proc. w porównaniu z 2024 r.

Naukowcy zbadali blisko 500 gatunków
Skąd się biorą zachowania homoseksualne

Jeszcze niedawno uważane były za nienaturalną aberrację, bo nie prowadzą do przekazania życia. A zachowania homoseksualne są dość powszechne. Naukowcy wykazali ich występowanie u ponad 1,5 tys. gatunków zwierząt: od bezkręgowców po kręgowce (w tym ludzi).

Zachowań nie należy mylić z orientacją homoseksualną. W przeciwieństwie do niej są bowiem zjawiskiem sporadycznym i zależnym od sytuacji.

Ostatnio badacze z Imperial College w Londynie przyjrzeli się owej „sytuacji". Pod lupę wzięli aż 491 gatunków ssaków naczelnych (poza ludźmi). Zachowania seksualne znaleźli u 59, przy czym u 23 zachowania powtarzały się. Z badań wynika, że o zachowania homoseksualne łatwiej u gatunków zamieszkujących trudne lub suche ekosystemy, w których brakuje pokarmu oraz poważnie zagrożonych przez drapieżniki (kotawce sawannowe). Częściej poddają się im gatunki o mniejszych rozmiarach, a także te, u których występuje znaczna różnica wielkości pomiędzy płciami (goryle górskie). Łatwiej ulegają im gatunki długowieczne (szympansy), są też popularne u ssaków naczelnych, u których występuje ostra hierarchia (pawiany). Analiza pokazuje więc, że zachowania homoseksualne to złożona cecha – niekoniecznie bezpośrednio adaptacyjna (przydatna), ale będąca wynikiem kontekstu. Według autorów powszechność zjawiska u ssaków naczelnych może wskazywać na przyczyny jego pojawienia się także u naszych przodków oraz przyczyny jego występowania we współczesnych ludzkich populacjach.

FOT. HANNEKE WETZER/SHUTTERSTOCK

Badania opublikowało „Nature Ecology & Evolution". ●

Tomasz Ulanowski

Nie można dawać zawodnikom tak dużej władzy. Nie sposób kontrolować szatni, jeśli klub zawsze staje po stronie piłkarzy i kłóci się z trenerem o decyzje sportowe

XABI ALONSO

tymi słowami, zdaniem hiszpańskich dziennikarzy z radia Cadena SER, miał zwrócić się Xabi Alonso, szkoleniowiec Realu Madryt, do prezesa klubu Florentino Pereza. Alonso został zwolniony po porażce z Barceloną 2:3 w Superpucharze Hiszpanii.

FOT. REUTERS/VINCENT WEST

2 RP

eprasa.pl 828ea60232

Zamiast postanowień noworocznych

Jeśli zamierzamy „odchudzić to tłuste cielsko", nic z tych planów nie wyjdzie.

DOROTA WODECKA: Jakie ma pani postanowienia noworoczne?
DR ANNA PALUSZAK, PSYCHOLOŻKA I PSYCHOTERAPEUTKA: Nie mam żadnych.

Jak to?
– Nie lubię postanowień. Są jak treść chroniąca nas przed poczuciem żałoby, pożegnania, a przede wszystkim poczucia niepewności.

Co złego w tym, żeby planować swoje życie choćby na rok i unikać niepewności?
– Oczywiście, że nie ma w tym nic złego, każdy ma prawo, aby przeżyć swoje życie tak, jak wybiera. Ja się zastanawiam, jaką wartość niosą ze sobą te uczucia, których unikamy, w tym wypadku niepewność. Podejrzewam, że pani i ja należymy do klasy uprzywilejowanej, mamy dostęp do różnych regulatorów nastroju i umiemy unikać niechcianych emocji. Kiedyś to było niemożliwe, a dla niektórych ludzi nadal jest, co pewnie umożliwia im przeżycie w pełni rytuału przejścia, razem z niepewnością.

W pełni, czyli jak?
– Rytuał przejścia według Arnolda van Gennepa składa się z trzech faz: zamknięcia starego, progu, zaproszenia nowego. W praktyce proponuję pobyć trochę ze sobą, bez telefonu, co ważne, bo świat musi na chwilę zniknąć, i zapytać siebie, co było naprawdę trudne w minionym roku, co pozostało niedokończone, z czym się żegnamy. Sensem psychologicznym tej fazy jest żałoba po czasie, który minął. W kolejnej pozwólmy sobie doświadczyć momentu zawieszenia.

I to jest próg, tak?
– Tak. Wtedy można sobie pozwolić nie wiedzieć, co będzie i kim będziemy. To najważniejsza część rytuału, a dziś prawie zawsze pomijana. Bez zgody na niepewność nie ma prawdziwego początku. A kiedy już ją przyjmiemy, można zaprosić do swojego życia jakość, za którą tęsknimy.

Nie rozumiem.
– Na przykład powiedzieć sobie, że w tym roku zapraszam łagodność albo odwagę bycia w relacji. Nie chodzi o kontrolę przyszłości, lecz otwarcie przestrzeni. Kiedy robimy listę postanowień noworocznych, mylimy „zaproszenie nowego" z projektem. To nie nowy początek, tylko kontrola ciągłości.

Dlaczego bez zgody na niepewność nie ma nowego początku?
– Kiedy zgadzamy się czuć niepewność, zdajemy się na proces. Przywołam tu postać Victora Frankla, austriackiego psychiatry pochodzenia żydowskiego, który uważał, że znalezienie sensu życia jest jedną z podstawowych potrzeb człowieka. W 1941 dostał wizę do USA, ale został w Austrii, jego bliscy nie mogli bowiem z nim wyjechać. Rok później on, jego ciężarna żona, brat i rodzice trafili do obozu. Jego cała rodzina została zamordowana, ale on pracował wśród więźniów, próbując zapobiegać samobójstwom. Większość filozofii sensu powstała w ciszy bezpiecznych gabinetów. Frankl rozpoznał sens tam, gdzie powinien on zniknąć, w świecie, który się rozpadł. Jego zdaniem sensu nie można ustanawiać czy projektować, bo jest on odpowiedzią na konkretną sytuację. Tymczasem my traktujemy często sens jak plan, wizję, decyzję woli, coś, co „muszę sobie nadać". Frankl odwraca to myślenie.

To nie człowiek pyta życie o sens. To życie pyta człowieka – i czeka na odpowiedź. Można mu odpowiedzieć na trzy sposoby.
Przez działanie, czyli reakcję na to, co jest uczciwie do zrobienia: przez relację i doświadczenie, czyli kogo lub co mogę zobaczyć, pokochać, przyjąć lub co mogę naprawdę przeżyć; i można mu odpowiedzieć przez postawę wobec tego, czego nie mogę zmienić.

To wydaje mi się najtrudniejsze.
– Rzeczywiście. Ale można sobie wtedy postawić pytanie: jakim człowiekiem jestem wobec tego, co mnie spotyka? Nawet w sytuacji bez wyjścia pozostaje wolność odpowiedzi.

Mniej więcej wiemy, kim jesteśmy
– Ale czy nie jest ekscytujące pomyśleć: nie wiem kim jestem? Kim się zaraz okażę?

Trudno mi się zgodzić, że postanowienie typu „schudnę, nauczę się chińskiego" nie są celowe, bo to, co robię, ma być odpowiedzią na to, co przynosi życie.
– Oczywiście, że są celowe, ale to, czy mają szanse na powodzenie, zależy od tego, jak się z ich realizacją czuję na co dzień, a nie w chwili planowania. Bo już samo planowanie uwalnia dopaminę, co poprawia nasz nastrój. Potem może być trudniej.

Jeśli w naszej wewnętrznej narracji zamierzamy „odchudzić to tłuste cielsko", to pewnie nic z tych planów nie wyjdzie. Ale jeśli chcemy to ciało ukochać i zadbać o nie jak o najwierniejszego przyjaciela, to może się udać.

Motywujemy się, źle myśląc o sobie?
– Bardzo prawdopodobne, że zarówno motywacja, jak i postanowienie pochodzą od naszej wewnętrznej instancji rodzica, który uważa, że tak będzie dla nas lepiej.

Jak nie utknąć w takiej narracji?
– Moglibyśmy na przykład zauważyć, że bycie „nie dość" nie jest prawdą obiektywną, nasze postanowienie, by być lepszym, jest kolejną próbą zasłużenia sobie na uznanie taty, uwagę czy miłość mamy. Ciekawym jest zobaczyć, jak wiele z tego, co mówimy złego o sobie, pochodzi od naszych opiekunów, którzy, kiedy to myśleli, byli często młodsi i mniej dojrzali niż my teraz. „Nie dasz sobie rady na medycynie. Musisz się bardziej starać. Zawiodłeś mnie. Nic z ciebie nie będzie".
Kiedy zdamy sobie sprawę, że nasi rodzice, których w dzieciństwie uważamy za wszechwiedzących i wszechpotężnych bogów, to zwyczajni ludzie, którzy ze swoim bagażem mogli być tylko tacy, jacy byli, pojawia się interesująca przestrzeń na nową, własną narrację. Jakby to było powiedzieć do siebie: „To, jaka jesteś, jest efektem wszystkiego, co wydarzyło się w życiu twoim i twoich bliskich. Jesteś najlepsza, jaka mogłaś być. Jak teraz masz ochotę się o siebie zatroszczyć?". ●

• **Cała rozmowa ▶ Wyborcza.pl/magazyn**

Dr Anna Paluszak

• psycholożka i psychoterapeutka. Autorka książek: „Mój przyjaciel lęk", „Ścieżki miłości. O tym, jak zbudować trwałą i szczęśliwą relację" oraz „Uwikłani w rodzinne schematy. O tym, jak dzieciństwo wpływa na dorosłość" (obie z Jackiem Rydlewskim).

REKLAMA Kraj/34413559

2 posiłki dziennie

Fascynująca podróż do kraju, w którym tysiącletnie tradycje i religijne rytuały harmonijnie współistnieją z pulsującym rytmem nowoczesnych metropolii.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy. **Dz. 2** Przylot do Tajpej. Zakwaterowanie w hotelu i kolacja powitalna. **Dz. 3** Tajpej. Zwiedzanie miasta: Muzeum Narodowe, Hala Pamięci Czang Kaj-szeka i wieżowiec Taipei 101. **Dz. 4** Tajpej – Taichung. Szybka kolej, rezydencja Wufenglin i nocny targ Feng Chia. **Dz. 5** Taichung – Jezioro Słońca i Księżyca. Świątynia Wenwu i rejs po jeziorze Sun Moon. **Dz. 6** Jezioro Słońca i Księżyca – Tainan - Kaohsiung. Wycieczka po Tainanie: ulica Anping, starożytny fort i lokalny targ. **Dz. 7** Kaohsiung. Największy posąg Buddy na Tajwanie. Wizyta w lokalnej społeczności i warsztacie parasoli papierowych. **Dz. 8** Kaohsiung – Taitung. Wizyta w dzielnicy artystycznej Pier-2 i na farmie kakao. **Dz. 9** Taitung – Hualien. Wycieczka rowerowa przez pola ryżowe i wizyta w muzeum Bento. **Dz. 10** Hualien – Yilan – Tajpej. Punkt widokowy Qingshui, lokalny obiad i plantacje herbaty. **Dz. 11** Tajpej. Czas wolny lub fakultatywna wycieczka do Pingxi. **Dz. 12** Wylot z Tajpej do Warszawy. **Dz. 13** Powrót do Warszawy.

13 dni | Wyloty z Warszawy 29/03, 01/11 2026

od 15.998,–

Niezwykła podróż po Bułgarii i Rumunii

Odkryj pełne tajemnic Karpaty, malownicze wioski, średniowieczne miasta oraz zachwycającą przyrodę i odwiedź Siedmiogród gdzie legenda o Drakuli jest wciąż żywa.

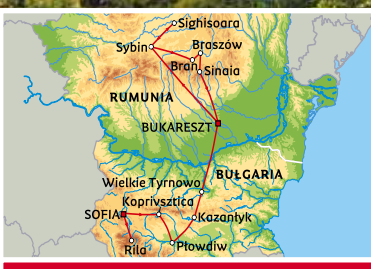

Weekend majowy

Program wycieczki: Dz. 1 Warszawa – Sofia. Zwiedzanie miasta i kolacja powitalna. **Dz. 2** Sofia – Klasztor Rila – Sofia. Wycieczka do klasztoru Rila, obiad i Muzeum Historyczne. **Dz. 3** Sofia – Koprivsztica – Płowdiw. Domy kupieckie w Koprivszticy i zwiedzanie Płowdiw – Europejskiej Stolicy Kultury 2019. **Dz. 4** Płowdiw – Kazanłyk – Wielkie Tyrnowo. Produkcja olejku różanego, grobowiec królewski w Kazanłyku, przełęcz Szypka i Muzeum-skansen w Etar. **Dz. 5** Wielkie Tyrnowo – Bukareszt. **Dz. 6** Bukareszt – Sybin. Pałac Parlamentu, klasztor Cozia, przejazd przez Karpaty i wycieczka po Sybinie. **Dz. 7** Sybin – Sighişoara – Sybin. Wycieczka do średniowiecznego miasteczka Sighişoara oraz kolacja u lokalnej rodziny. **Dz. 8** Sybin – Bran – Braszów. Wizyta w stadninie koni lipicańskich i „Zamek Drakuli" w Bran. **Dz. 9** Braszów – Sinaia - Brasow. Zamek Peleş w Sinaia, Czarna Bazylika w Braszowie i czas wolny. **Dz. 10** Braszów – Bukareszt – Warszawa i powrót do domu.

10 dni | Wyloty z Warszawy 01/05, 18/09 2026 | od 7.998,–

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8 p.
Kod reklamy: GW03

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

eprasa.pl 828ea60232

WAŻNY TEMAT

W jak wojsko, I jak Indianie, T jak trzecia wicemiss Kolorado. Najzabawniejsze, najsmutniejsze i najgroźniejsze wydarzenia 12 miesięcy z 47. prezydentem USA w kolejności nieprzypadkowo niealfabetycznej

TO JUŻ ROK z Trumpem

Mariusz Zawadzki

Oto alfabet Donalda Trumpa na pierwsza rocznicę od jego zaprzysiężenia na drugą kadencję. Każde z haseł kiedyś, przed erą trumpizmu, byłoby wielkim skandalem. Obecnie większość przechodzi niezauważona albo najwyżej wywołuje wzruszenie ramion. Dopiero zebrane razem pokazują, jak bardzo Trump zmienił – w sensie: zdemoralizował – Amerykę i świat

N

NATO. Sojusz wojskowy, który kiedyś był bardzo ważny i teoretycznie nadal istnieje, ale już raczej jako swoja karykatura. Jeszcze rok temu obawiano się, że Ameryka wystąpi z NATO i zostawi Europę na pastwę Rosji. Rozważano, czy zgodnie z prawem prezydent może o tym zdecydować samowolnie, bez głosowania w Kongresie.

Jakże zabawne z dzisiejszej perspektywy wydają się tamte analizy! Teraz europejscy członkowie NATO stoją przed zgoła odmiennym dylematem: jak obronić się przed największym sojusznikiem. Francja, Niemcy i Wielka Brytania rozważają wysłanie kontyngentu wojskowego do Grenlandii, żeby zniechęcić Stany Zjednoczone do inwazji. Zadanie jest jednak trudne, bo 9 stycznia Trump mówił dziennikarzom: „W sprawie Grenlandii chciałbym dobić targu, wiecie, po dobroci. Ale jeśli nie zrobimy tego po dobroci, zrobimy to siłą...". Zauważył również, że „Duńczycy nie mają odwiecznego prawa do Grenlandii tylko dlatego, że 500 lat temu wylądowały tam ich łodzie".

Paradoksalnie, dokładnie to samo twierdzą amerykańscy Indianie, których Trump całkowicie i konsekwentnie lekceważy (patrz ▶ **INDIANIE**). Oni również upierali się, że biali angielscy koloniści nie mają prawa do Ameryki tylko dlatego, że 400 lat temu na jej brzegu wylądowały ich łodzie.

S

STATYSTYKI. Jeśli są złe, to zawsze można zwolnić tego, kto je opracowuje. W sierpniu federalne Biuro do spraw Statystyk Pracy (Bureau of Labor Statistics) podało dane o zatrudnieniu za lipiec: w USA powstało tylko 73 tysiące nowych posad. Co gorsza, biuro zrewidowało dane za maj i czerwiec, obniżając liczbę nowozatrudnionych o 258 tysięcy! Prezydent zareagował błyskawicznie – zaledwie kilka godzin po opublikowaniu raportu zwolnił szefową Biura. Wyjaśniał to tak: „Nominowana przez Bidena Erica McEnrarfer już w zeszłym roku fałszowała dane o zatrudnieniu, żeby zwiększyć szanse Kamali w wyborach. Teraz zrobiła to znowu! I za ten scam została zwolniona. Jej działalność to ekonomiczny sabotaż!".

Miesiąc po zwolnieniu Enrarfer, która jest naukowcem z dużym dorobkiem, przestrzegała, że Ameryka idzie śladem Argentyny i Grecji. W 2007 roku rząd Argentyny zwolnił szefową biura statystycznego, bo nie chciała fałszować danych o inflacji. Z kolei w 2010 roku nowy szef greckiego urzędu statystycznego ogłosił, że jego poprzednik fałszował dane o deficycie budżetowym. Oba kraje zbankrutowały, czyli przestały spłacać długi: Grecja w 2012 roku, a Argentyna w 2014.

O dziwo, po zwolnieniu McEnrarfer raporty wcale się nie poprawiły. Rok 2025 był najgorszy – w sensie nowych etatów – od wielkiego kryzysu 2008 roku. W ostatnim roku Bidena (2024) stworzono 2,2 miliona nowych miejsc pracy, czyli cztery razy więcej niż w 2025 roku. Nawet gdyby Elon Musk nie zwolnił wiosną 277 tysięcy urzędników (patrz ▶ **DOGE**), to i tak trumpowe statystyki byłyby fatalne. A być może są nawet gorsze – jeśli nowe kierownictwo poprawia liczby, żeby zadowolić Trumpa.

W

WOJSKO. W kampanii wyborczej Trump przedstawiał się jako kandydat antywojenny, który zamierza się skupić na sprawach wewnętrznych Ameryki. Stąd hasło „America First". Jednakże rozwiązanie problemów amerykańskich – takich jak koszmarnie droga służba zdrowia, duża inflacja, słaby wzrost gospodarczy, wielki

eprasa.pl 828ea60232

FOT. DODDIS / ALAMY STOCK PHOTO

Wielki prezydent, wielkie liczby

Co najmniej 600 tys.
• ludzi zmarło wskutek likwidacji USAID, z czego dwie trzecie to były małe dzieci

O 50 proc.
• – do półtora tryliona dolarów – Trump chce podnieść budżet na obronność

2,2 mln
• nowych miejsc pracy powstało w 2024, ostatnim roku Bidena – 4 razy więcej niż w 2025, pierwszym roku Trumpa

Prawie 2 mln
• nielegalnych migrantów zdecydowało się wyjechać z USA w 2025 roku. Do tego należy dodać ponad 600 tys. deportowanych siłą

Już 21 dzieci
• w palestyńskich obozach zmarło z wyziębienia po „pokoju", który Trump wymusił na Izraelu i Hamasie

80 proc.
• Wenezuelczyków deportowanych do brutalnego więzienia w Salwadorze to byli losowi, wyłapani na ulicach mężczyźni. Agenci ICE uznawali tatuaże za dowód przynależności do gangu

1 RP

dług publiczny – jest trudne, wymaga skupienia i konsekwencji, a na efekty trzeba długo czekać, dlatego po kilku miesiącach Trump się tym wszystkim znudził. I rzucił się w wir spraw międzynarodowych.

Momentem przełomowym były bombardowania irańskich obiektów atomowych w czerwcu. Trump, który obserwował je na żywo na monitorach w piwnicach Białego Domu, zrozumiał, jaki fun przynosi używanie amerykańskiej potęgi wojskowej. Od tamtej pory zachowuje się jak chłopiec, który dostał zdalnie sterowany samochodzik i nie może przestać się nim bawić. Stąd bombardowania rzekomych terrorystów narkotykowych u wybrzeży Wenezueli; przechwytywanie tankowców z wenezuelską ropą przez komandosów i zuchwałe porwanie prezydenta Maduro z jego pałacu w Caracas. Stąd również plany zajęcia Grenlandii oraz pogróżki pod adresem Kuby, Kolumbii, Meksyku i ponownie Iranu.

Stąd również najnowsza propozycja Trumpa, żeby w roku 2027 wydać na obronność półtora biliona, czyli 1500 miliardów, dolarów – o 50 proc. więcej niż obecnie! A przypomnijmy, że Ameryka już wydaje na obronność więcej niż wszystkie pozostałe kraje z pierwszej dziesiątki. Czyli więcej niż łącznie Chiny (240 miliardów dolarów), Rosja (150), Indie (90), Arabia Saudyjska (80), Wielka Brytania (75), Niemcy (70), Francja (60), Japonia (55) i Korea Południowa (52).

Notabene, zaskakujące, że w pierwszej dziesiątce nie ma Izraela, który według oficjalnych danych w zeszłym roku wydał na obronność tylko 40 miliardów. Czyli mniej niż Polska! Okazuje się, że taka relatywnie niewielka kwota wystarczy, żeby zabić 70 tysięcy ludzi – oczywiście pod warunkiem, że są bezbronni. Ale nie byłoby to możliwe bez pomocy Bidena i Trumpa, którzy w ostatnich dwóch latach podarowali Izraelowi bomby i systemy militarne wartości około 20 miliardów dolarów.

Psychologowie już dawno odkryli, że jeśli ktoś ma młotek, to każdy problem wydaje mu się gwoździem. Nie tylko za granicą, ale również w kraju. W historii amerykańskiej demokracji tylko kilka razy, w wyjątkowych okolicznościach, zdarzyło się, że wojsko wysyłano przeciwko obywatelom. Dla przykładu – w 1957 roku prezydent Eisenhower posłał komandosów do szkoły w Arkansas, która nie chciała wpuścić czarnych uczniów po wyroku Sądu Najwyższego zakazującym segregacji rasowej w szkolnictwie. Trump jest pierwszym prezydentem, który rutynowo posyła wojsko na ulice amerykańskich miast.

Na przykład, jak mówił, żeby „rozbić krwiożercze gangi, które opanowały Waszyngton". Przestępczość w stolicy USA jest dość wysoka, ale do „opanowania miasta przez gangi" jest równie daleko, jak do lądowania Elona Muska na Marsie. Z przecieków wiadomo, że Trump wezwał gwardię narodową, ponieważ jeden z wyróżniających się pracowników DOGE, 19-letni Edward Coristine znany pod pseudonimem Big Balls, wdał się w uliczną bójkę podczas nocnego imprezowania w Waszyngtonie i został dotkliwie pobity.

Oprócz stolicy wojsko patrolowało również Los Angeles, Memphis i Chicago – w każdym przypadku, żeby „walczyć z przestępczością" i wspierać Immigration and Customs Enforcement, niesławne ICE, w wyłapywaniu nielegalnych imigrantów (patrz ▶ **GRANICA**). Militaryzacji sprzeciwiali się gubernatorzy stanów i władze miast, ale zostali zignorowani. Rząd federalny wysyłał żołnierzy na podstawie ustawy z 1807 roku – żeby stłumić „insurekcję".

M

MARTIN LUTHER KING. Wszystko wskazuje, że Trump nie jest fanem słynnego pastora, który walczył o prawa czarnych Amerykanów i został zamordowany w 1968 roku. Żeby uczcić jego pamięć, w każdy trzeci poniedziałek stycznia Amerykanie świętują Dzień Martina Luthera Kinga. To jeden z kilku dni w roku, w których wstęp do amerykańskich parków narodowych był dotąd bezpłatny. Inny taki dzień to był 19 czerwca, czyli Juneteenth – rocznica wyzwolenia wszystkich niewolników po zakończeniu wojny domowej 1861-65.

Ale, jak wiadomo, nic nie jest wieczne. W grudniu rząd Trumpa zdecydował, że w te dwa dni – Kinga i Juneteenth – wstęp do parków będzie płatny. Na szczęście, w ramach rekompensaty, amerykańscy turyści będą mogli bezpłatnie odwiedzać parki 14 czerwca, czyli w dniu urodzin Donalda Trumpa (który jest jednocześnie Dniem Flagi).

D

DOGE. W powodzi wydarzeń, które nastąpiły później, wszyscy zapomnieli, co to był DOGE. A przecież była to rzecz niezwykła, którą wiosną fascynowała się cała Ameryka: Departament do spraw Efektywności Rządu kierowany przez najbogatszego człowieka świata.

Elon Musk, kiedy poparł kandydaturę Trumpa, obiecywał, że zaoszczędzi dla Ameryki dwa biliony dolarów. W pierwszych tygodniach DOGE biegał po scenie z uruchomioną piłą łańcuchową i krzyczał, że będzie nią obcinał koszty państwa. Dwa dni później napisał na X vel Twitterze rozkaz dla trzech milionów amerykańskich urzędników: „Zgodnie z instrukcją prezydenta wszyscy pracownicy rządu federalnego zaraz dostaną emaila z prośbą, żeby podali pięć rzeczy, które zrobili w ostatnim tygodniu. Brak odpowiedzi na tego emaila będzie równoznaczny z rezygnacją z pracy".

Ostatecznie DOGE zwolnił setki tysięcy urzędników, ale dużą część trzeba było przywrócić po wyrokach sądów. W maju Musk pokłócił się z Trumpem i odszedł z rządu, a potem o DOGE mówiło się coraz mniej, aż wreszcie umarł po cichutku, nawet nie wiadomo kiedy. 23 listopada, odpowiadając na pytanie dziennikarzy Reutersa o status DOGE, rzecznik Białego Domu napisał, że „przestał istnieć, ale jego idee są wiecznie żywe: deregulacja, eliminacja marnotrawstwa i nadużyć oraz usprawnianie służby publicznej". W sierpniu, w ostatnich komunikatach, DOGE twierdził, że zaoszczędził 200 miliardów dolarów, czyli 1/10 tego, co obiecywał Musk. Te szacunki kwestionują różne organizacje pozarządowe, które twierdzą, że jeśli uwzględnić ogromne odszkodowania dla zwolnionych urzędników i osłabienie państwa, bilans wychodzi na zero.

Czy zatem to wszystko było szekspirowskie *much ado about nothing?* Wiele hałasu o nic? Absolutnie nie, DOGE odcisnął niezatarte piętno, może nie w Ameryce, ale na pewno na świecie. Zlikwidował USAID, czyli agencję, która dystrybuowała amerykańską pomoc charytatywną, między innymi nadzorowała programy pomocy chorym na AIDS, szczepienia na malarię i inne choroby tropikalne czy ochronę zdrowia dla skrajnie biednych afrykańskich kobiet w ciąży. Eksperci z kalifornijskiego uniwersytetu UCLA, którzy zrobili analizę opublikowaną w lipcu przez magazyn „Lancet", twierdzą, że likwidacja USAID skutkuje śmiercią około 2 milionów ludzi rocznie, w tym 700 tysięcy małych dzieci. Z kolei epidemiolodzy z Boston University raportowali na łamach „New Yorkera", że anulowanie programów pomocy USAID spowodowało już śmierć 600 tysięcy ludzi, z czego dwie trzecie to były małe dzieci.

I

INDIANIE. W marcu Trump podpisał „rozporządzenie o przywróceniu prawdy i zdrowego rozsądku". Na jego mocy usuwa się z muzeów i parków narodowych lewackie treści. W waszyngtońskim Muzeum Indian Amerykańskich poprawiono ekspozycje dotyczącą Szlaku Łez, czyli wygnania Czirokezów i czterech innych plemion z atlantyckiego wybrzeża USA do nowoutworzonego wielkiego rezerwatu Oklahoma. Było to w latach 30. XIX wieku, za rządów Andrew Jacksona, którego portret Trump powiesił w Gabinecie Owalnym. Indianie maszerowali pieszo prawie 2000 kilometrów, często na mrozie. Tysiące umarły po drodze. W muzeum opisywano wysiedlenie jako „czystkę etniczną" lub „ludobójstwo". Dziś zwiedzający czytają o „rozwoju terytorialnym kraju" i „trudnych decyzjach logistycznych". W podobnym duchu poprawiono tablice informacyjne na Szlaku Łez w Georgii i Arkansas.

G

GRANICA. Tutaj Trump spełnił wyborcze obietnice. W ostatnim roku rządów Bidena co miesiąc straż graniczna zatrzymywała na granicy z Meksykiem około 100 tysięcy ludzi, a w 2024 roku nawet po 200 tysięcy. Obecnie poniżej 10 tysięcy.

Warto zauważyć, że sukces nie wynika z tego, że służby graniczne nagle cudownie zwiększyły efektywność i wyłapują więcej imigrantów ani nie z tego, że Trump dokończył budowę muru, który obiecywał w pierwszej kadencji – bo nie dokończył, fizyczna bariera istnieje tylko na połowie granicy z Meksykiem, która ma ponad 3200 kilometrów. Po prostu liczba ludzi, którzy próbują przekroczyć tę granicę, spadła dziesięciokrotnie. Mur

eprasa.pl 828ea60232

jest psychologiczny, a nie fizyczny. Mieszkańcy biednych i chaotycznych krajów Ameryki Łacińskiej najwyraźniej przestraszyli się wiosennych pogróżek Trumpa obiecującego natychmiastową deportację i brutalnych akcji ICE, czyli urzędu, który zajmuje się wyłapywaniem nielegalnych imigrantów wewnątrz USA (a nie na granicy). Agenci ICE urządzają łapanki na ulicach, w miejscach pracy, na plantacjach, na parkingach przed supermarketami, gdzie nielegalni czekają na doraźną pracę, a nawet w szkołach. Psychoza działa – prawie dwa miliony w 2025 roku zdecydowało się wyjechać, do tego należy dodać ponad 600 tysięcy deportowanych siłą.

Najbardziej odstraszająca była historia 250 Wenezuelczyków, którzy zostali deportowani do osławionego mega-więzienia w Salwadorze. Administracja Trumpa zapakowała ich w samoloty jako rzekomych „członków wenezuelskiego gangu Tren de Aragua" i zapłaciła prezydentowi Salwadoru za to, żeby ich przyjął do swojego drakońskiego, skrajnie przeludnionego więzienia.

44-letni Nayib Bukele sam siebie nazywa „najfajniejszym dyktatorem na świecie" (*world's coolest dictator*); wyłapał i wsadził za kratki sto tysięcy Salwadorczyków, żeby zlikwidować wysoką przestępczość. Dlatego Salwador ma najwyższy wskaźnik inkarceracji na świecie, w więzieniu siedzi 3 procent pełnoletnich mężczyzn. Przestępczość istotnie bardzo spadła, dlatego Bukele ma poparcie większości społeczeństwa.

Podstawą prawną natychmiastowej deportacji Wenezuelczyków była zapomniana ustawa z 1798 roku – o „wrogich obcokrajowcach", którzy stanowią zagrożenie dla bezpieczeństwa państwa. Pozwala ona na pominięcie normalnych procedur; nie trzeba czekać na wyrok sądu imigracyjnego.

Szkopuł w tym, że przynajmniej 80 procent deportowanych Wenezuelczyków to nie byli członkowie żadnych gangów, tylko losowi, wyłapani na ulicach mężczyźni z tatuażami. Agenci ICE uznawali tatuaże – bez względu na ich formę i treść – za dowód przynależności do gangu.

Federalny sędzia z Waszyngtonu James Boasberg nakazał zawrócić samoloty z deportowanymi, ale został zignorowany. Był to pierwszy – i jak dotąd jedyny oczywisty – przypadek, w którym administracja Trumpa nie podporządkowała się decyzji sądu. Prawnicy prezydenta tłumaczyli, że sędzia wydał polecenie jedynie ustnie, więc nie było dla nich całkowicie jasne, a poza tym samoloty już opuściły przestrzeń powietrzną USA, dlatego były poza jurysdykcją sędziego Boasberga. Sędzia wyśmiał te argumenty, zauważył, że – abstrahując od miejsca, w którym znajdowały się samoloty – jego jurysdykcja z pewnością obejmuje urzędników państwowych w Waszyngtonie, którym nakazał zawrócić maszyny. Stwierdził, że istnieje poważne podejrzenie, że urzędnicy – ignorując nakaz sądowy – popełnili przestępstwo „obrazy sądu". W listopadzie Trump prewencyjnie ułaskawił wszystkich urzędników, którzy byli zaangażowani w deportację Wenezuelczyków (prezydent USA ma prawo ułaskawiać obywateli, nawet zanim zostali skazani czy formalnie oskarżeni).

Jeśli chodzi o Wenezuelczyków, po kilku miesiącach rząd Maduro wystarał się o ich zwolnienie z więzienia w Salwadorze, w lipcu wrócili do Wenezueli i opowiadali, że byli głodzeni i codziennie bici.

SYKOFANT. W słowniku języka polskiego Polskiej Akademii Nauk czytamy, że w starożytnej Grecji sykofant był to donosiciel, który czerpał zyski z majątku konfiskowanego osobom skazanym na podstawie jego oskarżeń. W Ameryce Trumpa sykofant to człowiek, który przypochlebia się prezydentowi, stara się odgadywać jego najbardziej absurdalne zachcianki i je spełniać, zanim zostaną wyartykułowane. Jak na przykład szef Apple Tim Cook, który przybył do Białego Domu, żeby podarować prezydentowi kuriozalną ozdobę na biurko: szklane jabłko z wygrawerowanym napisem „DONALD TRUMP", umieszczone na podstawce z 24-karatowego złota. Albo premier Wielkiej Brytanii Keir Starmer, który przywiózł do Białego Domu prestiżowe i zupełnie unikalne zaproszenie od króla Karola III do zamku Windsor.

Na Szlaku Łez podczas wygnania Czirokezów i czterech innych plemion umarły tysiące ludzi. W waszyngtońskim Muzeum Indian Amerykańskich opisywano to jako „czystkę etniczną" lub „ludobójstwo". Dziś zwiedzający czytają o „rozwoju terytorialnym kraju" i „ trudnych decyzjach logistycznych"

Dzięki tłumowi sykofantów Trump staje się coraz bardziej zuchwały, przeświadczony o swojej wszechpotędze i skłonny do coraz większych ekscesów. Tydzień temu w wywiadzie dla „New York Timesa" stwierdził, że „może zrobić wszystko, co zechce, a jedynym ograniczeniem jest jego własna moralność".

Na co dzień sykofantami są członkowie rządu USA. Co jakiś czas w telewizji i internecie są transmitowane posiedzenia rządu, na których sekretarze poszczególnych departamentów wychwalają Trumpa i dziękują mu za wszystko, co zrobił ostatnio dla Ameryki. Bardzo przypomina to „oazę", w której byłem w podstawówce; wieczorami zbieraliśmy się w krąg i kolejno dziękowaliśmy Jezusowi za wszystko, co dla nas zrobił.

Sykofantem nie jest emir Kataru z rodziną, który w maju podarował Trumpowi luksusowego jumbo jeta wartego 400 milionów dolarów. Obecnie samolot jest przerabiany na prezydencki Air Force One, ale po zakończeniu kadencji Trumpa odfrunie razem z nim jako „wyposażenie jego prezydenckiej biblioteki". Samolot nie był tanim pochlebstwem, tylko największą w historii jawną łapówką, która zapewniła Katarczykom dozgonną przyjaźń i ochronę Trumpa. Kiedy kilka miesięcy później Izrael zbombardował polityków Hamasu obradujących w Katarze, Trump wpadł w furię i zmusił premiera Netanjahu, żeby przeprosił Katarczyków i obiecał, że nigdy więcej to się nie powtórzy.

WOJNA I POKÓJ. Trump przechwala się, że zakończył osiem wojen, w tym przywrócił pokój na Bliskim Wschodzie, co nikomu innemu się nie udało przez kilka tysięcy lat. Od czasu, kiedy zapanował ów od wieków wyczekiwany pokój, czyli od 10 października, Izrael zabił około 500 Palestyńczyków i wyrzucił ze Strefy Gazy kilka organizacji humanitarnych, w tym Lekarzy Bez Granic. Tysiące ludzi wciąż cierpią głód, a setki tysięcy koczują w namiotach, w temperaturze poniżej 10 stopni i w porywistym wietrze. Tej zimy już 21 dzieci zmarło z wyziębienia. Nie widać żadnych perspektyw na powrót palestyńskich koczowników do normalności, bo większość zabudowy w Strefie Gazy została zniszczona.

Inne pokojowe sukcesy Trumpa są jeszcze bardziej iluzoryczne – Indie twierdzą, że Ameryka w ogóle nie brała udziału w negocjacjach, które wygasiły kolejną rundę walk z Pakistanem. Jeśli gdzieś Trump realnie pomógł, to w zawarciu pokoju między Armenią i Azerbejdżanem. Paradoksalnie, o swoim jedynym prawdziwym sukcesie ma tylko mgliste pojęcie, bo kilka razy omyłkowo chwalił się, że zakończył wojnę między Albanią i Azerbejdżanem.

Jeśli chodzi o wojny celne, które Trump rozpętał, to zwycięstwa były pyrrusowe. Przychody z ceł wzrosły z 80 miliardów dolarów (ostatni rok Bidena) do 200, czyli jak na skalę budżetu USA o grosze. Tymczasem – jak twierdzi wielu ekonomistów – drama wokół ceł bardzo zaszkodziła Ameryce. Dlatego nie ma nowych miejsc pracy (patrz ▶ **STATYSTYKI**), inflacja uparcie nie znika, a wzrost gospodarczy wynosi niecałe 2 procent.

SPRAWIEDLIWOŚĆ. W czerwcu 2016 roku na lotnisku w Arizonie przypadkiem stały obok siebie dwa samoloty – prywatny z Billem Clintonem, byłym prezydentem i mężem ówczesnej kandydatki na prezydenta oraz rządowy z prokurator generalną Lorettą Lynch. Clinton wszedł do samolotu pani prokurator i rozmawiał z nią – podobno towarzysko – przez 20 minut. Media uznały tę rozmowę za straszliwy skandal, bo prokuratura prowadziła wtedy śledztwo w sprawie skrzynki mailowej Hillary Clinton – kiedy była sekretarzem stanu, niezgodnie z procedurami odbierała służbowe maile na domowym komputerze. Dziennikarze alarmowali, że niezależność Departamentu Sprawiedliwości została albo mogła zostać pogwałcona. Pani prokurator sama przyznała, że rozmowa była złamaniem niepisanych zasad i biła się w piersi; po prostu, kiedy na pokładzie pojawił się były prezydent, nie miała śmiałości poprosić go, żeby wyszedł. Późniejsze wydarzenia pokazały, że raczej nie kłamała. Tuż przed wyborami szef FBI James Comey ogłosił rozszerzenie śledztwa w sprawie Hillary: znaleziono nowe maile i one też muszą zostać dokładnie zbadane. Na kandydatce nadal wisiał cień podejrzenia, co mogło zrazić niektórych wyborców.

Z dzisiejszej perspektywy tamten „skandal na lotnisku" wydaje się komiczny. A nawet surrealistyczny. Jaka „niezależność departamentu sprawiedliwości"? Przecież Trump publicznie szczuje swoją prokurator generalną Pam Bondi przeciwko ludziom, na których chce się zemścić. Albo zabrania jej ujawnić akta pedofila Jeffreya Epsteina, z którym kolegował się i często imprezował w latach 90. i na początku lat dwutysięcznych.

We wrześniu prezydent pisał w serwisach społecznościowych: „Pam, oskarżają nas, że dużo gadamy, a nic nie robimy. Co z Comeyem i Leticią? Oni są winni jak cholera! Mamy przecież dość prawników... Lindsey Halligan jest naprawdę dobrą prawniczką i bardzo cię lubi. Nie możemy tego wszystkiego dłużej odkładać. SPRAWIEDLIWOŚĆ MUSI BYĆ WYMIERZONA TERAZ!!! Prezydent DJT".

„Leticia" to Leticia James, prokurator z Nowego Jorku, która oskarżyła Trumpa o oszustwa finansowe i wygrała (sąd nakazał Trumpowi, który wtedy nie był prezydentem, zapłacić 450 milionów dolarów kary; obecnie sprawa jest w apelacji). Comey jest na czarnej liście Trumpa, bo jako dyrektor FBI nie chciał być ślepo posłuszny, został zwolniony i okoliczności zwolnienia opisał w książce.

Wywołana do tablicy Pam Bondi miała problem, bo żaden prawnik z Departamentu Sprawiedliwości nie chciał podpisać lipnych aktów oskarżenia przeciwko Comeyowi i Leticii. Musiała, zgodnie z sugestią Trumpa, sięgnąć po Halligan, która ma niepodważalne atuty – 15 lat temu była trzecią wicemiss stanu Kolorado – ale nie ma żadnego doświadczenia procesowego, a po studiach prawniczych zajmowała się ubezpieczeniami. Trzecia wicemiss została nominowana na „specjalnego prokuratora" i wniosła dwa akty oskarżenia. Zawierały takie błędy, że sędzia w ogóle odmówił ich rozpatrzenia. Co więcej, uznał, że została powołana na „specjalnego prokuratora" nielegalnie. Sprawa zakończyła się zatem zabawną kompromitacją. Ale dla Amerykanów jest to śmiech przez łzy, bo ich prezydent wykorzystuje aparat państwowy jako narzędzie prywatnej zemsty.

Podobnie należy zaklasyfikować śledztwo kryminalne przeciwko przewodniczącemu Rezerwy Federalnej, czyli amerykańskiego banku centralnego. Jerome Powell twardo opierał się żądaniom Trumpa, żeby mocno obniżyć stopy procentowe. Departament Sprawiedliwości ogłosił tydzień temu, że Powell jest podejrzany o niegospodarność przy remoncie budynku Federal Reserve. Wyraźnie wstrząśnięty przewodniczący, który jest Republikaninem, oświadczył: „Groźba zarzutów karnych jest konsekwencją tego, że Rezerwa Federalna ustala stopy procentowe, kierując się wiedzą i dobrem społecznym, a nie spełniając życzenia prezydenta. Służba publiczna wymaga czasem nieugiętości w obliczu gróźb".

TRUMP. Jak wiadomo, psy sikają wszędzie, gdzie się da, żeby zaznaczyć swój teren. Ten irytujący atawizm pojawił się również u Trumpa, który stara się umieszczać swoje nazwisko na różnych większych budynkach. Takich jak waszyngtońskie Centrum Sztuki imienia Johna F. Kennedy'ego.

Zostało powołane zbudowane jako „żywy memoriał" zamordowanego prezydenta, odbywają się tam koncerty, przestawienia teatralne i baletowe. Ale również najróżniejsze zajęcia artystyczne dla dzieci – sam często bywałem tam jako rodzic. Ze względu na program dla dzieci i młodzieży ta instytucja jest naprawdę „żywa" i bardzo popularna.

Trump odwołał całą radę nadzorczą Centrum i powołał nową, złożoną z krewnych i znajomych. Siebie mianował jej prezesem. Nowa rada zmieniła nazwę instytucji na The Donald J. Trump and The John F. Kennedy Memorial Center, czyli Centrum-Memoriał imienia Donalda Trumpa i Johna F. Kennedy'ego. Abstrahując od stosowności lub niestosowności takiej zmiany, jest ona gramatycznie nieudolna, bo memoriał jest z definicji poświęcony komuś zmarłemu, a Trump żyje. Dopiero kiedy umrze, nazwa stanie się poprawna gramatycznie. Ale nie wiadomo, czy legalna, bo niektórzy – w rodzina Kennedych – twierdzą, że skoro Kongres stworzył tę instytucję, to tylko Kongres może zmienić jej nazwę.

A to dopiero początek. Na gruzach wschodniego skrzydła Białego Domu, które Trump kazał zburzyć, powstaje Sala Balowa imienia Donalda Trumpa. Jej rozmiary i koszt stale rosną. Pierwotnie zatrudnieni architekci twierdzili, że nie może być zbyt duża, bo przytłoczy ikoniczny budynek główny Białego Domu, więc zostali zwolnieni. Nowa ekipa zgodziła się powiększyć salę. Za jej wybudowanie zapłacą najzamożniejsi sykofanci prezydenta, którzy robią zrzutkę na 400 milionów dolarów.

W Kongresie czeka na przegłosowanie projekt ustawy o przemianowaniu Washington Dulles International Airport, czyli stołecznego lotniska międzynarodowego, na Donald J. Trump International Airport.

Gwoli sprawiedliwości trzeba dodać, że nawet Trump potrafi zachować umiar. Jeśli coś jest naprawdę duże, to wstawia do nazwy nie siebie, tylko Amerykę. Zaraz po zaprzysiężeniu na drugą kadencję podpisał rozporządzenie o zmianie nazwy Zatoki Meksykańskiej na Amerykańską. Ponieważ agencja prasowa Associated Press uparcie używała starej nazwy, jej dziennikarzom zakazano wstępu do Białego Domu. ●

1 RP

eprasa.pl 828ea60232

KRAJ

Jeden
promował Marsz Niepodległości,
póki go tam nie pobili.
Drugi
podrabiał indeksy na studiach.
Trzeci
chciał przyłączyć do Polski Lwów,
a czwarty oderwać Podhale.

Może to przyszli posłowie i senatorowie

Piotr Głuchowski

Pokemony Grzegorza Brauna

Zdjęcia od góry:
- **Grzegorz Braun wita w Koronie Jacka Wilka, adwokata, który wizytuje i chwali Krym po aneksji**
- **Architekt Sebastian Pitoń, promotor Królestwa Podhalańskiego, demaskator spisku globalistów z udziałem Izraela**
- **Lider „kamratów", Wojciech „Jaszczur" Olszański internetową karierę rozkręcał w willi Janusza Korwin-Mikkego**

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI, MAREK PODMOKŁY, PATRYK OGORZAŁEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl 828ea60232

Jest popyt na markę Grzegorz Braun, więc on wymyślił sobie, że musi równać ze strukturami do wielkości poparcia; chodzi i zbiera pokemony – mówi Łukasz Rempalski, były polityk partii KORWiN, dziennikarz krytycznego wobec Konfederacji Korony Polskiej serwisu MediaNarodowe.com i znawca personaliów na skrajnej prawicy.

– Dla Brauna równie dobry będzie lewicowy agnostyk Mateusz Piskorski, który zbiera elektorat prorosyjski, jak i Wojciech „Jaszczur" Olszański, przywódca „kamratów", co kiedyś „srał na Biblię". Nada się i Marek Woch, bo ten ma przećwiczoną w wyborach prezydenckich strukturę do zbierania podpisów… – wyjaśnia Rempalski.

Opisałem dziesiątkę żołnierzy „szerokiego frontu gaśnicowego" (określenie Brauna) wedle alfabetu.

BEKIER BARTOSZ
założyciel Falangi, wydawca Dugina

O tym, że organizator pierwszego Marszu Niepodległości i krótkotrwały wiceprzewodniczący prokremlowskiej partii Zmiana przystąpił do KKP, poinformował dwa miesiące temu dziennikarz serwisu KlubJagielloński.pl Tomasz Synowiec:

„Bekier to założyciel i były lider Falangi. W 2019 roku na forum zorganizowanym przez [nieżyjącego już wielkoruskiego szowinistę Władimira] Żyrinowskiego apelował do prezydenta Putina o wspólny rozbiór Ukrainy".

37-latek pochodzi z rodziny wojskowych. Żołnierzami byli pradziadek i dziadek, ojcem – pułkownik Andrzej Bekier, który służył jako attaché przy ambasadzie w Pradze, a wcześniej w USA, gdzie Bartosz przyszedł na świat.

Media zainteresowały się juniorem po raz pierwszy w roku 2006, gdy jako niepełnoletni jeszcze aktywista Młodzieży Wszechpolskiej wziął udział w plenerowej imprezie połączonej z hajlowaniem na tle płonącej swastyki i pieśni „Narodowy socjalizm" zespołu Honor. Patron Wszechpolaków i prezes bogoojczyźnianej Ligi Polskich Rodzin Roman Giertych potępił wówczas ten eksces, co spowodowało rozłam: Bekier z grupą skinheadów przeszli do Obozu Narodowo-Radykalnego, reaktywowanego dekadę wcześniej przez nacjonalistów z Opolszczyzny.

Nowi koledzy chodzili w piaskowych koszulach wzorowanych na strojach przedwojennego ONR, bili bezdomnych i Romów, napadli z pałkami na słuchaczy koncertu Paktofoniki w Częstochowie, demonstrowali z pochodniami, wołając: „Wielka Polska Katolicka!", „Żydzi won z polskich stron!". Na górze Świętej Anny, salutując po rzymsku, spalili flagę Unii Europejskiej.

W roku 2007 Bekier – już jako szef Brygady Mazowieckiej ONR – powiódł ulicami Warszawy pierwszy, na razie dwustuosobowy Marsz 11 Listopada. Wraz z narodowcami poszli w nim jawni neonaziści z Combat 18 oraz polskiej odnogi międzynarodówki Blood & Honour.

Jako że kolejne marsze były coraz większe, Bartosz poczuł się na tyle ważny, że rzucił wyzwanie szefowi ONR Przemysławowi Holocherowi. Po nieudanym puczu musiał odejść – założył konkurencyjną Falangę, która – jak pisze w książce „Partia rosyjska" badacz ekstremizmów doktor Przemysław Witkowski – szybko ewoluowała „od klasycznego faszyzmu do polskocentrycznego nacjonalizmu i duginowskiego euroazjatyzmu", czyli ideologii Kremla.

Bo Aleksander Dugin, wielkoruski filozof i druh samego prezydenta Federacji, to dziś najpotężniejszy piewca ruskiego imperium. Bekier poznał Dugina osobiście – w Rosji – i od tego czasu wydaje w Polsce książki brodatego myśliciela. Także falangistowski serwis internetowy xPortal.press (30 tysięcy widzów wedle Similarweb) pełen jest płynących z Moskwy inspiracji. Znajduję tam i wywiad z przywódcą „republiki" donieckiej Denisem Puszylinem, i rozważania Dugina o „postantropologii", i tekst o tym, że „zamurzyniona" Ameryka już leży na łopatkach; wreszcie rozmowę z zabitym w 2024 roku przez Izraelczyków przywódcą Hezbollahu Hassanem Nasrallahem – bo islamiści, wrogowie Żydów, to też sojusznicy.

Może dlatego latem 2013 roku Bekier wziął udział w wycieczce europejskiej skrajnej prawicy do Syrii, gdzie Rosja właśnie instalowała pierwsze bazy wojskowe. Lider falangistów odwiedził damasceńskie więzienie, w którym robił drastyczne zdjęcia torturowanym przeciwnikom reżimu Asada. W tym samym czasie Falanga wysyłała paczki z papierosami i kawą dla odsiadującego w Polsce trzydziestopięcioletni wyrok serbskiego generała Radislava Krsticia skazanego za masakrę muzułmanów w Srebrenicy.

W lipcu 2015 roku Bekier i falangiści jako pierwsi zaczęli „bronić granicy". Umundurowani i uzbrojeni (część ma pozwolenie na broń) włóczyli się po Bieszczadach w poszukiwaniu nielegalnie migrujących „banderowców". Ich akcję pokazała – i pochwaliła – rosyjska telewizja państwowa.

W roku 2018 Falanga pokazała kły: poznany za pośrednictwem partii Zmiana działacz Alternatywy dla Niemiec (AfD) Manuel Ochsenreiter zlecił kolegom Bekiera podpalenie węgierskiego ośrodka kulturalnego w ukraińskim, a wcześniej madziarskim Użhorodzie w taki sposób, by podejrzenia padły na samych Ukraińców.

Sprawcy zlecenie wykonali. Kiedy namierzyła ich i zatrzymała Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego, Ochsenreiter uciekł do Rosji, gdzie niemal natychmiast zmarł na zawał (miał 45 lat).

Podpalacze dostali kilkuletnie wyroki, lecz Bekier się wywinął, by także ruszyć na wschód. Odwiedził Moskwę, Czeczenię (był na urodzinowej gali putinowskiego namiestnika Ramzana Kadyrowa), okupowany Krym i Donbas. Na wiecu w Doniecku wystąpił w polskim mundurze wojskowym i przed kamerami rosyjskich telewizji zapewnił zebranych na Placu Lenina, że polski naród wspiera Noworosję (tak Moskwa określa wschodnią Ukrainę). Spotkał się także z Leonidem Swirydowem, wydalonym z Polski rosyjskim dziennikarzem szpiegiem. W 2019 roku obaj wzięli udział w zorganizowanym w Dumie zjeździe antyliberalnej międzynarodówki, na którym Bekier domagał się wyjścia Polski z NATO i Unii Europejskiej, autonomii dla Wileńszczyzny i odzyskania przez Polskę Lwowa.

Po roku 2020 dawny wszechpolak zwąchał się z Wojciechem Olszańskim i środowiskiem nacjonalistycznych antyszczepionkowców.

KORCZAROWSKI PIOTR
od Kukiza do Marianny Schreiber

38-letni syn aktora Eugeniusza Korczarowskiego, który w PRL przyjaźnił się z reżyserem Bohdanem Porębą (twórcą „Hubala", współzałożycielem narodowo-komunistycznego „Grunwaldu"), urodził się w Bełchatowie. Związany z Łodzią, gdzie stworzył ultrakonserwatywny, nacjonalistyczny kanał e-Misja (155 tysięcy subskrybentów). To na tej antenie w roku 2016 objawił się po raz pierwszy „Jaszczur" Olszański.

Sam Korczarowski, który przeszedł w Rosji coś w rodzaju szkolenia (był uczestnikiem kursu Fundacji Dyplomacji Publicznej imienia Aleksandra Gorczakowa), próbował dostać się do Sejmu z list Samoobrony (2011), potem działał jako łódzki koordynator Ruchu Kukiz'15. Do Konfederacji Brauna przystąpił w 2024 roku. Wcześniej gorąco poparł sejmową akcję z gaśnicą, współorganizując na Wiejskiej pikietę, podczas której pytał: – Kto jest w polskim Sejmie Żydem, że my mamy dla niego palić jakieś świece chanukowe? Żaden się nie przyznaje! W Polsce Żydów jest mniej niż wyznawców Latającego Potwora Spaghetti, a my mamy im poświęcać instytucje państwa, mamy im cześć oddawać, bawić się z nimi… To hańba państwa polskiego!

Dobra współpraca z koroniarzami zaczęła kuleć w zeszłym roku po tym, gdy wyszedł na jaw miłosny związek Korczarowskiego z kontrowersyjną celebrytką Marianną Schreiber, cały czas żoną Łukasza, byłego ministra w rządzie PiS. „Z przykrością przyjęliśmy informację, że osoba tak ważna w kampanii prezydenckiej kandydata wiążącego przyszłość Polski z zachowaniem Prawa Bożego, weszła w relację romantyczną z osobą związaną sakramentem małżeństwa z kimś innym" – pisał o Piotrze i Mariannie szef sztabu Brauna, poseł KKP Włodzimierz Skalik, prosząc oboje „o opamiętanie", które rzeczywiście nadeszło – wpierw u niej. W listopadzie 2025 roku Schreiber rzuciła Korczarowskiego „z powodu nieusuwalnej różnicy poglądów", a po rozstaniu oskarżyła go, że wyprowadzając się ze wspólnego lokum, zabrał należącą do partnerki ostatnią paczkę żółtego sera gouda.

Były konkubent oddał ser w grudniu, w świetle kamer, podczas konferencji przed galą MMA (czyli mieszanych sztuk walki), gdzie brylował obok Marianny, bo oboje występują także w ośmiobocznych ringach jako freakfighterzy. Narodowiec stoczył dotychczas jeden pojedynek – w październiku walczył z drag queen Mariuszem „Dżagą" Ząbkowskim, a starcie zakończyła dyskwalifikacja dziennikarza, który mimo napomnień sędziego nieprzepisowo i wielokrotnie bił „Dżagę" po potylicy.

Przekorny los odpłacił Korczarowskiemu dwukrotnie:

11 listopada 2025 roku twórca e-Misji został pobity na Marszu Niepodległości w stolicy. – Dostałem w twarz na oczach setki ludzi – poskarżył się w swoim kanale na żywo, kilka minut po zajściu. – Nikt nie zareagował. Z taką Polską nie chcę mieć nic wspólnego. Odpuszczam nie tylko Marsz, ale w ogóle całe moje patriotyczne dzieło do momentu, aż ta kurwa, co mnie pobiła, zostanie zidentyfikowana i zlinczowana!

Po raz wtóry Korczarowski oberwał w trakcie kolejnej konferencji MMA. Wdał się w światopoglądową sprzeczkę z innym freakfighterem – lewicowym aktywistą i publicystą Jasiem Kapelą. W trakcie kłótni lewak oblał nacjonalistę sosem czekoladowym, na co ten próbował odpowiedzieć pięścią. Kapela zasłonił się krzesłem i wyprowadził własny, celny cios, po czym zbiegł ze studia.

Mimo krytyki ze strony posła Skalika Grzegorz Braun nie zaniechał współpracy z Korczarowskim – ani odwrotnie. Łodzianin i europoseł – choć już nie członek KKP – pojawili się na ubiegłorocznych „alternatywnych", czyli negacjonistycznych uroczystościach w Jedwabnem (o czym więcej pod literą „S"), zaś kanał e-Misja nadal promuje Brauna wraz z jego książkami i filmami.

OLSZAŃSKI WOJCIECH
zachęca do modlitwy za Łukaszenkę

65-letni kamrat „Jaszczur" wedle własnych słów jest wnukiem żołnierza SS Zygfryda Olszańskiego. Twierdzi również, że w Polsce Ludowej służył w ZOMO, słynących z brutalności milicyjnych oddziałach prewencji. Na pewno był aktorem teatralnym. Studiował na PWST w Krakowie, w roku 1983 został wyróżniony za rolę Olega Bojana w „Pluskwie" Władimira Majakowskiego. Po roku 2000 zagrał jeszcze trzecioplanowe role w gniotach „Quo vadis" i „Bitwa warszawska".

Urodził się w Kłodzku, wychował w Bolesławcu, mama pracowała w przedsiębiorstwie turystycznym Juventur, ojciec był PRL-owskim dyrektorem. Swoim fanom „Jaszczur" sprzedaje jednak inną legendę, przedstawiając się jako „syn parobka i dojarki".

Popularność zaczął zdobywać w e-Misji Korczarowskiego oraz u boku lekarza antyszczepionkowca Eugeniusza Sendeckiego, wcześniej działacza Ligi Polskich Rodzin i organizatora ulicznych happeningów antyaborcyjnych, zarazem twórcy własnego, antysemickiego kanału pełnego rozmów z reżyserem Porębą, narodowym komunistą Albinem Siwakiem, liderem bogoojczyźnianej Polonii Janem Kobylańskim, skandalistą rozsławionym stawianiem krzyży w Auschwitz Kazimierzem Świtoniem i innymi żydożercami starszego pokolenia.

Ośrodek Monitorowania Zachowań Rasistowskich i Ksenofobicznych podaje, że Sendecki początkowo płacił Olszańskiemu, by ten – w mundurze oraz furażerce z orłem i mieczykiem Chrobrego (symbol narodowców) – ubarwiał mu happeningi. Z czasem dawny aktor zaczął działać sam: w 2010 roku, po katastrofie smoleńskiej, „bronił krzyża" na Krakowskim Przedmieściu, rok później protestował przeciw Amerykanom poszukującym w Polsce gazu łupkowego.

Około roku 2016 poznał Marcina „Ludwiczka" Osadowskiego, asystenta Janusza Korwin-Mikkego („Krul" również należy do zwolenników Brauna – planowali nawet wspólną partię KoBra). To właśnie „Ludwiczek" załatwił „Jaszczurowi" miejsce do spania i nagrywania podkastów w willi JKM w Józefowie. Odrestaurowany świdermajer polityka brydżysty stał się siedzibą dwuosobowej Niezależnej Polskiej Telewizji, w której Olszański z Osadowskim „srali na Biblię, starą żydowską kurwę", nazywali poszczególnych polityków „alfonsami" i „insektami" oraz wzywali do zgwałcenia posłanki Zielonych Klaudii Jachiry.

W trakcie pandemii, którą duet O-O naturalnie uznał za „wielką ściemę Big Pharmy", zasięgi NPTv wystrzeliły: same drobne przekazy, tak zwane donejty, przyniosły patostreamerom około czterech milionów złotych w dwa lata (2020-22).

W internetowych przemówieniach „Jaszczura" z tego czasu Żydzi to „antypolskie parchy", a Ukraińcy „kurwy i złodzieje". Postaciami pozytywnymi są: targowiczanie, Józef Stalin, Eligiusz Niewiadomski (zabójca „żydowskiego" prezydenta Drugiej RP Gabriela Narutowicza), międzywojenny nacjonalista i bojówkarz, w PRL koncesjonowany chadek Bolesław Piasecki, władca Korei Północnej Kim Dzong Un, Władimir Putin jako „gwarant pokoju w Europie" i wreszcie prezydent Białorusi Aleksander Łukaszenka. W roku 2022, gdy w Mińsku trwały protesty przeciw sfałszowanym wyborom, Olszański wystąpił w tamtejszej telewizji, radząc wschodnim sąsiadom, by raczej modlili się za swego przywódcę, bo to

FOT. TOMASZ URBANEK/DDTVN/EAST NEWS; FILIP NAUMIENKO/REPORTER; PAP/TOMASZ KOR/SZKO; RAFAŁ SZCZEPANKOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL; CEZARY ASZKIEŁOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL (2); MAREK PODMOKŁY / AGENCJA WYBORCZA.PL; DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL; KUBA ATYS / AGENCJA WYBORCZA.PL; SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl 828ea60232

„biały człowiek". Zapewnił ich również, że gdy przejmie władzę w Warszawie, każe wyłapać dziennikarzy nadającej z Polski opozycyjnej telewizji Biełsat i przekaże ich „w klatkach" władzom Białorusi.

Rok wcześniej spalił w Kaliszu kopię przywileju dla Żydów z XIII wieku, za co usiadł na krótko w areszcie, ale szybko wyszedł między innymi dzięki poręczeniu Brauna. Rok później powiódł konno przez Warszawę marsz ku czci Romana Dmowskiego i Putina. Pod Kolumną Zygmunta „apelowali o pokój" w Ukrainie między innymi Braun, Sendecki, lubelski radiomaryjny profesor Mirosław Piotrowski oraz „narodowy rzeźbiarz" Bartłomiej Kurzeja, który wsławił się w 2011 roku zamiarem wykopania zwłok Bronisława Geremka z Powązek.

Poza stolicą „Jaszczur" z „Ludwiczkiem" upodobali sobie Bydgoszcz – z racji rozwiniętego tam dobrze ruchu kamrackiego. Przed budynkiem lokalnego sądu wzywali do zabijania posłów Platformy i Lewicy, zaatakowali też w centrum miasta białoruskiego studenta, którego wzięli za Ukraińca, spryskując go gazem pieprzowym. W niedalekim Grudziądzu wzywali już wprost do mordowania Żydów „winnych rosnącym cenom węgla, paliwa i żarcia". To wszystko stało się powodem drugiego zatrzymania „Jaszczura" – przesiedział w Rawiczu zimę 2022/23.

Obecnie usiłuje odbudować popularność w ramach frontu Brauna – w grudniu pojawił się na warszawskim procesie lidera Korony, który odpowiada za zgaszoną świecę chanukową i sześć innych czynów, w tym rozbicie wykładu historyka Holokaustu, profesora Jana Grabowskiego, którego z kolei Olszański nazywa „żydowskim paszkwilantem".

PISKORSKI MATEUSZ

ma proces o szpiegostwo na rzecz Rosji i Chin

49-letni Szczecinianin, były poseł i rzecznik partii Andrzeja Leppera, jest również doktorem nauk humanistycznych: w 2011 roku obronił dysertację „Samoobrona RP w polskim systemie partyjnym". Jego proces o szpiegostwo na rzecz Rosji i Chin toczy się od 2018 roku za zamkniętymi drzwiami. Wiadomo tyle, że oskarżony miał brać od obu krajów pieniądze.

Karierę polityczną zaczynał krótko po 1989 roku jako nastoletni neonazista, pseudonim „Hodur", pieczętujący się podpisem ze swastyką. Współtworzył skinowskie fanziny „Odala" i „Wadera", gdzie między „hinduskimi symbolami szczęścia", totenkopfami, tryskelionami i celtyckimi krzyżami szukano „aryjsko-słowiańskiej tożsamości genetycznej", którą w ostatnim tysiącleciu „przygniótł ciężar semickich dogmatów". Były też wiadomości z Pomorza. Fragment o koszykarzu Komfortu Stargard Szczeciński Martinie Egglestonie: „...kala polską ziemię i zamiast skakać gdzieś w Mozambiku z palmy na palmę, szukając kokosów, szwenda się po ulicach Stargardu. Nie bójmy się głośno mówić, że go tu nie chcemy!".

W roku 1992 Piskorski przystał do Unii Socjalno-Narodowej – panslawistycznej, neopogańskiej i antyzachodniej kanapowej partii założonej przez byłego współpracownika komunistycznej Służby Bezpieczeństwa Antoniego Feldona, pseudonim „Filel". Duchowym ojcem grupy był Bolesław Tejkowski, samozwańczy przywódca środowiska skinheadów uznawany za naczelnego polskiego antysemitę, dopóki nie pojawił się na scenie wydawca Leszek Bubel. Wśród starych

Współpraca Piotra Korczarowskiego z „koroniarzami" zaczęła kuleć, gdy wyszedł na jaw jego związek z Marianną Schreiber. „Z przykrością przyjęliśmy informację, że osoba tak ważna w kampanii kandydata wiążącego przyszłość Polski z zachowaniem Prawa Bożego, weszła w relację romantyczną z osobą związaną sakramentem małżeństwa z kimś innym"

konfidentów i żydożerców „Hodur" wytrzymał dwa lata – porzucił Unię w roku 1996, by przystąpić do innej kanapy – Stronnictwa Narodowego, tak zwanego senioralnego, które reaktywował działacz Narodowych Sił Zbrojnych z czasów okupacji Jan Ostoja Matlachowski. Jednocześnie Szczecinianin współtworzył własną neopogańską organizację Niklot – nazwaną tak ku czci księcia pomorskich Obodrytów, który w XII wieku odparł wyprawę krzyżową.

W drugiej połowie lat 90. poganie z Niklota przystąpili do Zrzeszenia Rodzimej Wiary, gdzie Piskorski poznał kolejnego byłego współpracownika SB – Stanisława Potrzebowskiego, pseudonim „Rymski". Ten wcześniej mieszkał w RPA, gdzie orędował za ułaskawieniem Janusza Walusia – zabójcy walczącego z apartheidem czarnoskórego komunisty Chrisa Haniego. Dziś Waluś wspiera „front gaśnicowy".

Jak pisze w książce Przemysław Witkowski, to właśnie „Rymski" skontaktował Piskorskiego z neopoganami w Rosji. W sierpniu 2000 roku Szczecinianin pojechał do Moskwy na zlot tamtejszych nacjonalistów – umundurowanych, witających się wiadomym salutem, jawnie prezentujących swastyki. Zrobione wtedy czarno-białe zdjęcie „Hodura" na tle wielkiego hakenkreuza do dziś można znaleźć w sieci.

W 2002 r. Szczecinianina zatrudnił – jako asystenta – tamtejszy baron Samoobrony Jan Łączny. Mateusz wszedł do komitetu poparcia Leppera w wyścigu prezydenckim 2005, a potem na listę sejmową i do parlamentu, w którym utrzymał się jedną, zresztą skróconą, kadencję. Udanej kampanii wyborczej zakończonej sukcesem „pomimo presji proamerykańskiego reżymu w Warszawie" pogratulował mu wówczas sam Dugin, którego Piskorski poznał w Moskwie dzięki protekcji neopoganina z Kremla – Pawła Tułajewa.

Po klęsce Samoobrony w przyspieszonych wyborach 2007 roku „Hodur" poszukał szczęścia w eurosceptycznym ugrupowaniu Libertas Polska, które postulowało legalizację pirackiego ściągania plików z internetu („gry i filmy za darmo!"). W praktyce partia LP stała się krótkotrwałą przystanią przegranych polityków narodowo-katolickiej prawicy w rodzaju Ryszarda Bendera, Artura Zawiszy czy Wojciecha Wierzejskiego z Ligi Polskich Rodzin.

W wyborach parlamentarnych 2011 roku Piskorski wystartował z komitetu Polska Partia Pracy Sierpień '80, czyli kolejnej kanapy łączącej polityków przebrzmiałych formacji lat dziewięćdziesiątych. Mimo pierwszego miejsca w okręgu podwarszawskim dostał jedynie 600 głosów i przepadł wraz z całą listą. Jednak wcześniej – bo w roku 2004 – objawił się na Białorusi jako „polski obserwator" wyborów parlamentarnych. Naturalnie potwierdził ich uczciwość. Rok później obserwował elekcję w zbuntowanym przeciw Mołdawii promoskiewskim, rządzonym przez mafię Naddniestrzu, a w 2014 roku nadzorował separatystyczne referendum na Krymie.

W naddniestrzańskiej stolicy – Tyraspolu – poznał Aleksieja Koczetkowa, który na zlecenie Kremla nie tylko obserwował, ale i korygował wyniki wyborów w „bliskiej zagranicy" (Ukraina przed 2004 rokiem, Naddniestrze, Południowa Osetia, Abchazja). Wspominam o ich spotkaniu, ponieważ krótko po tym, gdy Koczetkow sprowadził się z żoną Mariną do Polski (najęli apartament na Wilanowie), dawny „Hodur" skradł serce Rosjanki, która teraz jest jego żoną.

W 2015 roku Piskorski założył wraz z byłymi działaczami ONR i Samoobrony swą najsłynniejszą partię, czyli Zmianę. Zdaniem ABW przedsięwzięcie sfinansowali Rosjanie. Poza krytyką „kijowskiej junty" partia domagała się wyjścia Polski z NATO oraz znacjonalizowania kluczowych przedsiębiorstw. W trakcie warszawskiego szczytu Sojuszu Północnoatlantyckiego w lipcu 2016 roku grupka aktywistów Zmiany zorganizowała pikietę „»Nie« dla obcych wojsk!". Piskorskiego już z nimi nie było – dwa miesiące wcześniej został aresztowany w związku ze sprawą o szpiegostwo – stery w jego partii przejął na krótko Bartosz Bekier.

Za siedzącego w areszcie Szczecinianina, którego dziennikarz kremlowskiej telewizji O2TV Filip Leontiew określił: „nasz agent wpływu w Polsce", poręczyli Korwin-Mikke, Braun i Kornel Morawiecki, ojciec byłego premiera, w latach 80. podziemny antykomunista. W 2019 roku sąd wypuścił podejrzanego, orzekłszy poręczenie 200 tysięcy złotych. Na kaucję zrzucili się członkowie rodziny, środki organizował także sekretarz generalny Zmiany Tomasz Jankowski, znajomy byłego rosyjskiego ambasadora Siergieja Andriejewa, członek powołanego w Bułgarii Międzynarodowego Związku Rusofilów i zarazem twórca kanału Wbrew Cenzurze na YouTubie (35 tysięcy subskrybentów).

Obecnie – po wyjściu na wolność – Piskorskiego częściej można oglądać w programach kremlowskiej agencji Sputnik i adresowanej do zagranicy telewizji Russia Today niż w krajowych mediach. Jesienią ubiegłego roku przystąpił do think-tanku Korony o nazwie Wielki Renesans Polski, gdzie zajmuje się polityką zagraniczną.

PITOŃ SEBASTIAN

prezentuje flagę USA z gwiazdą Dawida

– W zeszłym roku zapisałem się do KKP i jest to moja pierwsza partia w życiu – mówi mi architekt z tatrzańskiego Kościeliska, długowłosy góral po pięćdziesiątce, który chodzi na co dzień w kłobuku (podhalańskim kapeluszu z muszelkami) i przedstawia się jako „działacz społeczny, filozof, historyk i geopolityk". Jest również antyszczepionkowcem.

W 2014 roku, startując do samorządu powiatu tatrzańskiego, postulował likwidację tamtejszego parku narodowego i utworzenie nowej jednostki administracyjnej: Królestwa Podhalańskiego, „krainy wolnych górali". Dwa lata temu wraz z prorosyjskim specjalistą od geopolityki Leszkiem Sykulskim zainaugurowali wspólnie działalność Polskiego Ruchu Antywojennego, którego celem jest „powstrzymanie amerykanizacji i ukrainizacji Polski" oraz „normalizacja stosunków z Rosją i Białorusią".

– Korona zamierza odejść w polityce zagranicznej od paradygmatu silnej armii – mówi mi architekt. – Lepiej mieć pokojowe stosunki z sąsiadami niż tysiące czołgów, z których każdy kosztuje tyle, co mały szpital.

Na swym profilu w serwisie X kościeliski góral prezentuje amerykańską flagę, gdzie zamiast 50 gwiazd widnieje jedna – izraelska, z wpisaną w środek swastyką. Prócz tego promuje swą youtubowo-facebookową Telewizję Pitoń, gdzie regularnie robi wywiady z Piskorskim.

Jedną z ciekawszych wrzutek na X Pitonia jest teledysk do rockowej piosenki o Ukraińcach, która zaczyna się pytaniem: „Kto otworzył drzwi naszej ojczyzny dla wrogów nieprzebranych? Kto zwabił ich tutaj hojnymi darami i łatwego życia obietnicami? Kto wpuścił plemię, które w najstraszliwszy sposób wymordowało braci naszych? Będzie musiał stanąć przed sądem i zmierzyć się ze swoimi winami...". Refren: „Tu jest Polska, nie Polin, nie UkroPol i nie eurokołchoz...", koresponduje z programem KKP i panoramą Tatr służącą za tło wielkiej nadmuchiwanej gaśnicy oraz lawety wiozącej billboard: „Nie nasza wojna".

– Skąd u pana ta niechęć do Ukrainy? – pytam architekta.

– Jesteśmy w stanie wojny między globalistami, czyli właścicielami banków oraz korporacji, a Chińczykami i ich sojusznikami: Brazylią, Indiami i Rosją. Globaliści chcieli zdominować świat, by utworzyć jeden rząd planetarny. Społeczeństwa zamienić w multikulturowe zbiorowiska zdemoralizowanych i zdezorientowanych singli: bez narodów, bez różnorodności religii i kultur. Rzesze ogłupiałych niewolników rządzone przez kastę panów.

– Co to ma wspólnego z Ukrainą?

– Globalistycznej szajce nie udało się wywołać totalnego konfliktu na Bliskim Wschodzie, choć zbrodniczy Izrael robi w tym kierunku wszystko, co możliwe. Nie zdołali też rozpętać wojny o Tajwan. Udało się na Ukrainie. Dlatego warto powtarzać do znudzenia: to nie nasza wojna, tylko walka globalistów o panowanie nad światem!

– Co pan robi w Koronie?

– Przede wszystkim pozostaję sobą. W odróżnieniu od centrolewu, czyli Koalicji Obywatelskiej i PiS, gdzie liderzy wycinają mocniejsze indywidualności, w Koronie – jak to ładnie powiedział pan Grzegorz – stoimy obok siebie, zachowując ostry kontur naszych osobowości. Braun daje nam programową swobodę.

– I jak pan z niej korzysta?

– Stworzyliśmy z mojej inicjatywy think tank Wielki Renesans Polski, gdzie przy dziesięciu stolikach tematycznych pracują koncepcyjnie osoby niekoniecznie związane z Koroną: na przykład Radomir Nowakowski albo doktor Piotr Witczak.

Pierwszy jest autorem książki „Depopulacja. Polska i świat w obliczu katastrofy demograficznej". W wywiadzie dla portalu Polonia Christiana (Ordo Iuris) wyjaśnił, czego Polsce trzeba: – Jeśli chcemy, żeby było u nas dobrze, musimy robić dokładnie odwrotnie, niż pisze „Wyborcza". Drugi – specjalista od immunologii po łódzkim Uniwersytecie Medycznym i absolwent Akademii Dietetyki – prowadzi stronę MetalDetoks.pl, gdzie promuje „holistyczne programy odnowy organizmu" i ostrzega przed „związkiem szczepionek z autyzmem". Z tymi ludźmi KKP przygotowuje się – jak mi mówi Pitoń – do wprowadzenia „realnych zmian, które sprawią, że Polska będzie wymarzonym miejscem zamieszkania Polaków".

– W gospodarce chcemy wprowadzić bezobsługowy system podatkowy: jeden procent od każdej transakcji elektronicznej. Działalność gospodarcza małych firm nie wymagałaby rejestracji, państwo kontrolowałoby tylko duże przedsiębiorstwa. Zamierzamy również znieść konieczność przynależności do Izby Lekarskiej – żeby uniezależnić lekarzy od Big Pharmy. Nie musieliby słuchać wytycznych WHO, mogliby stosować zioła czy terapie alternatywne zamiast przepisywania tych kilogramów tabletek, którymi się futruje społeczeństwa...

eprasa.pl 828ea60232

ROLA MARCIN

jest na liście komisji „rosyjskiej"

36-letni dziennikarz z wykształceniem maturalnym, urodzony Warszawiak i twórca internetowej telewizji wRealu24 parę razy pokazał się w towarzystwie Brauna w Jedwabnem, a ostatnio – 18 grudnia – obaj uczestniczyli w warszawskiej promocji filmu o arcybiskupie Marcelu Lefebvre, ultrakonserwatywnym zakonniku, który odrzucił reformy Soboru Watykańskiego Drugiego, szczególnie ekumenizm. Ekskomunikowany przez Jana Pawła II, dawno nieżyjący założyciel sekciarskiego bractwa jest autorytetem religijnym i dla europosła, i dla Marcina Roli, który całym sercem wspiera Koronę. Podobnie wspierał PiS, dziś jednak mówi pogardliwie o „systemie i elektoracie PO-PiS", przekonując 30 tysięcy widzów swojego kanału, że „Jarosław Kaczyński i jego ferajna oszukali polskich patriotów, bo obiecali wstawanie z kolan, a zafundowali nam pełną uległość wobec obcych". Szczególnie władz z Kijowa.

Po grudniowej wizycie Wołodymyra Zełenskiego w Warszawie u Roli można było usłyszeć, że „chce mu się wymiotować na to, co się dzieje obecnie w Ukropolin", czyli w Polsce, gdzie „obrzydliwe, antypolskie kurwiszony" i „banderowskie pampersy" (cytat z byłego premiera Leszka Millera) oddają cześć „cieciowi na hałdzie żwiru, który zaraz ma wciągnąć kreskę" – to znaczy prezydentowi Ukrainy. „Na kolanach przed złodziejem" klęczą wedle Roli takie postacie, jak „Dudenko" (przedostatni prezydent RP), „vel Appelbaum" (Radosław Sikorski) i „inne pomagdalenkowe pomioty spłacające tajne zobowiązania denominowane w szeklach".

Rządowy ośrodek w Magdalence pod Warszawą to jedno z miejsc, gdzie w 1988 roku toczyły się niejawne rozmowy rządzących komunistów z „Solidarnością".

Kanał wRealu24 przed rokiem 2022 miał na YouTubie ponad pół miliona odbiorców. Rola podważał na antenie pandemię koronawirusa (COVID-19 to „spisek multimiliardera Billa Gatesa i koncernów farmaceutycznych"), straszył imigrantami („wszystkich deportować, a dzieci poddać reedukacji w sierocińcach") i ruchem gejowskim. W marcu 2019 roku Grzegorz Braun, występując u Roli, opowiedział się „za penalizacją aktywności homoseksualnej, czyli sodomii jako takiej", a w sierpniu kolejnego roku ultrakonserwatywny korwinista publicysta Stanisław Michalkiewicz zaapelował w tym samym kanale o nieużywanie skrótu LGBT, gdyż „są na to w języku polskim znakomite słowa: zboczeńcy, rozpustnicy, wariaci, co rżną się z każdym, byle był jeszcze ciepły". Później znany z Radia Maryja pogromca masonerii filozof Stanisław Krajski przekonywał widzów, że wojnę w Ukrainie „wywołali Żydzi, którzy chcą tam przenieść swoje państwo", niedoszła zaś europosłanka Konfederacji Lucyna Kulińska ostrzegała, że Ukraina „wkrótce zażąda od Polski kilkunastu powiatów".

Gdy po skargach Stowarzyszenia „Nigdy Więcej" YouTube zablokował telewizję Roli, ten założył „polski odpowiednik YT", platformę BanBye.com. To odwiedzany przez kilkaset tysięcy internautów serwis oferujący podcasty o wyciąganiu skrzepów jelitowych z pomocą masażu, propagujący intronizację Chrystusa na króla Polski i ostrzegający przed „200 milionami ton sterylizujących chemikaliów, które Bill Gates już zrzucił na miasta całego świata" (chodzi o smugi kondensacyjne za samolotami).

W kwietniu Marcin Rola znalazł się w zestawieniu najgroźniejszych osób szerzących rosyjską dezinformację. Listę przygotowała dla ABW rządowa Komisja do spraw badania wpływów rosyjskich i białoruskich pod przewodnictwem gen. Jarosława Stróżyka. Agencja jednak po Rolę nie przyszła, chociaż próbowali zablokować mu wRealu24.tv. Nie udało się, bo stołeczny sąd administracyjny stanął po stronie antyszczepionkowca. Także wcześniejszy proces karny, w którym Rola został oskarżony o użycie wobec uczestniczek Strajku Kobiet określenia „feminazistki", skończył się uniewinnieniem – tym razem przez Sąd Najwyższy. Obsługę prawną zapewniło Roli Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich pod przewodem Krzysztofa Skowrońskiego, szefa Radia Wnet.

RĘKAS KONRAD

zmusił do ucieczki Kwaśniewskiego

51-letni Lublinianin i były przewodniczący tamtejszego sejmiku też figuruje na liście komisji Stróżyka. Choć należy do ścisłej czołówki „frontu gaśnicowego", nie jest formalnym członkiem KKP. We wrześniu 2022 roku stał u boku Brauna na manifestacji „Stop ukrainizacji Polski", obaj występują wspólnie także w e-Misji, wRealu24 i na łamach tygodnika „Myśl Polska", gdzie publikują Piskorski, Agnieszka Piwar – osobista znajoma Aleksandra Łukaszenki i Przemysław Piasta. Ten tułający się po różnych partiach prawicy nacjonalista to kolejna osoba z listy generała Stróżyka, który zresztą określa „Myśl" jako „jeden z głównych hubów rosyjskiej dezinformacji w Polsce".

Rodzicami Rękasa są muzealniczka i prawnik. Ich syn – szkolny prymus i przewodniczący samorządu – w połowie lat dziewięćdziesiątych rozpoczął studia prawnicze na KUL, musiał je jednak przerwać przyłapany na podrabianiu podpisów w indeksie. Dalej pracował jako grabarz, eksporter mrożonych owoców i dziennikarz miejski w „Tygodniku Chełmskim", „Głosie Dorohuska" oraz „Gazecie Bialskiej". Działał też politycznie: jeszcze jako licealista rozklejał w Lublinie plakaty wyborcze ultrakatolickiego posła i senatora Ryszarda Bendera, później współpracował z Konfederacją Polski Niepodległej nieżyjącego już neopiłsudczyka Leszka Moczulskiego.

Jeszcze w ubiegłym stuleciu zapisał się do kanapowego Stronnictwa Narodowego „Szczerbiec" (konkurencja wobec SN senioralnego), w którym starzy judeosceptycy pokroju nieżyjącego już endeka Mariana Barańskiego spotykali się z młodymi skinheadami w rodzaju Tomasza Kostyły, lidera zespołu Legion. Rękas w tym czasie nosił glany, ciasne spodnie oraz czarne koszulki z krzyżami celtyckimi i wilczymi hakami. Politycznie angażował się wszędzie – byle po prawej stronie. Będąc prezesem okręgu lubelskiego „Szczerbca", współpracował z lokalnym Klubem Zachowawczo-Monarchistycznym, osobiście roznosił ulotki Porozumienia Centrum – pierwszej partii braci Kaczyńskich, pracował też w sztabie Lecha Wałęsy podczas wyborów prezydenckich 1995, co nie przeszkadzało mu równocześnie prowadzić lubelskiej kampanii innego kandydata – Stanisława Koźluka.

Ówczesne ataki Rękasa na przeciwników z lewicy zostały w Lublinie zapamiętane: gdy do miasta przyjechał w ramach kampanii Aleksander Kwaśniewski, Konrad z kolegami zablokowali mu wyjście, a potem zaczęli kołysać autokarem, zmuszając przyszłego prezydenta RP do ucieczki pod ochronę policji. Po ogłoszeniu jego zwycięstwa przeszli przez Lublin, niosąc kukłę z gwiazdą Dawida i napisem „Stolzman" (rzekome nazwisko Kwaśniewskiego).

Rozpędzony politycznie dwudziestolatek próbował przejąć władzę w Stronnictwie Narodowym, co się nie udało – musiał opuścić kanapę. Przeszedł do jeszcze skrajniejszej Prawicy Narodowej judeosceptyka Rafała Mossakowskiego i monarchisty Jacka Bartyzela. Gdy w 1997 roku PN weszła w skład AWS, która jesienią wygrała wybory, Rękas zamienił glany na lakierki i wkroczył do polityki dla dorosłych.

Wznowił też studia – dostał się politologię na UMCS. Założył na uczelni Chrześcijańskie Towarzystwo Obywatelskie „Legia Akademicka" i zaprosił na wykład Ryszarda Gontarza, starego antysemitę z „Grunwaldu", tajnego współpracownika SB o pseudonimach „Jasiński" i „Wolanin". Politologii nie ukończył – został po raz drugi złapany na przerabianiu indeksu. Także autografy pod wnioskiem o rejestrację „Legii" jako organizacji społecznej zostały sfałszowane – w 2006 roku sąd skaże za to Rękasa na rok w zawieszeniu.

Wcześniej młody polityk przystał do następnej kanapowej formacji – Stronnictwa Narodowo-Demokratycznego, po czym został podporą komitetu poparcia twardogłowego generała Tadeusza Wileckiego na prezydenta. To środowisko przekształciło się później w Ligę Polskich Rodzin pod przewodnictwem Giertycha, z którym Rękas szybko wszedł w konflikt, w efekcie czego wystąpił z Ligi, by przejść do szóstej partii – Samoobrony Leppera. Z jej listy zdobył w 2002 r. mandat radnego sejmiku. A jako że Samoobrona współrządziła województwem lubelskim – dostał także funkcję sejmikowego przewodniczącego (nie mylić z marszałkiem regionu). Jego rządy były pasmem skandali – zatrudnił w podległym sejmikowi teatrze mamę, żonę i szwagra; zniszczył samochód wiceszefa Stronnictwa Narodowego w Lublinie Andrzeja Sadury, a potem w ramach przeprosin zatrudnił w biurze sejmiku jego syna; ponownie pojawiły się podejrzenia o fałszowanie kwitów. Trzeba się było zwijać.

Wylądował w Ruchu Patriotycznym Antoniego Macierewicza, z którym poznał go Robert Luśnia, tajny współpracownik peerelowskiej bezpieki „Nonparel". Lublinianin organizował Macierewiczowi kampanię w swoim mieście, jednak w wyborach 2005 roku Ruch przepadł – trzydziestoletni Konrad znów musiał zmienić partię. Jego ósmym wyborem stała się Samoobrona Patriotyczna założona przez odstępców z szeregów Leppera. Przed wyborami lokalnymi 2006 r. dostał wysokie miejsce na lubelskiej liście SP, ale gdy w trakcie kampanii wyszło na jaw, że ma proces o fałszowanie papierów, musiał zrezygnować.

Spaliwszy mosty w tylu miejscach, zajął się promocją interesów Rosji. Publikował antyzachodnie i antyukraińskie teksty w xPortalu Bekiera, odwiedził razem z nim i z Piskorskim Jałtę na okupowanym Krymie, by wziąć udział w konferencji na temat Noworosji. Panel poprowadzili latem 2014 r. filozof Dugin, pierwszy „premier" Doniecka Aleksander Borodaj i naczelny separatysta, pułkownik FSB Igor „Striełkow" Girkin, którego ludzie zestrzelili malezyjski samolot rejsowy z 298 osobami na pokładzie. Znajomość z tymi panami przyniosła Rękasowi posadę obserwatora wyborów – w kolejnych latach nadzorował za pieniądze Kremla elekcje w Mołdawii i Azerbejdżanie.

W drugiej połowie roku 2014, gdy wyrok za podrabianie dokumentów uległ zatarciu, Lublinianin spróbował szczęścia w wyborach – teraz wystartował na prezydenta Chełma. Choć zyskał poparcie korwinistów, narodowców, szczątkowego Stronnictwa Demokratycznego, a nawet Solidarnej Polski Zbigniewa Ziobry – udało mu się zdobyć raptem dwa procent głosów. Kolejna próba wyborcza – ponowny start do sejmiku – również zakończyła się klęską.

Rękas się nie poddał – przystąpił do partii Zmiana, by razem z Mateuszem Piskorskim tworzyć Powiernictwo Kresowe. W 2015 roku obaj ogłosili, że będą się domagać odszkodowań za polskie mienie pozostałe na ziemiach zajętych przez ZSSR. Kremlowska propaganda szeroko rozpowszechniła ich pomysł: „W razie wstąpienia Ukrainy do UE mieszkańcy Lwowa będą musieli zwrócić domy Polakom" – ogłosiła agencja Russia Today, a Sputnik i dziennik „Rossijskaja Gazieta" przeprowadziły z Rękasem rozmowy pod tytułami „Zwrot kresów" i „Ostateczne rozliczenie niedługo".

Po aresztowaniu Piskorskiego Rękas wyjechał z Polski. Zamieszkał w Szkocji, gdzie wreszcie skończył studia: ekonomię na University of Aberdeen. Od tego czasu krąży między krajem a Wielką Brytanią, próbując od czasu do czasu sił w jakichś wyborach – ostatnie podejście zaliczył w 2019 roku, startując do Senatu w okręgu chełmskim z poparciem Ruchu Kukiz'15 – zajął ostatnie miejsce i przepadł.

SUMLIŃSKI WOJCIECH

neguje udział Polaków w Jedwabnem

Drogi 56-letniego dziennikarza antyszczepionkowca i europosła Brauna zbiegły się (nie po raz pierwszy) w lipcu 2025 roku w Jedwabnem, gdzie Sumliński – wraz z grupą towarzyszy z Ruchu Obrony Polaków – wystawił alternatywne upamiętnienie mordu na lokalnych Żydach w formie alei z półtonowych głazów nazwanej przez złośliwych „Stonehenge Sumlińskiego". Kamienne bloki stojące na prywatnym polu sąsiadującym z oficjalnym pomnikiem ozdobione są tablicami informującymi, że „dowody i relacje świadków zadają kłam twierdzeniom o polskim sprawstwie mordu na Żydach 10 lipca 1941", ponieważ „w rzeczywistości zbrodni tej dokonał niemiecki oddział pacyfikacyjny pod dowództwem Hermanna Schapera".

Sumliński napisał na ten temat trzy bestsellerowe książki: „Powrót do Jedwabnego 1". „...2" i „...3". Łączna sprzedaż sięgnęła pół miliona egzemplarzy. Jedną z części przeczytałem – to opowieść o dzielnym reporterze (czyli autorze), który walczy z całym światem, chcąc wznowić jedwabieńskie ekshumacje w nadziei, że te doprowadzą do obalenia „kłamstwa o polskim sprawstwie zbrodni". Na marginesie Sumliński stwierdza, że pod okupacją niemiecką Żydom żyło się dużo lepiej niż Polakom, a w gettach „mieli wręcz swoje bezpieczne eldorado" z dobrze zorganizowaną administracją i policją. Te tezy wykpił w grudniu 2025 roku na spotkaniu autorskim w stołecznej kawiarni chrześcijańskiej Agere Contra Jakub Maciejewski z TV Republika. Autor „Powrotów do Jedwabnego", broniąc się, zarzucił Maciejewskiemu, że ten jest „kłamliwym Żydem", i do końca spotkania zwracał się doń per „panie Żydzie".

Gdy wcześniej – w lipcu zeszłego roku – na oficjalne uroczystości rocznicowe przybyli do Jedwabnego naczelny rabin Polski Michael Schudrich, delegaci ambasady Izraela, dwaj polscy księża oraz przedstawiciele rządu i prezydenta Andrzeja Dudy, ich modły i przemówienia zagłuszali uczestnicy równoległego wiecu z udziałem Sumlińskiego, Korczarowskiego, Roli i Brauna. Zebrani z okrzykami: „Wolna Palestyna!", „Chcemy ekshumacji!" i „Hańba!", zablokowali wyjazd, jak go określają „szachraja Schudricha".

Zanim Sumliński zajął się Jedwabnem, pisał między innymi o związkach prezyden-

eprasa.pl 828ea60232

ta Bronisława Komorowskiego z Wojskowymi Służbami Informacyjnymi, agencji wywiadowczej, której oficerowie zdaniem części prawicy nie przeszli weryfikacji po upadku komunizmu, a w wolnej Polsce inwigilowali prawicowych polityków. Zaplątał się przy tym w aferę z udziałem byłych agentów, w efekcie czego prokuratura przedstawiła mu zarzut płatnej protekcji polegającej na oferowaniu jednemu z wojskowych tajniaków pozytywnej weryfikacji w zamian za pieniądze. 30 lipca 2008 roku zagrożony aresztowaniem dziennikarz próbował podciąć sobie żyły w warszawskim kościele Świętego Stanisława Kostki. Po tym incydencie biegli psychiatrzy orzekli, że nie może przebywać w areszcie. Sprawa płatnej protekcji okazała się zresztą dęta i ostatecznie Sumliński został uniewinniony.

Wydana w 2015 r. książka „Niebezpieczne związki Bronisława Komorowskiego" sprzedała się w ponad 150 tysiącach egzemplarzy, lecz również narobiła kłopotów: dziennikarz Jakub Korus zarzucił autorowi, że w ponad 30 miejscach splagiatował fragmenty powieści Alistaira MacLeana, Raymonda Chandlera, Johna Steinbecka, Mitcha Alboma i Paula Coelho. Po Korusie odezwała się Ewa Winnicka z „Polityki", która wytknęła autorowi „Niebezpiecznych związków…", że wcześniej skopiował również fragment jej reportażu. A „Newsweek" odkrył, że jeszcze przedtem Sumliński splagiatował pracę rzekomo napisaną przez własną córkę w prasowym quizie „List do Ojca". Fragmenty pracy zostały przeklejone z książki Michaela O'Briena „Dziennik zarazy".

W 2024 roku Sumliński ogłosił w kanale na YouTubie innego antyszczepionkowca i zwolennika Korony Witolda Gadowskiego, że kończy z dziennikarstwem, by oddać się polityce. W 2025 roku wypuścił jednak kolejną książkę: „Porozmawiajmy o Żydach".

SIERHEJ DARIUSZ

uratowany przez Jezusa przed Szatanem

Członek KKP, taternik, narciarz, biegacz maratonów, zawodnik MMA i odtwórca epizodycznych ról filmowych, a do tego upadły biznesmen, który po wyprowadzce z Warszawy na podlaską wieś stworzył paramilitarną organizację Bronimy Polskiej Granicy (nie mylić z Ruchem Obrony Granic Roberta Bąkiewicza). Należący do BPG bywalcy siłowni w wojskowych uniformach khaki z biało-czerwonymi baretkami i z różańcami na szyjach kilkakrotnie dawali Grzegorzowi Braunowi militarne tło.

Dwa miesiące temu do Korony przystąpił Bekier Bartosz, organizator pierwszego Marszu Niepodległości i założyciel Falangi, wydawca książek Aleksandra Dugina. Jego portal publikował rozmowy z przywódcą „republiki" donieckiej i przywódcą Hezbollahu

W poprzednim życiu Sierhej – reprezentant branży budowlanej, prywatnie singiel – wynajmował apartament z dużą garderobą, wieloma lustrami i widokiem na wieżowce w centrum. Amatorsko grał w filmach („Jak zostałem gangsterem", „Johnny", serial „Chyłka"), chodził do kosmetyczki i na manikiur, o czym wiem z poświęconego mu odcinka pierwszego sezonu reality show telewizji TTV „Dżentelmeni i wieśniacy".

Dariusz był oczywiście dżentelmenem. Informował widzów, że wydanie kilku tysięcy dziennie to dla niego „żaden problem"; pokazywał przy tym kolekcję kosztownych zegarków. Zdradził też, że ma „wraz z przyjacielem" studio tatuażu w Niemczech, a do tego wszystkiego doszedł przed trzydziestką, choć łatwo nie było, bo „od małego musiał walczyć ze Złym" – co z kolei wyznał w poświęconym sobie odcinku programu TVP2 „Zrujnowani. Odbudowani" zatytułowanym „Jak sport i wiara pomogły mi przezwyciężyć Szatana". – Co roku czy co dwa lata jakaś zła siła chciała mnie zabrać z tego świata – wyznał mi w rozmowie sprzed sześciu miesięcy. – Gdy miałem jedenaście lat, o mało się nie utopiłem. Wyciągnięto mnie z dna za włosy. Kiedy jeszcze byłem ministrantem, potrącił mnie tir, jak wracałem z różańca. Takich historii było osiem, aż do momentu, kiedy sam chciałem odebrać sobie życie…

Powód próby samobójczej: – Jak szły kontrakty, to ktoś robił dwie budowy w roku, a ja robiłem kilka razy więcej. Do zatracenia, bo chciałem mieć tak dużo. A kiedy są pieniądze, pojawia się i rozrywka. Wpadłem w jakiś tam hazard. Zły wie, jakie masz słabości, więc ci je podsuwa. Pojawiły się narkotyki i alkohol też. A potem świat przestępczy. Były sytuacje, kiedy słyszałem głos Szatana, żebym kogoś zabił. Lecz kiedy diabeł dojrzał, że ja nikomu krzywdy nie jestem w stanie zrobić, zaczął mi podpowiadać inaczej: „Jesteś do niczego". Słyszałem te głosy non stop. Żebym się zabił, bo jestem tylko robakiem. Przygotowałem pętlę, stołek… po prostu się powiesiłem. Zacząłem wierzgać nogami i dopiero wołać: „Panie Boże, ratuj!". Po dwóch godzinach obudziłem się na podłodze: zakrwawiony, zaszczany… tak jak diabeł mówił: robak. Jednak Jezus mnie uratował. Wiem to po tym, co się zdarzyło w moim życiu później.

Zdarzyło się sporo: Sierhej rzucił Warszawę, firmę, aktorstwo – i wrócił do Krzewicy w gminie Międzyrzec Podlaski, by prowadzić gospodarkę rodziców. Tam skrzyknął grono umięśnionych bywalców strzelnic, fachowców od surwiwalu i uzbrojenia, byłych wojskowych „misjonarzy" z Afganistanu oraz policyjnych emerytów, tworząc z nich „Husarię XXI wieku" (takie mają naszywki), czyli coś w rodzaju oddziałów chroniących zarówno granicę wschodnią, jak i osobiście Brauna, z którym Sierhej poznał się ponad rok temu w trakcie mszy trydenckiej w stolicy. – To był całkowity przypadek, choć ja widzę tu raczej działanie Opatrzności Bożej – mówi mi, podkreślając, jak wielkim szacunkiem darzy „pana Grzegorza".

Stał za nim – wraz ze swymi „zielonymi ludzikami" – na Placu Zamkowym w trakcie mityngu kończącego kampanię prezydencką europosła; ochraniał go też w Jedwabnem. Podczas wiecu „Stop nachodźcom" pod Pomnikiem Polskiego Państwa Podziemnego na Wiejskiej Braun zapowiedział, że Sierhej i reszta „husarzy" pojawią się wkrótce w Sejmie.

WILK JACEK

krytyk „covidowej" polityki rządu

52-letni pochodzący ze świętokrzyskiego Kocina adwokat i mąż adwokatki to zarazem były poseł Kukiz'15 i kandydat na prezydenta (w wyborach z maja 2015 roku zajął przedostatnie, dziesiąte miejsce). Do Korony Brauna dołączył w czerwcu zeszłego roku, opuściwszy Nową Nadzieję Sławomira Mentzena.

Polityczną karierę zaczynał jako młody człowiek w Unii Polityki Realnej – pierwszej partii Janusza Korwin-Mikkego. Gdy po rozłamie w UPR „Krul" stanął na czele nowego ugrupowania – Kongresu Nowej Prawicy – Wilk poszedł tam razem z nim. W 2013 roku został nawet wiceprezesem KNP. W 2017 roku sytuacja się powtórzyła: JKM pokłócił się z podwładnymi w Kongresie i odszedł obrażony zakładać partię KORWiN (późniejszą Nową Nadzieję), a mecenas ponownie powędrował za nim.

Mówi biegle po rosyjsku i ma w Rosji kontakty. Po aneksji Krymu udzielił wywiadu kremlowskiej agencji Sputnik, nawołując do zacieśniania przyjaźni między Warszawą i Moskwą. Po napaści na Kijów ponownie wystąpił w putinowskich mediach, krytykując polską pomoc Ukrainie, która „przynosi same straty" i „niepotrzebnie zadrażnia relacje polsko-rosyjskie". W roku 2016 został członkiem finansowanego z Kremla Sojuszu na rzecz Pokoju i Wolności, który doktor Witkowski opisuje jako „paneuropejską partię faszystów i ksenofobów" wychwalających Putina i rządzącego jeszcze wówczas Syrią okrutnego dyktatora Baszara al-Asada. Do Sojuszu należeli słowaccy faszyści z Partii Ludowej, Włosi z Nowej Siły Roberta Fiore oraz kwestionujący granicę na Odrze i Nysie Niemcy z AfD.

W towarzystwie tych ostatnich Wilk odwiedził w 2018 roku okupowany Krym, by po wizycie oświadczyć w rosyjskiej telewizji, że półwysep „rozwija się w ogromnym tempie" i ma „świetlane perspektywy". Potem pojechał do Moskwy na Międzynarodowe Forum Rozwoju Parlamentów, gdzie wzywał Warszawę do wyłamania się z antyrosyjskich sankcji, ponieważ „polskie towary sprzedają się dużo lepiej na Wschodzie niż na Zachodzie". Jednocześnie zaatakował „banderowską i antypolską" Ukrainę.

Gdy wybuchła pandemia koronawirusa, Jacek Wilk i Włodzimierz Skalik (obecnie poseł Korony) powołali samozwańczą komisję śledczą przy konfederackim Zespole do spraw nadużyć i naruszeń prawa w związku z COVID-19. Efektem pracy tych gremiów była totalna krytyka poczynań sanitarnych rządu PiS i seria zawiadomień do prokuratury przeciw premierowi Mateuszowi Morawieckiemu, ministrom zdrowia Łukaszowi Szumowskiemu i Adamowi Niedzielskiemu oraz paru innym ówczesnym decydentom. Wilk, który prywatnie wydał broszurę instruującą, jak unikać mandatów za nienoszenie maseczek, domagał się również, by prokuratura sprawdziła, czy Rada Medyczna przy Premierze nie jest po cichu finansowana przez producentów szczepionek. Wszystkie doniesienia skończyły się niczym.

Także w kolejnych elekcjach adwokat nie odniósł sukcesu. Mimo że zbierał za każdym razem od kilkunastu do nawet czterdziestu tysięcy głosów, przepadł w wyborach do europarlamentu w 2019 roku, w wyborach sejmowych 2023 i kolejnych europejskich w 2024. Zniechęcony zaczął krytykować macierzystą partię. W TOK FM stwierdził, że Konfederacja jest śmiertelnie chora, a cała jej doktryna „sprowadza się do tego, by w przyszłym parlamencie wejść w koalicję z PiS i zająć jakieś stanowiska rządowe". W związku z powyższym jedynym gwarantem realnej zmiany w Polsce jest dziś Grzegorz Braun. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34414015

TEMAT NUMERU:

ODPORNOŚĆ PSYCHICZNA

- Sposoby na wypalenie zawodowe
- Zazdrość nie musi być zła
- Synowa kontra teściowa
- Na stres mamy wpływ

żyć lepiej
psychologia codziennie

Więcej o psychologii czytaj na **wysokieobcasy.pl/zyclepiej**

1 RP

eprasa.pl 828ea60232

„Utuskiwanie” na Tuska

Tytuł książki Andrzeja Dudy może brzmieć dumnie: to ja, cały ja, którego do tej pory nie znaliście; może też jednak być rozpaczliwym: nie pamiętacie mnie?

Michał Rusinek

Niedawno jeden z portali donosił: „Już jutro wielkie wydarzenie w świecie literatury”. Jeśli jednak spodziewaliśmy się nazwisk ze światowych list bestselerów – czekało nas spore zaskoczenie. „Jutro w Belwederze spotkane autorskie wokół książki »To ja. Andrzej Duda«” – wyjaśniał portal. – „W rozmowie wezmą udział prezydent Karol Nawrocki i były prezydent Andrzej Duda – obaj z dorobkiem pisarskim. Książka dostępna w sprzedaży za 99 zł (literatura z najwyższej półki państwowej)”.

Informacja ta mówi sporo o naszych czasach. Jeśli pisarz czy pisarka napiszą książkę, to nie jest fakt warty odnotowania. Jeśli jednak przedstawiciele czy przedstawicielki innych profesji napiszą książkę – jest to wydarzenie. Jeśli w dodatku autorem jest osoba, która pełniła do niedawna najwyższą funkcję w państwie – jest to wydarzenie wielkie.

●

Przegapiliśmy promocję, ale na stronie internetowej prezydenta znaleźć można obszerną relację z tego wydarzenia oraz nagranie video. Spotkanie poprowadził Maciej Zdziarski – dziennikarz, fotografik, działacz społeczny, menadżer, obserwator ptaków (jak czytamy w jego biogramie). A przede wszystkim człowiek, który pomógł byłemu prezydentowi napisać książkę „To ja. Andrzej Duda”.

Nie należy wypowiadać się o książkach, których się nie czytało, można jednak wypowiedzieć się o tytule, który w tym przypadku jest dość ryzykownym bytem językowym, otwartym na cały wachlarz interpretacji, zależnych od intonacji. Może brzmieć dumnie: to ja, cały ja, którego do tej pory nie znaliście; może też być rozpaczliwym nawoływaniem o przypomnienie sobie, że mieliśmy takiego prezydenta... Na razie jednak pamiętamy, kim był Andrzej Duda i dla osób zaproszonych na promocję tytuł ten musiał brzmieć dumnie, zwłaszcza że z dumą go wymawiał redaktor Zdziarski.

●

Promocja książki okazała się jednak zmyłką. Rozmowa – zwana także dla zmyłki debatą – dotyczyła głównie bieżących spraw politycznych, była utyskiwaniem na Tuska (czyli właściwie „utuskiwaniem”, bo ten tryb wypowiedzi, szalenie popularny na polskiej prawicy, zasługuje na osobne określenie). Narzekano także na niedoskonałości polskiej konstytucji, na Unię Europejską oraz podkreślano wagę sojuszu z obecną administracją USA. Już w samych pytaniach redaktora Zdziarskiego pojawiały się odpowiedzi, czy raczej podpowiedzi, kiedy na przykład mówił, że obecny rząd traktuje przecież prezydenta jak „intruza”, który ma wyłącznie „czytać z kartki rządowe instrukcje”. Prezydent Nawrocki mówił głównie o sobie, na przykład że w czasie wyborów prezydenckich był „underdogiem”, czyli posłużył się nowoczesnym określeniem sportowym. Nowoczesnym, bo w języku komentatorów sportowych do niedawna funkcjonowało głównie określenie „czarny koń”. „Underdog” wywodzi się z walk psów i oznaczał kiedyś psa leżącego na dole podczas walki, ma więc o wiele bardziej brutalne konotacje niż literacki „czarny koń”, pochodzący z opublikowanej w 1831 roku powieści „Młody książę” Benjamina Disraelego.

Wróćmy jednak do literatury rodzimej z najwyższej półki państwowej. Sporo pytań redaktora Zdziarskiego dotyczyło relacji między prezydentami. Karol Nawrocki nazwał je życzliwymi, natomiast Andrzej Duda wzruszył się wspominając moment przekazywania urzędu, które odbyło się „z wielką klasą i niezwykle elegancko”. „Jakże pięknym przykładem gwarancji ciągłości władzy państwowej było przekazanie władzy prezydenckiej przez dwóch mężczyzn sobie wzajemnie” – powiedział Andrzej Duda uśmiechając się adekwatnie pięknie i zostawiając nam przed oczami ten sugestywny i wieloznaczny obraz.

●

Dopiero w 47. minucie spotkania – trwającego godzinę – pojawił się temat książki „To ja”. Karol Nawrocki przyznał, że nie przeczytał jej całej, ale pozwolił sobie na pewne uwagi o charakterze krytycznoliterackim: „130 stron przeczytałem, bardzo mi się podoba ta książka, narracja jest prowadzona w sposób publicystyczny. [...] Myślę, że sama konstrukcja książki jest ciekawa”. Po czym wyraził radość, która, przyznajmy, towarzyszy nam wszystkim, kiedy znajdujemy swoje nazwisko w indeksie osobowym cudzej książki: „Cieszę się, że znalazło się miejsce dla naszych wspólnych doświadczeń z panem prezydentem Dudą w tej książce.”

Autor wytłumaczył nam sens jej tytułu. Powiedział, że w czasie swojej prezydentury nasłuchał się i naczytał wielu nieprawdziwych sądów o sobie, ale postanowił przyjąć je z wyrozumiałością, bo „każdy może mieć swój punkt widzenia i ocenę [...], ale ja mam prawo do swojej”. Dlatego książka nosi taki tytuł, bo to jest historia Andrzeja Dudy opowiedziana z perspektywy Andrzeja Dudy.

Karol Nawrocki, zapytany, co go zaskoczyło w pierwszych miesiącach prezydentury, odpowiedział, że to, co mówiono na jego temat, więc mógłby już napisać książkę zatytułowaną „To nie ja” – o tym, czego się o sobie dowiedział. Ten wysublimowany żart mógł stać się momentem przełomowym tego spotkania, bo intertekstualnym. Nawrocki odwołał się bowiem – mniejsza o to, że zapewne nieświadomie – do frazy unieśmiertelnionej przez Arthura Rimbauda („Je est un autre”), Gérarada de Nervala („Je suis l’autre”), czy też wykorzystanej w tytule książki noblisty Jona Fosse’a („Eg er ein annan”). Gdyby redaktor Zdziarski to dostrzegł przez swoje pokryte grubą warstwą wazeliny okulary, spotkanie mogłoby nawet spełnić oczekiwania warszawskiego portalu informacyjnego.

Ba, mogłoby i trafić na inne portale, o zasięgach o wiele większych, bo przecież „To nie ja” to także tytuł pamiętnej piosenki Edyty Górniak. Tekstem zawierającym odniesienia biblijne oraz kilka głęboko symbolicznych fraz: „Jestem białą, czystą kartką pośród was”, „Ja – papierowa marionetka, muszę grać” oraz „Jestem po to, by kochać mnie”. Już nie możemy się doczekać kolejnej książki „z najwyższej półki państwowej”, a zwłaszcza spotkania ją promującego. ●

Kasyno, katedra, kontrrewolucja

Jak się przykładać do pracy, żeby za 15-20 lat być „gdzieś”, skoro nawet nie wiadomo, czy wtedy dany zawód będzie istniał?

Marcin Matczak

Użytkownik sysls opublikował niedawno na platformie X tekst, który czyta się jak instrukcję obsługi współczesnej frustracji. „Więzienie finansowej przeciętności” nie jest o „pokoleniu płatków śniegu” ani o tym, że za naszych czasów to się chciało, a teraz nikomu się nie chce. Jest o czymś znacznie bardziej niepokojącym: że młodzi ludzie chodzą dziś po świecie jak po domu, w którym ktoś zamurował wyjściowe drzwi.

Widzą przez okna, że inni wyszli, mają pracę, mieszkania, stabilność. Ale sami nie bardzo wiedzą, jak ten dom opuścić. A portale społecznościowe ciągle podsycają ich frustrację, pokazując coraz lepsze domy, auta i ciała, które inni mają, a których oni nigdy nie będą mieć.

Pokolenie kasyna

Ktoś wprawdzie wciąż udziela im tej samej rady: ucz się, pracuj, awansuj, bądź cierpliwy, ale to brzmi dziś dla nich coraz bardziej abstrakcyjnie. Płace rosną wolno, ceny mieszkań szybko. Lojalność wobec jednej firmy nie jest już atutem, tylko sygnałem, że coś z tobą nie tak.

A nad tym wszystkim krąży widmo sztucznej inteligencji, które wieszczy: „może jeszcze dziś ci pracy nie odbiorę, ale niedługo już tak”.

Jak się przykładać do pracy, żeby za 15-20 lat być „gdzieś”, skoro nawet nie wiadomo, czy wtedy dany zawód w ogóle będzie istniał? A skoro nie ma już długiego dystansu, to po co planować jak maratończyk?

I tu główna teza tekstu: skoro system przestał nagradzać cierpliwość, ludzie przestają być cierpliwi. Zamiast mozolnego wspinania się po drabinie, która może zostać w każdej chwili odstawiona od ściany, wybierają skok w ciemno, czyli ryzyko. W ten sposób rodzi się pokolenie kasyna.

Nie takiego stacjonarnego kasyna, z ruletką i neonami. Kasyna jako symbolu szansy na zwrot w życiu, na wielką wygraną małym kosztem. Na szybką karierę influencera, którym można się stać dzięki jednemu filmowi. Jak Hailey Welch, dziewczyna „Hawk Tuah”, która zdobyła sławę po przypadkowym, ulicznym wywiadzie. Takie kasyno to kryptowaluty i memecoiny oraz inne cudowne obietnice szybkiego zarobku. To rynki predykcyjne, zakłady sportowe, „genialne kursy inwestowania”.

Autor wie, że większość w tym kasynie przegra, i że młodzi też to wiedzą. Po prostu wolą małą szansę na wygraną teraz niż – według nich – pewność, że będą tkwić w miejscu.

Przekonujące, ale jednostronne

Pokolenie kasyna nie jest głupie, tylko desperacko próbuje odzyskać sprawczość. Bo w kasynie decyzja nadal coś znaczy. Możesz przegrać, ale przegrywasz na własnych zasadach. Klikasz, ryzykujesz, czujesz, że grasz i że żyjesz. A nie czekasz, aż ktoś łaskawie uzna, że już zasłużyłeś.

Ten tekst celnie opisuje poczucie blokady pokoleniowej, zerwanie „kontraktu cierpliwości”, presję czasu wywołaną przez sztuczną inteligencję oraz psychologię ryzyka w warunkach braku realistycznych ścieżek awansu. To wszystko jest przekonujące.

Ale dosyć jednostronne. Autor utożsamia sprawczość niemal wyłącznie ze sprawczością ekonomiczną i przyjmuje, że odpowiedzią na blokadę materialną jest eskalacja ryzyka materialnego. Człowiek u niego to homo oeconomicus, a nie istota zdolna do redefinicji sensu, statusu czy sukcesu. Ale czy gdy potrzeby wyższe są zablokowane przez ekonomię, to muszą zostać odblokowane ekonomicznie? Ludzie potrafią robić jeszcze inne rzeczy. Na przykład wycofać się z wyścigu albo zredefiniować to, co uważają za wygraną.

Kiedy ekonomia wysiłku przestaje działać, ludzie nie zawsze biegną do kasyna. Historia zna jeszcze inne drogi ucieczki. Na przykład do katedry: w kierunku duchowości i religijności (także pozainstytucjonalnej), minimalizmu i ascezy czy powrotu do tradycyjnych wartości.

Gdy gra jest ustawiona (albo wszyscy tak myślą), a cnota nie prowadzi do sukcesu, szukanie sensu przenosi się z ekonomii w inne obszary. Skoro nie da się wygrać, można przestać mierzyć życie kategoriami wygranej.

Świat zapomniał dotrzymać słowa

W schyłkowym Rzymie, gdy wpływ na państwo stał się przywilejem nielicznych, wielu szukało sensu w stoicyzmie. W średniowieczu, gdy dżuma kasowała dorobek życia, odpowiedzią na kruchość świata stała się żarliwa asceza i budowanie wspólnot duchowych. Kiedy renesansowy Kościół zaczął mówić językiem pieniędzy i odpustów, sens odnaleziono w surowej dyscyplinie wczesnego protestantyzmu.

Podobnie gdy XIX-wieczna fabryka odebrała satysfakcję z rzemiosła, pojawiły się idee „powrotu do natury” i socjalistyczne komuny. Gdy w latach siedemdziesiątych XX wieku zachodni sen o nieustannym wzroście wyhamował, młodzi odkrywali zen, jogę i życie poza systemem. Po kryzysie 2008 r. część znów wybrała mindfulness i wewnętrzną emigrację, ale inni gniew – populistyczne „przewrócenie stolika”. „I tak przy nim nie siedzimy, a może, jak się wszystko poskłada na nowo, sytuacja będzie lepsza”. To druga droga: kontrrewolucja.

Kasyno pokazuje, jak do nowej sytuacji adaptują się jednostki. Populizm to adaptacja zbiorowa. Skoro system się domknął, można spróbować go przeskoczyć albo rozwalić. „All-in” to także polityczne postawienie wszystkiego na jedną kartę. Ta sama emocja: złość, presja czasu i poczucie bycia oszukanym. W efekcie rośnie poparcie dla przemocy symbolicznej, wobec „ustawionych” elit, i popyt na silne figury decyzyjne.

Populizm to polityczne kasyno, ale znacznie bardziej dostępne. Nie wymaga kapitału ani blefu. Wystarczy gniew.

A może kasyno, katedra i kontrrewolucja to trzy reakcje na ten sam moment dziejowy? Jedni grają coraz ostrzej, drudzy szukają sensu poza grą, a trzeci chcą rewolucji. Do katedry idą młodzi faceci, na barykady młode kobiety, a pośrodku stoją głosujący na Mentzena miłośnicy szybkiego zysku na kryptowalutach? A wszyscy stają się coraz bardziej usztywnieni co do wartości, w które wierzą – czy to skrajnie prawicowe, czy to skrajnie lewicowe.

Kasyno, katedra i kontrrewolucja to trzy odpowiedzi na ten sam kryzys świata, który obiecał, że jeśli będziesz grzeczny i cierpliwy, to wszystko się ułoży. Ale potem zapomniał dotrzymać słowa. ●

Śródtytuły od Redakcji

1 RP

eprasa.pl 828ea60232

ŚWIAT

Kartel Mexico

To niestety prawda – mówią mi były szef wywiadu, były minister i dziennikarze śledczy o zarzutach Trumpa wobec ich kraju.

Maciej Stasiński

FOT. CRISTOPHER ROGEL BLANQUET/GETTY IMAGES

• **Claudia Sheinbaum – pierwsza kobieta na stanowisku prezydenta Meksyku – podczas ceremonii inaugurującej jej rządy. Miasto Meksyk, 1 października 2024 r.**

eprasa.pl 828ea60232

Wiek XX pokazał, że dyktatury nie łamią społeczeństw na zawsze, nie są wieczne i po mrocznych czasach nadchodzi wolność. Tak było w Europie Środkowo-Wschodniej po dziesięcioleciach komunizmu, tak było w Argentynie, Chile, Brazylii, Gwatemali, Salwadorze, Nikaragui czy Boliwii, gdzie junty wojskowe padały pod własnym ciężarem lub ustępowały rządom prawa i demokracji.

Także w Meksyku w 2000 roku po 72 latach wszechwładzy państwowej monopartii PRI ustanowiono demokrację liberalną. Była wątła i krucha, ale trzymała się 18 lat. Jednak nie zakorzeniła się dość mocno. Dzisiaj pada, ale nie pod ciosami rewolucji, puczu czy zamachu stanu. Od 7 lat krok po kroku niszczą ją „pokojowo" prezydent Andres Manuel Lopez Obrador, zwany potocznie AMLO, i jego następczyni Claudia Sheinbaum, oboje wybrani w uczciwych i wolnych wyborach.

Oboje zapowiadają nowe czasy i szczęście ludu. Wszystko, co mówią i robią, czynią w imię jego dobra. Codzienne 2-3-godzinne poranne świeckie kazania prezydenta Obradora, a od ubiegłego roku prezydent Sheinbaum, nazywają się „Porankami ludu", „Mananeras del Pueblo". Pamiętam wenezuelskiego prezydenta Hugo Chaveza na wiecu w Caracas. Nie przemawiał. Godzinami gadał, gromił wrogów ludu i przymilał się do tłumu, rozmawiał z nim, gawędził, recytował, śpiewał. Ludzie ukołysani i wpółpijani whisky rozdawaną w barach na kołach byli uwiedzeni. Nagle zawołał: – Do jasnej cholery, Ja nie jestem już sobą! Jestem narodem!

„Mananeras" grały według tej samej partytury.

•

Kilka miesięcy temu rząd ostatecznie unicestwił niezależny wymiar sprawiedliwości. Reformę sądownictwa, demokratyczną i w interesie ludu, jak zapewniają AMLO i Sheinbaum, a polegającą na tym, że sędziów wszystkich szczebli powołują w wyborach obywatele, przepchnęła przez parlament rządząca partia MORENA. Kwalifikowaną większość konstytucyjną 2/3 głosów dało jej w 2024 sporne orzeczenie trybunału wyborczego. MORENA i jej koalicjanci dostali w wyborach 53 procent głosów, ale trybunał przyznał jej 73 procent mandatów.

Zwolniono za jednym zamachem 700 doświadczonych sędziów zawodowych i powołano mianowanych przez partię nowych, niekompetentnych, a czasem wręcz adwokatów reprezentujących znanych bandytów.

Sąd najwyższy w 80 procentach obsadzono sędziami lojalnymi wobec rządu, pozbawiono specjalistycznych izb, a specjalny trybunał dyscyplinarny może karać nieposłusznych sędziów bez prawa do odwołania.

Wcześniej rząd przejął niezależny Narodowy Instytut Wyborczy gwarantujący od 25 lat uczciwe, równe i przejrzyste wybory. Zlikwidował niezależny Instytut Jawności Informacji Publicznej oraz niezależny urząd telekomunikacji dbający o niezależność i pluralizm mediów.

Od lat niezależne media są szykanowane, a dziennikarze, publicyści, historycy, politolodzy i wszelkie autorytety publiczne krytykujące rządy AMLO i Sheinbaum piętnowani przez rząd jako wrogowie ludu i faszyści. Pod groźbą kontroli skarbowych lub prokuratorskich oraz wycofania ogłoszeń rząd wymusza czystki krytycznych dziennikarzy lub zatrudnianie „dla równowagi" klakierów.

Najbardziej dokuczliwi są piętnowani z imienia i nazwiska jako wrogowie na prezydenckich pogadankach. W czasie sześcioletnich rządów Obrador atakował Enrique Krauzego, jednego z najwybitniejszych historyków i intelektualistów meksykańskich, 472 razy, niekiedy zachęcając publiczność, by się dowiedziała, gdzie mieszka.

FOT. AVID MAUNG/BLOOMBERG VIA GETTY IMAGES

Prezydent oraz rządząca partia MORENA mają olbrzymią władzę. Większość 2/3 w obu izbach parlamentu daje im możliwość uchwalenia dowolnego prawa. Ostatnią cegiełką jest reforma ordynacji wyborczej. – To jest radykalna zmiana ustroju, ustanowienie wszechwładnego monopolu MOREN-y, która wiernie kopiuje ancien régime PRI – mówili wybitni konstytucjonaliści, publicyści i historycy dziejów najnowszych na listopadowych seminariach w trakcie Międzynarodowych Targów Książki w Guadalajarze.

40 PROC.
• **przychodów karteli i mniejszych gangów w Meksyku pochodzi z marihuany, kokainy, metamfetaminy i fentanylu.**

60 PROC.
• **to haracze pobierane od wszystkich legalnych przedsiębiorstw, od kopalni przez plantacje po bary i restauracje**

Ich diagnozy, że Meksyk zamierza w stronę nowej populistycznej tyranii, powtarzały się jak refren:

– Nie ma wątpliwości, że mamy do czynienia ze zmianą ustroju. Niszczone są instytucje kontrolne – mówiła Azul Aguiar, profesorka nauk politycznych z uniwersytetów we Florencji i Guadalajarze.

Prawno-instytucjonalne ograniczenia władzy wykonawczej, wątłe już wcześniej, znikają po kolei – wtórowała Ana Laura Magaloni, profesorka prawa uczelni UNAM (Universidad Autonoma de Mexico). – Demokracja i równość wobec prawa nie zdążyły zejść na dół, ograniczały się do elity społecznej, nie były demokracją dla wszystkich. Dlatego społeczeństwo ma w nosie wymiar sprawiedliwości i to, co z nim robi władza.

– Nie wiemy, jak nazwać to nowe zwierzę, ale nowy ustrój to dwugłowy potwór. Ma łeb despotyczny i łeb kryminalny. Nadciąga długa noc – twierdzi Jesus Silva Herzog, pisarz, historyk, profesor studiów politycznych na Uniwersytecie Technologicznym w Monterrey.

– Populizm prawny hołdujący kryteriom politycznej użyteczności, a nie prawnym zasadom, zastępuje rządy prawa – tłumaczył Jesus Garza Onofre, profesor prawa z uniwersytetu ITAM.

– Konstytucja stanowi, że Meksyk jest republiką federalną opartą na podziale władz. Od 2024 roku nie mamy już ani republiki, ani federalnej, ani demokratycznej, ani podziału władz. To jeszcze nie jawna dyktatura. To dyktatura wschodząca. Rusztowanie jest gotowe. Teraz władze chcą ją ustanowić – tłumaczył Hector Aguilar Camin, pisarz, historyk i autor książki „Dyktatura kiełkuje. Dziennik niszczenia meksykańskiej demokracji", w czasie konferencji „Requiem dla demokracji" w Guadalajarze.

– Społeczeństwo nie wierzy, że demokracja niesie mu lepsze życie. Nie wierzy, że dzieci będą się miały lepiej niż rodzice. Sądzi, że lepszy jest ustrój autorytarny. Dlatego kupuje demagogię populistyczną i akceptuje nadużycia władzy – mówił Ricardo Becerra, prezes Instytutu Studiów nad Przemianami Demokratycznymi.

•

Nowy mesjański populizm ma głównego kapłana. Dziś AMLO, formalnie na emeryturze, patronuje wskazanej przez siebie następczyni Claudii Sheinbaum.

W 2018 roku Andres Manuel Lopez Obrador startował po raz trzeci jako weteran polityki, długoletni działacz dawnej monopartii państwowej PRI, a potem jej odłamu PRD (Partii Rewolucji Demokratycznej), z ramienia której był przez sześć lat burmistrzem stolicy Ciudad de Mexico. Poprzednie wybory prezydenckie przegrywał – w 2006 roku z Felipem Calderonem, kandydatem opozycji konserwatywnej PAN, a w 2012 z Enriquem Peną Nietem z wracającej do władzy PRI. W 2012 roku AMLO zerwał z PRD i założył własną Partię Odrodzenia Narodowego MORENA. Kryzys demokracji spowodowany lawinowym wzrostem przestępczości, któremu nie zapobiegła walna wojna z kartelami narkotykowymi wypowiedziana przez prezydenta Calderona, dała mu do ręki bicz. W latach 2007-18 ginęło w Meksyku w wojnie rządowej armii z bandytami z karteli co roku od 25 do 35 tysięcy osób.

1 RP

eprasa.pl 828ea60232

• Meksykańscy żołnierze rozładowują transport z paczkami skonfiskowanej marihuany, którą później spalą. Podczas wspólnej akcji wojska i policji udaremniono przemyt do USA 134 ton tych narkotyków. Baza wojskowa w Tijuanie, 20 października 2010 r.

16

MLN

• Meksykanów opuściło strefę biedy podczas sześcioletnich rządów prezydenta Lopeza Obradora za sprawą transferów gotówkowych

700

ZAWODOWYCH SĘDZIÓW

• zwolniono w Meksyku w ramach „reformy" wymiaru sprawiedliwości

AMLO ogłosił, że cała klasa polityczna, „neoliberalna oligarchia", zawiodła naród, więc teraz on upomni się o jego prawa.

W 2018 roku objechał cały kraj, w odległych, opuszczonych miasteczkach ściskał ręce ludzi, rozmawiał, przyznawał rację w ich skargach, prawił mądrości życiowe i błogosławił. Z 53 procentami głosów zdobył władzę.

To, co nastąpiło potem, spełniło najgorsze wróżby ludzi, którzy przestrzegali przed demagogiczną ludomanią AMLO, Tropikalnego Mesjasza, jak go nazywa historyk i pisarz Enrique Krauze.

•

Swoje rządy od początku obwołał dziejowym przełomem, który zapoczątkuje erę szczęśliwości narodowej, czwartą transformacją. Pierwszą była wojna o niepodległość zapoczątkowana w 1810, drugą wielkie liberalne reformy konstytucyjne 1857-68, trzecią rewolucja meksykańska 1910-20.

Prezydent zapoczątkował codzienne, transmitowane w telewizji poranne pogawędki z narodem, które prowadził na podobieństwo neoewangelickich kaznodziejów. Wpuszczał na „Mananeras" tylko „słusznych" dziennikarzy, a innych albo wykluczał, albo wyklinał jako wrogów ludu. Godzinami rozprawiał na dowolne tematy, gawędził o historii uciśnionego ludu i jego bohaterach. Stałym motywem były wyszukane inwektywy pod adresem „tych na górze", „mafiosów", „bogaczy", „ważniaków", „oprawców" i „spryciarzy". Publicysta i intelektualista Gabriel Zaid nazwał AMLO „poetą obelgi". Niewygodne pytania prezydent ignorował albo uchylał, a gdy przypominano mu fakty, dociekliwych zbywał: – Ja mam inne dane.

Czwarta transformacja Meksyku ruszyła z kopyta.

Na początek prezydent zarzucił budowę nowoczesnego międzynarodowego lotniska w stolicy rozpoczętą za poprzedniego rządu. Nie bacząc na koszt inwestycji zaawansowanej w 40 procentach (rząd musiał zapłacić 60 miliardów pesos, około 3 miliardów dolarów), ogłosił, że naród jej nie potrzebuje, i przeznaczył teren pod wielkie tereny rekreacyjno-sportowe.

Potem ogłosił budowę 1500-kilometrowej kolei przebiegającej przez puszcze tropikalne Półwyspu Jukatan. Kolej, której budowę zlecił armii, miała przynieść dobrobyt i cywilizację ludności regionu pozbawionego nowoczesnej sieci komunikacyjnej i transportowej.

– Nie zrąbiemy ani jednego drzewa – obiecywał Lopez Obrador. Rychło się okazało, jak wielkie zniszczenia unikalnej przyrody Jukatanu przynosi bizantyjska budowa z jej rabunkową wycinką puszczy i dewastacją podziemnych jezior, przebijaniem dróg żelaznych przez rezerwaty przyrody Selva Maya i Biosefera Calakmul, dzikim wywłaszczaniem gruntów, budową infrastruktury bez zezwoleń. Te zniszczenia i nadużycia potwierdzały wymagane prawem ekspertyzy rządowych (Procuraduría de Protección al Ambiente – Profepa) i niezależnych instytutów ochrony przyrody. Prezydent wszystko zignorował. Obrońców przyrody, autorów ekspertyz wyzywał od „pseudoekologów", a wojskowym budowniczym kazał je ignorować i zaskarżał w sądzie najwyższym.

Dziś kolej jest ukończona, ale nikt i nic nią nie jeździ. Według raportów jest wykorzystywana w 2-3 procentach.

Trzecim gigantomańskim przedsięwzięciem AMLO jest budowa ogromnej rafinerii Dos Bocas, która ma przywrócić Meksykowi utraconą rangę potęgi naftowej, którą stracił wskutek spadających cen ropy oraz marnotrawnego monopolu państwowego Pemexu.

Wojsku, armii lądowej i Marynarce Wojennej prezydent dał ogromną władzę i pieniądze. Powierzył im bowiem zarząd ceł, portów, kolei, dworców i lotnisk.

•

Żeby zaradzić historycznym nierównościom materialnym i społecznym, prezydent nie szukał reform strukturalnych. Biednej większości społeczeństwa dawał pieniądze do ręki. Podniósł pensję minimalną – wcześniej nikczemnie niską – oraz rozdał różnym grupom społecznym dotacje, zapomogi i stypendia oraz inne świadczenia. Samotne matki, rodziny wielodzietne, emeryci, niepełnosprawni, młodzi bezrobotni, ludy tubylcze dostawały zapomogi z ręki władzy. W rozdawnictwie pośredniczyła armia tysięcy sług ludu, młodych ludzi rozsyłanych po domach w całym kraju, żeby wybadali potrzeby społeczeństwa i nieśli dobrą nowinę.

– To oni, słudzy ludu, dzień w dzień, w skwarze i plusze, bez wytchnienia, pieszo lub samochodami, przemierzają drogi, miasteczka, wioski i osady nawet najdalej oddalone, gdzie nikt nigdy nie zaglądał, żeby nieść programy społecznej pomocy tym, którzy przez dziesięciolecia pozostawali niewidoczni, a dziś są najważniejsi – głosi rządowa strona internetowa.

Na potrzeby rozdawnictwa prezydent przeznaczał fundusze rezerwowe i drenował budżet, okrawał budżety służby zdrowia i edukacji. Szpitalom brakowało pieniędzy i leków, kolejki do lekarzy się wydłużały, w szkołach brakowało nauczycieli i miejsc na nowych uczniów, ale ludzie dostawali pieniądze do kieszeni. Według szacunków w ciągu sześciu lal rządów AMLO z darowizn i zapomóg skorzystało około 15 milionów Meksykanów, którzy statystycznie, czyli licząc dochód roczny, opuścili strefę biedy. Jednak wszyscy ci obdarowani dalej pozostają na zasiłku państwa, nie mają lepszej pracy ani perspektyw zawodowych i życiowych.

Ekonomiści – również związani z rządem, jak Gerardo Esquivel – uważają, że źródło tych dotacji jest na wyczerpaniu. Jeśli Meksyk nie zacznie się gospodarczo rozwijać, rząd nie będzie miał skąd brać na transfery socjalne. Tymczasem od 7 lat rozwija się ledwo – w tempie 1 procent przyrostu PKB rocznie.

W czasie pandemii COVID-19 prezydent zachowywał się jak inni negacjoniści: Jair Bolsonaro w Brazylii czy Donald Trump w USA. Zaprzeczał epidemii, ukrywał dane o jej zasięgu, sabotował walkę z wirusem, odradzał noszenie maseczek, nie importował szczepionek i sabotował szczepienia. Nie zamknął granic, nie zaprzestał wiecowania z wyborcami. Przeciwnie, zachęcał do publicznego bratania się, rozdawał ludziom amulety i zaklęcia przeciw epidemii. Na czele ministerstwa zdrowia postawił szarlatanów. Kiedy media wytykały mu ignorancję i lekceważenie pandemii, wyzywał krytyków od „dziennikarzyn bez moralności".

Postępowanie AMLO kosztowało Meksyk większość z blisko 800 tysięcy zgonów. Rząd zaniżył dane do 300 tysięcy.

•

Ale najbardziej złowieszczym osiągnięciem AMLO jest jego pakt z archipelagiem zbrodni. Już na początku sześcioletniej kadencji zerwał z polityką poprzednich prezydentów ścigających kartele Sinaloa, Tijuana, Los Zetas, Kartel z Zatoki, Familia Michoacana czy Jalisco Nueva Generacion. Prezydent proklamował „politykę miłości" wobec bandytów, „Abrazos y no Balazos" – „Nigdy więcej kul, więcej przytulania".

Lopez Obrador zawiesił wojnę z bandytami, bo uznał, że jego poprzednicy nic nie wskórali, skoro w latach 2007-14 zginęło co najmniej 180 tysięcy osób. W ciągu jego sześciu lat (2018-24) rząd z bandytami więc nie walczył, natomiast bandyci dalej zabijali. Tyle że teraz bezkarnie. Rozciągali macki i rozprawiali się sami ze sobą, walcząc o terytoria, władzę nad życiem lokalnych społeczności i szlaki szmuglu narkotyków. Za kadencji AMLO zginęło kolejnych 200 tysięcy osób. W samym tylko 2024 roku 35 tysięcy.

Wstrzemięźliwość państwa, w istocie zielone światło, pozwoliła kartelom, które wcześniej w wyniku brutalnej wojny z rządem oraz wewnętrznych dintojr rozdrobniły się na mniejsze, autonomiczne gangi, sterroryzować całe połacie kraju, opanować władze lokalne, a nawet przejmować wytwórczość i handel. W zamian za bezkarność bandyci zapewniali partii prezydenckiej MORENA zwycięstwa w wyborach lokalnych do parlamentów stanowych i władz miejskich, choć niekiedy przepychały własnych kandydatów. Żeby wyniki głosowań wypadły właściwie, gangi porywały i zastraszały członków komisji wyborczych i mężów zaufania.

Kartele zbudowały rozległy archipelag bandyckich państewek, które w drodze terroru i przekupstwa – a mogły kupić każdego: od policjanta i prokuratora po burmistrza i gubernatora stanu – objęły władzę nad życiem mieszkańców i gospodarką stanów: Sinaloa, Chihuahua, Coahuila, Sonora, Zacatecas, Tamaulipas, Michoacan, Guerrero i Jalisco.

Kiedy krwawe rozprawy karteli nasilały się ponad miarę, prezydent dobrotliwym tonem perswadował w porannych kazaniach, by bandyci „nie przesadzali" z przemocą i „oszczędzali ludność cywilną". Po ojcowsku karcił sławnego herszta kartelu Sinaloa Joaquina „Chapo" Guzmana, a jednocześnie zauważał, że „narkobandyci to także lud". W 2020 roku pojechał do Badiraguato, rodzinnego miasteczka „Chapo", i spotkał się z jego matką. Pochylając się nad losem wyrodnego syna wydanego władzom USA i skazanego tam na dożywocie, obiecał „zacnej staruszce", jak o niej mówił, wstawić się u Amerykanów, by pozwolili jej odwiedzić syna w więzieniu.

Jeśli przez dekady rządów PRI kartele narkotykowe kwitły nie tylko pod parasolem, ale i kontrolą władz, to dzisiaj stały się ich partnerem. – Za czasów PRI kartele były pracownikiem władzy państwowej, za demokracji i rządów PAN stały się wspólnikiem, a teraz są szefami – nie mają wątpliwości Ricardo Ravelo i Jose Luis Montenegro, autorzy książki „Czwarta transformacja przestępczości zorganizowanej".

Autorzy, obaj dziennikarze śledczy, opowiadali na konferencji w Guadalajarze, jak krok po kroku doszło do tego, że dzisiejszy Meksyk stał się „państwem mafijnym", pasożytniczym narkopaństwem, w którym rządy i bandyci dzielą się władzą oraz łupami z narkobiznesu, handlu żywym towarem, kradzieży i szmuglu benzyny oraz ropy, łapówek i ha-

W październiku wybuchła największa afera kryminalna ostatnich lat. Szmuglem benzyny z Teksasu zajmowała się siatka zorganizowana przez ministra Marynarki Wojennej oraz kontradmirała. W ciągu pięciu lat gang oficerów sprowadzał amerykańską benzynę jako wodę, czyli bez cła. Do portów Zatoki Meksykańskiej wpływały 3 tankowce tygodniowo

eprasa.pl 828ea60232

raczy ściąganych z wszelkiej działalności gospodarczej, z plantacji awokado czy cytryn, kopalni żelaza i złota, a także zyskami z zamówień publicznych. Nie mówiąc o zwykłych rabunkach na szosach, gdzie czujkom bandytów muszą się opłacać szoferzy ciężarówek i zwykli podróżni.

●

Ten złowrogi pejzaż opisuje drobiazgowo Guillermo Valdes Castellanos, były szef Narodowej Agencji Wywiadu (CISEN) oraz autor fundamentalnej „Historii narkobiznesu w Meksyku", z którym rozmawiam w kawiarni w stolicy. Opowiada, że większość dawnych wielkich karteli rozpadła się na mniejsze, które opanowały lokalne rynki. Przetrwały dwie duże organizacje: Sinaloa i Jalisco Nueva Generacion, pod ich bokiem działa 6-7 mniejszych regionalnych oraz około 250 małych gangów. Ten bandycki archipelag nie żyje już tylko z narkotyków. Jego finansowy portfel, zbalansowany i zróżnicowany, składa się w 40 procentach z marihuany, kokainy, metamfetaminy i fentanylu, a pozostałe 60 procent zysków to bandyckie podatki, czyli haracze zwane „placowym", „derecho de piso", nakładane na wszystko, co przynosi dochód: od kopalni przez plantacje po bary i restauracje. Wyliczenia mogą być tylko przybliżone, ale z zeznań przedsiębiorców wynika, że haracze imperium zbrodni sięgają 1,5 procent meksykańskiego PKB.

Kilka przykładów ujawnionych w prasie i mediach pokazuje, że ośmiornica swobodnie sięga po legalną gospodarkę.

* Kanadyjska kopalnia złota w Zacatecas zwinęła interes po kilku najazdach bandytów żądających kolejnych rat i przepisała przedsiębiorstwo na podsuniętych przez kartel „nabywców".

* Koncern, do którego należała kopalnia rudy żelaza w Michoacan i stalownia w porcie Cardenas, zrzekł się kopalni na rzecz gangu Familia Michoacana, kiedy bandyci przejęli najpierw płacenie renty gruntowej wywłaszczonym chłopom, a później zażądali udziału w zyskach. Teraz stalownia, by móc eksportować stal do Chin, kupuje własną do niedawna rudę od gangu.

* Żyłą złota jest w Meksyku rabunek paliw z rurociągów i cystern oraz szmugiel benzyny zwany „huachicol". Szacunki mówią, że 15 procent całej benzyny i innych paliw na rynku pochodzi z kradzieży i przemytu. Zajmują się nim gangi oraz zblatowane z nim władze, między innymi wojsko, które od kilku lat zarządza cłami, portami oraz infrastrukturą naftową.

* W październiku wybuchła bodaj największa afera kryminalna ostatnich lat. Szmuglem amerykańskiej benzyny z Teksasu na skalę przemysłową zajmowała się siatka zorganizowana przez sekretarza (ministra) Marynarki Wojennej Josego Rafaela Ojedę Durana oraz kontradmirała Fernanda Fariasa Lagunę i jego brata Manuela Roberta.

Jeden z oskarżonych jest zatrzymany, drugi uciekł. W ciągu pięciu lat gang oficerów marynarki sprowadzał amerykańską benzynę jako wodę, czyli bez cła. Do portów Zatoki Meksykańskiej – Amerykańskiej według administracji Trumpa – wpływały 3 tankowce tygodniowo.

Oskarżany o wspólnictwo w przemysłowym rabunku i szmuglu paliw jest od kilku lat minister edukacji w rządzie prezydent Sheinbaum. Mario Delgado jako wysoki działacz partyjny MOREN-y prowadził interes z Sergio Carmoną zwanym powszechnie królem Huachicolu. Króla zabito kilka lat temu, by przejąć jego interes, który kwitnie – gangowi przypisuje się przewały celno-fiskalne na paliwie na sumę 28 miliardów dolarów.

Na razie ani ministrowi marynarki, ani kontradmirałowi, ani ministrowi edukacji włos z głowy nie spadł. I trudno, żeby spadł.

– Huachicol finansował kampanie wyborcze MOREN-y w stanach Michoacan, Sinaloa i Tamaulipas – mówi Guillermo Valdes. – Państwo i partia zawarły pakt ze światem zbrodni: my wygrywamy wybory, wy rządzicie interesem, dzielimy się zyskami. Sheinbaum nie może zerwać tego paktu, bo rozsadziłaby własny rząd i partię.

●

W Valle Bravo, eleganckiej miejscowości pod stolicą, przed wyborami burmistrza w 2021 roku kandydatka opozycji Zudikey Rodriguez prowadziła z dużą przewagą nad kandydatką rządowej partii. Kilka dni przed głosowaniem została porwana. Pani Rodriguez wstrzymała kampanię i przegrała wybory z morenistką Michelle Nunez. Ujawniła, co się stało, ale przezornie zrezygnowała z zaskarżenia wyników. Prokuratura sama z siebie nie podjęła próby wyjaśnienia okoliczności wyborczego terroru.

Nikogo w Meksyku nie oburzyło, gdy gubernator stanu Sinaloa Ruben Rocha przyznał publicznie, że jako kandydat rządzącej partii został wybrany w 2021 roku „za pozwoleniem" kartelu dowodzonego przez Ismaela „Mayo" Zambadę z synami oraz skazanego w USA na dożywocie Joaquina „Chapo" Guzmana. Jednocześnie dziennikarze dowiedli, że gubernator Rocha działał w zmowie z synami „Chapo", kiedy w 2024 roku zdradzili swego kamrata Zambadę, porwali go i odwieźli awionetką do USA.

Przeciw szefowi MOREN-y w senacie Adanowi Augustinowi Lopezowi prokuratura generalna zgromadziła tomy dokumentów, z których wynika, że kiedy był gubernatorem stanu Tabasco (mianowanym przez druha z młodości, prezydenta AMLO), uczynił ministrem do spraw bezpieczeństwa herszta miejscowego gangu „La Barredora". Kiedy bandycka działalność ministra, znanego wcześniej wywiadowi wojskowemu jako poszukiwany bandyta, wyszła na jaw, ten uciekł, ale złapano go kilka miesięcy temu w Paragwaju i teraz siedzi.

Wspólnictwo byłego gubernatora Lopeza z własnym ministrem bandytą jest publiczną tajemnicą, media rozpisują się o tym od miesięcy. Ale MORENA odmawia odebrania mu immunitetu. A prokuratura nie postawi mu zarzutów, póki chroni go szef partii i były prezydent AMLO.

●

Od kiedy został prezydentem USA, Donald Trump powtarza, że Meksyk to „narkopaństwo". – To niestety prawda – mówią mi jednym głosem były szef wywiadu Guillermo Valdez, były minister spraw zagranicznych Jorge Castaneda, dziennikarze śledczy Ravelo i Montenegro oraz pisarz i dziennikarz Jesus Silva Herzog.

Rząd pani Sheinbaum, zmuszany przez USA do współpracy w walce z narkobiznesem, wydał w ubiegłym roku Amerykanom 55 bandytów. Zrobił to na wyraźne żądanie Amerykanów i nielegalnie, bez sądowego postanowienia i z pominięciem traktatu o ekstradycji. Gangsterzy byli wcześniej skazani lub więzieni w Meksyku, ale nie przestali działać w branży. Wydano ich na pokaz, nie naruszając sieci powiązań władz stanowych i federalnych z archipelagiem gangów.

Dzisiejszy Meksyk wygląda jak fałszywa demokracja ludowa za czasów PRL, tylko podszyta zorganizowaną zbrodnią. Syndykatu zbrodni nie może poskromić autorytarna władza, bo właśnie dzięki niemu rośnie i krzepnie. A społeczeństwo mamione doraźnymi korzyściami pada pierwszą ofiarą mafijnej autokracji.

XIX-wieczny dyktator Porfirio Diaz mawiał: – Biedny Meksyk, tak daleko od Boga, tak blisko Stanów Zjednoczonych. Sąsiedztwo imperialnych USA nie przysłużyło się wybijającemu się na niepodległość Meksykowi. Dziś Meksykanie mają rodzimy kłopot. ●

PATRIO

Klincz w polskiej polityce wewnętrznej zaczyna osłabiać nasze państwo na zewnątrz. Tego się nie da zmienić rozporządzeniami.

Bartosz T. Wieliński

Karol Nawrocki i jego ekipa robią, to co obiecali i to, czego się po nich oczekuje. Sypią rządowi piach w tryby licząc, że w końcu Donalda Tuska w piasku zatopią. W PiS wielu polityków sufluje, że dni rządu są policzone. Miał go rozwiązać poprzedni prezydent Andrzej Duda, miał go przegonić Donald Trump (ta opcja wraca po spektakularnym uprowadzeniu przez amerykańskie siły specjalne prezydenta Wenezueli), teraz rząd ma rozwalić prezydent Karol Nawrocki.

Niemal każda istotna ustawa jest przez niego wetowana. W ostatnio zakwestionowanej nowelizacji prawa oświatowego czy ustawy wdrażającej unijny akt o usługach cyfrowych prezydent doszukał się zapisów, których w nich nie ma. Ustawy wetowane są też na ślepo, jak ta zakazująca trzymania psów na łańcuchach. Byle dowalić Tuskowi, byle pokazać, że jest się silniejszym. Niedawno w telewizyjnym studio usłyszałem opinię, że Nawrocki wetuje, bo może. A może zachowuje się tak, bo inaczej nie potrafi?

To demonstrowanie siły połączone z brakiem finezji przypomina, że Nawrocki socjalizował się wśród gdańskich kiboli i dorastając miał kontakty z gdańskim półświatkiem. Do polityki podchodzi tak jak do ustawki, gdzie sukces polega na skopaniu przeciwników.

Konflikt Pałacu z rządem

Postaci z jego kancelarii szybko dostosowały się do tych zasad gry. Weźmy Marcina Przydacza, najlepiej zapamiętanego w MSZ pisowskiego wiceministra, człowieka, który w odróżnieniu od reszty nominatów reprezentował pewien poziom i kulturę. Odkąd został szefem Biura Polityki Międzynarodowej stał się agresywny, arogancki. Czy bardziej skuteczny? Jedynym sukcesem dyplomacji Pałacu Prezydenckiego było przekonanie w sierpniu Białego Domu, by wyprosić Tuska z telekonferencji z Donaldem Trumpem dotyczącej negocjacji w sprawie pokoju w Ukrainie. Ale gdy do Waszyngtonu jechali przywódcy UE na bezpośrednie rozmowy z Trumpem, doprosić na nie Nawrockiego się już nie udało. Cóż, psucie jest łatwiejsze, niż budowanie...

To był test sprawczości Nawrockiego i jego współpracowników. Gdyby to polski prezydent opowiadał Trumpowi o historycznym zagrożeniu, jakie dla Europy stanowi Rosja, natychmiast zepchnąłby Tuska w cień. Mimo wysiłków nie powiódł się też drugi manewr, prezydentowi nie udało się narzucić swojego zwierzchnictwa instytucjom państwowym. Za dyplomację, wojsko, służby specjalne, legislację odpowiada rząd. A frontalne ataki Nawrockiego tylko go wzmocniły, do prezydenta zaś przykleiła się łatka wetomatu. To brak skuteczności odbija się na nastrojach w jego kancelarii, skąd – zaledwie pięć miesięcy po zaprzysiężeniu – dobiegają informacje o pęknięciach i konfliktach. Instytucja zaczyna przypominać samochód z kilkoma kierownicami, bo każdy z prezydenckich ministrów ma inny pomysł na politykę.

Polska znalazła się w politycznym klinczu. Kompromisy na linii rząd – prezydent nawet w takiej kwestii jak obsada ambasad, nie mówiąc już o ustawach naprawiających zdewastowane przez PiS sądownictwo nie wydają się możliwe. I choć Nawrocki przez swoją kibolską brutalność pomógł obozowi demokratycznemu pozbierać się po porażce w wyborach prezydenckich, to polityczny impas szkodzi Polsce.

W świecie tak się nie da

Prawdopodobnie w wielu kwestiach można jakoś obchodzić prezydenckie weta, np. rozwijać energetykę wiatrową bez znowelizowanej ustawy wiatrakowej. Rządzenie za pomocą rozporządzeń nie jest specjalnie eleganckie, ale w tej sytuacji konieczne. Można też tolerować neo-Krajową Radę Sądownictwa czy pseudo Trybunał Konstytucyjny jednocześnie ignorując te zawłaszczone przez PiS instytucje. Być może TK da się nawet uzdrowić, pod warunkiem, że Nawrocki zaprzysięgnie nowych sędziów wybranych przez Sejm. Natomiast w polityce zagranicznej rozporządzenia nie działają.

8 grudnia do Londynu na zaproszenie premiera Keira Starmera zjechali prezydenci Ukrainy i Francji Wołodymyr Zełenski i Emmanuel Macron, dołączył do nich kanclerz Niemiec Friedrich Merz. Rozmawiali o wsparciu dla Ukrainy w negocjacjach z USA, o ewentualnym pokoju czy zawieszeniu broni z Rosją. Zabrakło premiera Tuska. Dlaczego? Mimo starań nie został zaproszony. Nieoficjalnie wiemy, że szefa polskiego rządu nie chcieli Brytyjczycy i Francuzi, którzy w tej sprawie nie dali się przekonać Niemcom. Bo dla obserwatorów z zewnątrz nie jest do końca jasne, gdzie biegnie granica między kompetencjami premiera a prezydenta jeśli chodzi o politykę zagraniczną. Spór, który toczy się w Polsce i uzurpacje Nawrockiego dotarły bowiem za granicę.

Być może gdyby Tusk i Nawrocki w sprawie Ukrainy mówili jed-

eprasa.pl 828ea60232

TYZM PO PREZYDENCKU

• **Na udział Wojska Polskiego w misji poza granicami kraju musi wyrazić zgodę prezydent. Na zdj. Karol Nawrocki podczas defilady „Dziękujemy za Waszą służbę" z okazji Święta Wojska Polskiego**
FOT. ROBERT KOWALEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

nym głosem, nie miałoby to takiego znaczenia. Ale najważniejsi politycy w Polsce w kwestii o fundamentalnym znaczeniu dla bezpieczeństwa państwa mają w zasadzie odrębne stanowiska. Tusk chce wspierać Ukrainę jak tylko się da, Nawrocki w kampanii podsycał antyukraińskie nastroje, potem wzorem Trumpa żądał od Ukrainy wdzięczności, a jego urzędnicy publicznie oburzali się, gdy MON przekazał Ukraińcom stare myśliwce Mig-29.

Nasi zagraniczni partnerzy mają problem, by jednoznacznie odpowiedzieć na pytanie, czego chce Polska? A jednocześnie nie planują mieszać się do sporu Tuska z Nawrockim, czyli w zasadzie do polskiego konstytucyjnego bałaganu. Dlatego Polski podczas rozmów nie było. I nikt po niej nie płakał, w klubie najważniejszych krajów Europy gramy zbyt krótko, starsi partnerzy z przyjemnością utemperowali polskie ambicje. Otoczenie Nawrockiego świętowało. Tusk, który mawiał, że nikt go w Europie nie ogra, został za drzwiami. Przedziwne to rozumienie patriotyzmu

Spór o ambasadorów między prezydentem a szefem MSZ Radosławem Sikorskim też doprowadzi do podobnych przykrych wydarzeń. Polskę w aż 67 krajach reprezentują nie dyplomaci w randze ambasadora, a chargés d'affaires. Nowi szefowie placówek – po zmianie rządu – przeszli przewidziane w ustawie (przyjętej za czasów PiS) procedury, mają zgodę sejmowej komisji spraw zagranicznych i tzw. agréement, czyli zgodę państwa przyjmującego. A mimo to prezydent odmawia podpisania ich ambasadorskich nominacji i nie odpowiada na prośby Sikorskiego, by się w tej sprawie dogadać.

Otoczenie Nawrockiego żąda zaś rzeczy niemożliwej: by wysłani na placówki przez rząd dyplomaci czekający na podpis prezydenta wrócili do kraju i przeszli ponownie przez procedury. Z tym, że Kancelaria Prezydenta miałby prawo odrzucenia każdej kandydatury. Takie warunki są dla rządu nie do przyjęcia, bo oznaczałyby oddanie kontroli nad polityką zagraniczną Nawrockiemu.

Co z wojskiem w Ukrainie?

W dyplomacji gesty, symbole i tytuły mają spore znaczenie. Brak ambasadora w stolicy innego kraju oznacza poważne obniżenie rangi relacji. Zaprzyjaźnione państwa początkowo – gdy nominacje blokował Andrzej Duda – przyjmowały wyjaśnienia Warszawy, że brak polskiego ambasadora to efekt politycznych perturbacji. Ale cierpliwość i wyrozumiałość ma swoje granice. Brak prezydenckiego podpisu pod nominacją zaczyna polskim dyplomatom coraz bardziej ograniczać ruchy. A chodzi o przedstawicieli Polski w m.in. Waszyngtonie, Londynie, Berlinie, Rzymie czy Kijowie, kluczowych – ze względu na bezpieczeństwo Polski – stolicach.

Jednocześnie pojawia się inny problem. Ludzie prezydenta zagrozili, że każdy dyplomata, który obejmie placówkę bez zgody Nawrockiego, nigdy nie dostanie jego nominacji. Słyszymy, że wśród polskich dyplomatów podnoszą się głosy, czy nie powinni poszukać sobie innego zajęcia. Po czystkach, jakie przez lata w MSZ prowadził PiS i po degrengoladzie, jaka zapanowała w polskiej polityce zagranicznej, wielu ludzi nie ma ochoty uczestniczyć w wojnie z Pałacem Prezydenckim. A ponieważ chodzi o ekspertów, lepiej płatnej pracy nie będą długo szukać.

Trzeci szkodliwy element to sprawa ewentualnego udziału Wojska Polskiego w siłach pokojowych rozmieszczonych w Ukrainie. Trump zapowiadał, że pokój w Ukrainie zaprowadzi natychmiast, a jego doradcy zaczęli zastanawiać się jak to zrobić. Amerykański pomysł zakładał, że bezpieczeństwo Ukrainy po wojnie zapewnią wyłącznie Europejczycy. Polska, jako kraj posiadający ponad 200 tys. armię, liczebnie największą w Unii Europejskiej, w planach współpracowników Trumpa miał wystawić część pokojowego kontyngentu, który miał być rozlokowany w pobliżu przyszłej linii demarkacyjnej między Rosją a Ukrainą.

Z Warszawy popłynęło wówczas twarde „nie". Oficjalnie tłumaczono to koniecznością obrony granicy z Białorusią i należącym do Rosji obwodem królewieckim oraz trudną polsko-ukraińską historią, wszak rosyjska propaganda od lat mówi o polskich planach rozbioru Ukrainy i z pewnością obficie wykorzystywałaby wejście polskich żołnierzy do tego kraju.

Prawdziwym powodem sprzeciwu była obawa przed reakcją wyborców. Przed wyborami prezydenckimi, w sytuacji, gdy antyukraińskie nastroje szalały, zgoda na udział w misji pokojowej miałby poważne polityczne reperkusje. Temat zresztą od razu podchwycił PiS i sztab Nawrockiego zapowiadając sprzeciw wobec wysyłania wojska do Ukrainy. Mimo, że Jarosław Kaczyński podczas wizyty w obleganym przez Rosjan Kijowie wiosną 2022 r. otwarcie opowiadał się za przysłaniem do walczącego kraju sił pokojowych NATO. Rząd PiS zgodził się też na udział polskich służb w rozminowywaniu terenów, które Ukraińcom udało się wyzwolić. Warto przypominać, że był czas, gdy PiS w sprawie Ukrainy potrafił zachować się jak trzeba.

Sporne G20

Choć to ciągle teoretyczne rozważania, bo do pokoju w Ukrainie jest daleko, to po objęciu przez Nawrockiego urzędu kwestia udziału Polski w siłach pokojowych w Ukrainie w jakiejkolwiek formie jest wykluczona. Na udział w misji poza granicami kraju musi zgodzić się prezydent. Tusk zapowiedział zagranicznym partnerom, że Polska weźmie udział w stabilizacji Ukrainy zabezpieczając kwestie logistyczne, będzie więc na naszym terytorium organizować zaplecze sił pokojowych w oparciu o lotnisko w Rzeszowie i infrastrukturę transportową. Tylko na tyle stać państwo o największej armii w Unii. Polska powinna dawać przykład, mobilizować inne kraje do większego zaangażowania, wszak chodzi o nasze bezpieczeństwo. W Europie powstaje natomiast wrażenie, że chcemy je zapewnić cudzymi rękami. Cóż, w takim razie to inni będą o nim decydować.

To, że wojska do Ukrainy nie chcą wysyłać Niemcy, jest w Europie zrozumiałe. Pamięć po niemieckim podboju i okupacji oraz popełnianych zbrodniach podczas drugiej wojny światowej jest żywa. Berlin myśli o wysłaniu wojska pod ukraińską granicę, by móc reagować, gdyby po podpisaniu pokoju Rosjanie zaatakowali Ukrainę znowu. Polska jako baza dla niemieckich oddziałów pancernych nadawałaby się idealnie. Już wyobrażam sobie protesty otoczenia prezydenta Nawrockiego. Jarosław Kaczyński przeciwko jakiejkolwiek obecności Bundeswehry w Polsce protestował już po rosyjskiej aneksji Krymu w 2014 r.

Najgorsze jest to, że nie widzę możliwości zawarcia jakiegokolwiek kompromisu między rządem a Pałacem Prezydenckim. Konflikt będzie się ciągnąć, bo celem prezydenckiej kancelarii jest osłabianie rządu przed wyborami. W grudniu w Miami odbędzie się szczyt Grupy G20, na którym obecna będzie też Polska. Minister Przydacz już teraz próbuje zagarnąć pod siebie nadzór nad przygotowaniami i chce wydawać polecenia rządowym urzędnikom. Tego typu spory mogą doprowadzić do międzynarodowego blamażu Polski.

Pytanie, co stanie się, gdyby doszło do zaostrzenia sytuacji wokół Grenlandii. Czy Polska – tak jak w sprawie Ukrainy – będzie miała dwie opinie w sprawie próby zagarnięcia przez USA tej arktycznej wyspy? Tusk stanie po stronie Europy, powiązany z Trumpem Nawrocki poprze Amerykę? Oj, nie wyszłoby to Polsce na dobre. ●

Dla obserwatorów z zewnątrz nie jest do końca jasne, gdzie biegnie granica między kompetencjami premiera a prezydenta jeśli chodzi o politykę zagraniczną. Spór, który toczy się w Polsce i uzurpacje Nawrockiego dotarły bowiem za granicę

eprasa.pl 828ea60232

FOT. EWA WIELGAT (2)

TESTAMENT POLKI, KTÓRA UMARŁA W HOLANDII

Dziwnie było znaleźć się w holenderskim szpitalu i odkryć, że czuję się tam bezpieczniej i spokojniej niż przez lata pracy tymczasowej.

Zuza Nazaruk

Poniższy tekst jest kompilacją rozmów, które przeprowadziłam z Darią w ostatnich miesiącach jej życia. Był autoryzowany, a bohaterka prosiła, by ukazał się po jej śmierci. Daria wyraziła też zgodę na zdjęcia. Umarła w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia 2025 roku.

I

Ten szpital to pierwsze miejsce w Holandii, gdzie słyszę, żebym się nie spieszyła.

Dotychczas we wszystkich magazynach, centrach dystrybucji i fabrykach pytali tylko, czy przestawiłam wystarczająco dużo skrzynek. Jak jeszcze myślałam, że z tego wyjdę, to mówiłam, że lepiej mieć dwa raki niż pracować przez agencje pracy tymczasowej. Odkąd dowiedziałam się, że rak rozchodzi mi się po mózgu, już tak nie mówię.

Tu jest prawie jak w domu. Jestem w centrum rehabilitacji Reade w Amsterdamie. Pielęgniarki są miłe. Tylko warzyw nie dają na śniadanie, no i łazienka wygląda trochę jak myjnia samochodowa.

W wieku 31 lat czuję się jak stara babcia. Jeszcze na początku lipca żyłam normalnie – po raz pierwszy, odkąd przyjechałam do Holandii te osiem lat temu, żyłam tak, jak chciałam. Przebijałam szklany sufit, przestawałam być arbeidsmigrant, imigrantką zarobkową. Znalazłam pierwszą pracę poza agencją, jako nocna koordynatorka schroniska dla bezdomnych. Lubiłam tę pracę, spełniałam się w niej, bo od zawsze chciałam pracować przy pomaganiu innym. Tak jak w „Nędznikach", książce, która mnie ukształtowała:

pomagaj słabszym, pochylaj się nad niesprawiedliwością. Z człowieczeństwa, nie z religii.

Mieszkałam z chłopakiem, Cristianem, w ślicznym mieszkaniu w zachodniej części Amsterdamu. Cristian jest z Rumunii, kochałam tę moją wschodnioeuropejską wyspę. Dwa razy w tygodniu jeździłam na południe miasta, do dzielnicy De Pijp, na targ. Tam jest też moja ulubiona piekarnia, chodziłam tam zawsze po francuski chleb na zakwasie, z chrupiącą skórką, nie to, co te holenderskie gąbki. Planowałam zdać egzamin na poziom B1 z holenderskiego w kwietniu. Z czasem chciałam założyć organizację kulturalną dla Polaków tutaj, jakąś księgarnio-kawiarnię.

Wyszło, jak wyszło. Wiesz, jak to jest mieć raka mózgu? W lipcu wszyscy myśleli, że mam udar, bo nie mogłam utrzymać równowagi i mówiłam, jakbym była pijana. Teraz, w ostatnich stadiach, guz atakuje moje mięśnie gardła, czyli zabiera mi najpierw czynności, które najbardziej lubiłam. Powoli tracę zdolność mowy i jedzenia.

II

Pierwszy raz przyjechałam do Holandii w 2016 roku, żeby dorobić w wakacje. Wysiadłam z agencyjnego busa w Winterswijk i za wiele o Holandii nie pomyślałam, bo wylądowaliśmy w domkach letniskowych w kompletnej dziurze. Na stałe przyjechałam rok później. Rzuciłam filologię polską na Uniwersytecie Wrocławskim, bo w domu się nie przelewało, chciałam czegoś nowego i przyjechałam zarabiać. Na początku miałam wyższą pensję niż siostra, która była wówczas nauczycielką w Polsce, potem się wyrównało.

Pracowałam w sumie przez szesnaście agencji pracy, przy sortowaniu zamówień, paczkach, przy dostawach. Przez pierwsze cztery lata wynajmowałam też agencyjne mieszkania i to pozostawiło mnie z traumą. Brak stabilności, to, że jak wkurzysz koordynatora mieszkania, powie, że masz 24 godziny na opuszczenie lokalu. Miałam raz taką sytuację: siedziałam o 21 z przyjaciółką, wypiłyśmy dwa piwa i zaczęłyśmy śpiewać. Koordynator przyszedł i powiedział, że jeśli się nie zamknę, to będę musiała wypierdalać.

I jeszcze fakt, że wielu współlokatorów było głęboko uzależnionych. W każdym miejscu, gdzie mieszkają migranci, jest dealer, a agencje nic z tym nie robią. Mieszkał ze mną wręcz raz taki chłopak, którego ścieżka kariery brzmiała „od dilera do team lidera". Widziałam wiele osób, które przyjechały bez nałogów, a kończyły uzależnione.

Z jednej strony naoglądałam się przyzwolenia na łamanie prawa, a z drugiej żyłam w ciągłym strachu, że z dnia na dzień mogę stać się bezdomna. Dlatego mówiłam, że dwa raki są lepsze od pracy w agencji. Ja wiem, że to dziwnie brzmi, ale tak się czułam.

To, co mi się przydarzyło, nie jest oczywiście winą agencji, ale dziwnie było znaleźć się w szpitalu i odkryć, że czuję się tam bezpieczniej i spokojniej niż przez lata pracy tymczasowej.

Ciężko mi było pogodzić tę rzeczywistość z moimi wyobrażeniami o Holandii – kra-

1 RP

eprasa.pl 828ea60232

ju praw człowieka. W Hadze jest Trybunał Sprawiedliwości, a tuż obok łamie się prawa migrantów. Myślę, że w Holandii trzeba o wiele więcej o tym mówić, żebyśmy sami znali swoje prawa i żeby one były przestrzegane. Działałam w holenderskich związkach zawodowych, FNV, walczyłam o lepsze traktowanie migrantów.

Po czterech latach mieszkania w lokalach agencji udało mi się wynająć pokój w Tilburgu. Znalazłam go tylko dlatego, że była pandemia i wielu zagranicznych studentów wróciło do swoich krajów. W Holandii mieszkania są drogie i bardzo trudno je znaleźć. Nie wiem, jak osoba z umową agencyjną, która pozwala na zwolnienie z dnia na dzień, miałaby sama coś wynająć.

W tym pokoju moje nomadyczne życie imigrantki stało się stabilniejsze. Dalej pracowałam przez agencję, ale wracałam zawsze do jednego miejsca. Jak tylko wynajęłam mieszkanie, zapisałam się na kurs holenderskiego. Łatwiej znaleźć ambitniejszą pracę, znając język. Stabilność podbiła jeszcze umowa na czas nieokreślony, którą dostałam po paru latach pracy w jednej agencji.

III

Cristiana poznałam dwa lata temu. Zaczęliśmy pisać na aplikacji randkowej. Jeździłam do niego co tydzień z Tilburga do Amsterdamu, wykupiłam miesięczny abonament za 36 euro. Nigdy go nie zaprosiłam do siebie, bo wstyd mi było tego wynajmowanego pokoju.

Ciekawe, że Cristian ma kompletnie inne doświadczenie Holandii. Też jest z Europy Wschodniej, ale pracuje jako programista, jest więc „expatem", nie imigrantem zarobkowym. Szanują go tu i doceniają. Jego obraz jest zupełnie inny niż mój.

Jesteśmy razem w zdrowiu i chorobie. Jak zachorowałam na pierwszego raka, to się do niego przeprowadziłam, żeby być bliżej szpitala onkologicznego.

W kwietniu 2024 roku lekarze odkryli guza w mojej szyjce macicy. Pierwsze stadium, poniżej pięciu centymetrów, bez przerzutów, idealne do uratowania. Miałam pełne leczenie: radiację, chemię, brachyterapię. W sierpniu 2024 roku byłam znów zdrowa. Tylko wiedziałam już, że po leczeniu nigdy nie będę mogła mieć dzieci, a to bolało. Bardzo chciałam zostać mamą. Chodziłam w Polsce na czarne marsze, uważałam, że kobiety powinny mieć prawo wyboru. Mnie choroba pozbawiła tego prawa.

Wiesz, że niektórzy ludzie w mojej agencji myśleli, że udaję? Że symuluję. Raka szyjki macicy. Że leżę i biorę sobie tylko chorobowe z firmy. Mimo że koleżanka z pracy zawiozła mnie na rezonans.

Jak wyzdrowiałam, zaczęłam jeszcze intensywniej uczyć się holenderskiego. Chodziłam na regularne badania ginekologiczne, żyłam zdrowo. W lipcu tego roku miałam miesiąc próbny w schronisku dla bezdomnych w Amsterdamie. Zajmowałam się podopiecznymi, robiłam kanapki, słałam łóżka, pisałam raporty. To była pierwsza praca tutaj, którą naprawdę chciałam wykonywać. Chciałam robić coś, co chociaż trochę zmienia świat. Mieć poczucie, że robię coś ważnego. Pomagać ludziom stawać znów na nogi, jak w „Nędznikach". Tak mnie ta książka ruszyła, że nawet licencjat o niej napisałam.

Nie przeszłam miesiąca próbnego, bo powiedzieli mi, że za bardzo się przywiązuję do podopiecznych. Tylko jak miałam się nie przywiązywać, jak sama spędziłam tu tyle lat o krok od bezdomności?

Zresztą po dwóch tygodniach pracy wyglądałam na osobę bardziej pod wpływem, niż ludzie, którzy przychodzili do schroniska. Dziwnie mówiłam, nie mogłam utrzymać równowagi, nie trzymałam moczu. Jakby udar mózgu. Poszłam na badania. Holenderski lekarz rodzinny najpierw mnie zbył, powiedział tylko, żeby obserwować. Wróciłam do gabinetu z chłopakiem, potraktowali mnie wtedy inaczej. Dostałam skierowanie do neurologa.

No i wyszło, w ostatni dzień lipca. Guz na rdzeniu kręgowym, 24 milimetry. Wszystko inne w moim ciele było czyste, nie wiem, jak to się stało. Przerzuty z szyjki macicy do mózgu są bardzo rzadkie.

Przeszłam trzy naświetlenia promieniami gamma, bo mózgu nie można normalnie naświetlać. Leżałam w centrum onkologii i rehabilitacji przez cztery miesiące. Dziwnie się tam czułam, jak w luksusowym więzieniu, chociaż nic złego nie zrobiłam. Mama i siostry zmieniały się, żeby przy mnie być, i przywoziły mi pierogi. Czasem kryłam się przed dietetyczką i zjeżdżałam na dół, do kawiarni, na ciastko. Dalej uczyłam się holenderskiego, na kursie online. Byłam w domu przez kilka dni, zrobiliśmy z Cristianem pizzę.

Pogodziłam się już z tym, że umrę. Denerwuje mnie tylko mama, bo ciągle szuka miliona alternatyw. Już ich nie ma. Mój nowotwór okazał się silniejszy niż ja, rozlał się w ciągu tygodnia. Jestem na morfinie i sterydach, spuchłam jak Muminek

IV

Po radiacji zawsze miałam spadki formy, wkurzało mnie, że w tym wieku poruszam się jak staruszka. Chociaż pielęgniarki i tak mnie karciły, że za szybko biegam z chodzikiem. Kupiłam sobie taki wypasiony, szpitalną Teslę. Dostanie go potem moja mama. Mówiłam fizjoterapeucie, że jest pierwszym Holendrem, który każe mi wolniej chodzić. Nie rozumiał, bo nigdy nie pracował jako order-picker.

16 października obchodziłam swoje trzydzieste pierwsze urodziny. Tort musiał być, nawet w ośrodku rehabilitacji.

W połowie listopada miałam wyjść do domu. Październikowy rezonans pokazał, że guz reaguje na promieniowanie i zmniejsza się. Na początku listopada znów spadła mi forma, tak zwykle było po paru tygodniach od dawki gamma.

Ale tym razem zauważyłam jakieś dziwne zaognienie, poczułam ręką, że coś mi wystaje pod skórą czaszki.

Zrobili mi kolejny rezonans i okazało się, że pierwotny guz faktycznie się zmniejsza, ale rak rozlazł się na nowe miejsca. Jest na tyle parszywy, że wyszedł nawet pod czaszkę, dlatego go wyczułam.

Cała lekarska święta trójca: onkolog, neurolog i radiolog, powiedzieli, że nie widzą już szansy na leczenie. Ogłosili mi to dzień przed tym, jak miałam wyjść z centrum rehabilitacji. Okazało się, że miałam najbardziej agresywny rodzaj raka – drobnokomórkowy neuroendokrynny. Ten to lubi się rozlewać. Wiedziałam od pierwszego raka, że mam ten typ, ale nikt mnie nie uświadomił, że on jest aż tak groźny. Jest też o wiele rzadszy, lekarz powiedział, że drugi raz spotyka się z takim rakiem w ciągu dwunastu lat pracy. Mam żal, że przy takiej wiedzy traktowali mnie jak zwyczajny przypadek.

Cristian i moje siostry konsultowali jeszcze możliwość immunoterapii, bo chciałam walczyć do końca. Ale na to też nie ma już szans. Odejdę więc po cichu.

V

Najgorsze w tym wszystkim jest to, że ja mam cudowne życie. Po raz pierwszy mam w tym kraju stabilność finansową, ładne mieszkanie. Nie chcę odchodzić od Cristiana, bo go kocham. Te ostatnie dwa lata na terapii onkologicznej to były najlepsze lata mojego życia, bo byłam z nim. Mieliśmy wspólne plany, on miał mieć swoją firmę programistyczną, ja miałam zdać certyfikat z holenderskiego i pracować w pomocy społecznej. Planowaliśmy na jesień urlop w Hiszpanii. Chciałam pójść po ten francuski chleb ze skórką i kiedyś kupić nam jamniczka.

Pogodziłam się już z tym, że umrę. Denerwuje mnie tylko mama, bo ciągle szuka miliona alternatyw. Już ich nie ma. Mój nowotwór okazał się silniejszy niż ja, rozlał się w ciągu tygodnia. Jestem na morfinie i sterydach, spuchłam jak Muminek. Jeszcze parę dni. Najpierw rak odbierze mi to, co dla mnie najważniejsze, czyli zdolność mowy i jedzenia. Potem, mam nadzieję, spokojnie zasnę i już się nie obudzę. Tyle w tym wszystkim dobrego, że mam czas, żeby się przygotować. Spisać testament, pożegnać się z ludźmi, dokończyć opowiadanie tej historii.

Chciałabym, żeby moja historia coś w Holandii zmieniła. Mój podtyp nowotworu powinien być inaczej traktowany niż ten „zwyczajny", płaskonabłonkowy, bo jest o wiele groźniejszy. Nie chciałabym też, żeby jakakolwiek inna kobieta musiała być w tym miejscu, co ja. Tutaj cytologia jest dopiero od trzydziestego roku życia, uważam, że powinna być wcześniej. W Polsce jest od dwudziestego piątego.

I jeszcze bym chciała, żeby system agencyjny się zmienił. Może w ogóle go zdelegalizować, bo żeruje na niewiedzy ludzi. A może zrobić tak, jak jest w innych krajach, na przykład na Islandii czy w Norwegii, że pracownicy muszą sami załatwić sobie mieszkanie. Może trochę ciężej wtedy przyjechać, ale przynajmniej nie jesteś zależny od swojego pracodawcy. Chciałabym, żeby pracownicy tymczasowi byli tu lepiej traktowani, żebyśmy mieli więcej bezpieczeństwa.

Religijna nigdy nie byłam, ale parę dni temu przyszedł do mnie ksiądz, bo chciałam go zapytać, dlaczego akurat ja. Przerzuty z szyjki macicy do mózgu są cholernie rzadkie. Chciałam zapisać się w historii, ale na pewno nie w historii holenderskiej onkologii. Ksiądz nie powiedział za wiele, ale przyznał, że to, co mnie spotkało, jest niesprawiedliwe, bo żyłam dobrze, mimo że bez kościoła.

Pochowają mnie w Polsce, ale będę umierać tutaj, w Holandii. Tak jest łatwiej, logistycznie. Tutaj mam ubezpieczenie. I całe moje życie. Na nagrobek wybrałam sobie cytat z musicalu „Nędznicy". Chcesz przeczytać?

„Miałam marzenie w czasie, który już przeminął, kiedy nadzieja była w pełni, a życie było warte przeżywania. Marzyłam, że miłość nigdy nie umrze. I marzyłam, że Bóg nam wybaczy".

A teraz marzę, żeby nie odejść na marne. ●

wyborcza | MAGAZYN WYBORCZA

REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; **E-mail:** redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;
ZASTĘPCA: Bartosz T. Wieliński;
MAGAZYNY I KULTURA: Agata Żelazowska
MAGAZYN WYBORCZEJ: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski, Andrzej Kulasek, Grażyna Żabińska
LICENCJE NA TREŚCI: licencje@wyborcza.pl
WYDAWCA:
Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
DRUK: Polska Press
PREZES ZARZĄDU: Aleksandra Sobczak
Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

eprasa.pl 828ea60232

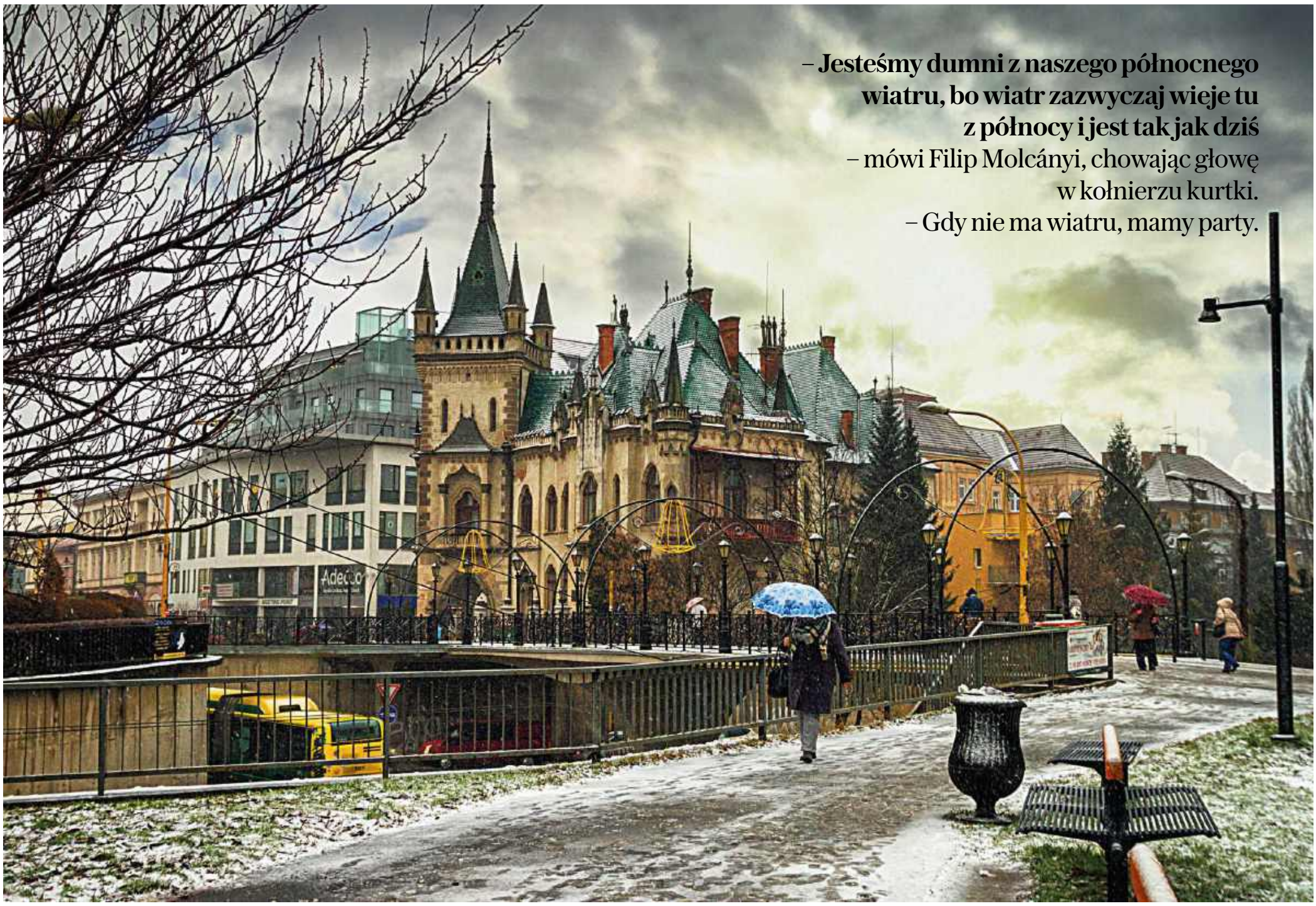

– Jesteśmy dumni z naszego północnego wiatru, bo wiatr zazwyczaj wieje tu z północy i jest tak jak dziś – mówi Filip Molcányi, chowając głowę w kołnierzu kurtki. – Gdy nie ma wiatru, mamy party.

DOBRA ZMIANA W KOSZYCACH

Anna Wyrwik

W 2008 roku Koszyce otrzymały tytuł Europejskiej Stolicy Kultury 2013 (ESK). Do kasy wpłynęło 60 mln unijnych euro, 19 mln dorzuciło słowackie ministerstwo kultury. W mieście rozpoczęło się wielkie budowanie i remontowanie.

– Gdy w 2004 roku wyprowadzałem się do Pragi, Koszyce były martwe – mówi Igor Kupec. – Po 2013 zaczęły żyć. Uważam, że ESK to najważniejsze wydarzenie w najnowszej historii miasta.

Koszyce są miastem kultury. I kropka. Sztuka wibruje wraz energią młodych ludzi w każdym zakątku miasta. Na pierwszy ogień idziemy do Tabački, która wprawdzie nie powstała z wiatrem 2013 roku, ale świetnie czuć tu koszycki vibe.

„Tabačka wspiera społeczeństwo wielokulturowe, otwartość, eksperymenty i kreatywność”

– Tabačka Kulturfabrik istnieje od 2009 roku, kiedy to na miejscu dawnej fabryki tytoniu Peter Radkoff i jego współpracownicy stworzyli centrum kultury – mówi Filip Kakara, trzydziestoparolatek o punkowym sznycie, który w Tabačce był barmanem, technicznym, PR-owcem, a dziś jest tu menedżerem.

Mówi, że 2013 rok był dla całej koszyckiej kultury impulsem do rozwoju, a co do Tabački – że organizują koncerty, spektakle teatralne, warsztaty, spotkania, mają galerię, kino, bar i restaurację.

Siedzimy przy drewnianym stole, a za oknem widzimy ściany w graffiti i poprzykrywane foliami stoły. Wyobrażam sobie tam tłum ludzi w lecie, gdy z głośników leci muzyka i piwo się leje. Tymczasem wiatr przywiał śnieg z deszczem, więc zamawiamy zupę.

Tabačka ma 2,5 tys. m kw., salę koncertową na 500 osób, w podziemiu bar i mniejszą salę, na piętrze biura, galerię, w jednym z pomieszczeń trwa sesja zdjęciowa, w innym ścianę pokrywa stara, czerwona cegła, w kolejnym jest kino, klimat industrialny, drewno, metal, loftowy, plakaty, działania, energia.

„Tabačka wspiera społeczeństwo wielokulturowe, otwartość, eksperymenty i kreatywność. Edukuje oraz pomaga w rozwijaniu krytycznego myślenia” – brzmi fragment opisu na stronie internetowej.

– Czy wszyscy Koszyczanie są tacy otwarci? – zastanawia się Filip. – Trudno powiedzieć, ale nasze środowisko jest bardzo.

„Nasze środowisko”, czyli artyści i inni ludzie związani z kulturą, wyrosło z roku 2013 i wszyscy, z którymi rozmawiam, podkreślają jego wagę.

Zanim jednak był 2013 rok, był 2004, czyli wstąpienie Słowacji do Unii Europejskiej, a jeszcze wcześniej były lata 90., czyli?

– Pochodzę ze wsi 20 km od Koszyc – mówi Filip. – Codziennie dojeżdżałem tu do szkoły i pamiętam, że nie było wtedy za wiele kulturalnych miejsc, za to było zniszczone i rozkopane centrum miasta.

Koń Casso czeka na bohatera narodowego

Jeśli dziś będzie party, to tylko wbrew wiatrowi, który wieje nam w twarze śniegiem z deszczem, gdy stoimy na ulicy Hlavnej przy głównym placu miasta, nad którym góruje gotycka Katedra Świętej Elżbiety. To największe na Słowacji zabytkowe stare miasto, prawie niezniszczone podczas II wojny światowej.

Zanim jednak przejdziemy do wojny i lat 90., chowamy się przed zimnym wiatrem w podziemiach miasta – ja, Filip Molčányi i Igor Kupec, przewodnik z firmy Local Nomad, a także uliczny artysta i aktywista miejski.

– Podczas prac remontowych, które prowadzono tu w latach 90., robotnicy odkryli fundamenty miejskich fortyfikacji wraz z Bramą Dolną, dawniej główną bramą do miasta – mówi Igor.

Historia Koszyc sięga XIII w. Prawa miejskie otrzymały 13 kwietnia 1249 roku, stając się szybko jednym z najprężniej rozwijających się ośrodków Górnych Węgier, czyli północnych rejonów Królestwa Węgier.

1 RP

eprasa.pl 828ea60232

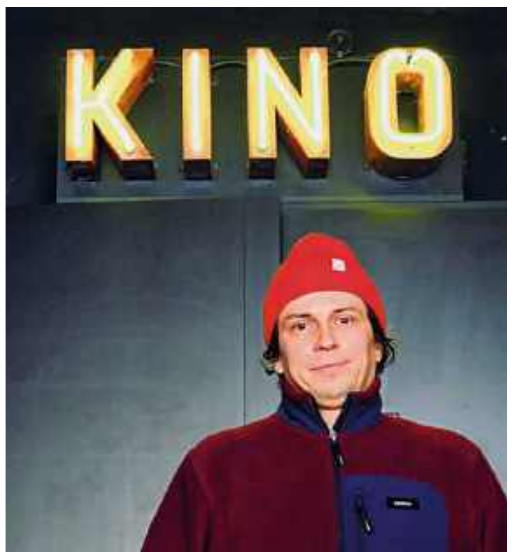

POZNAJMY NASZĄ EUROPĘ

• Chcemy rozwijać wśród Polaków poczucie europejskiej tożsamości, pokazując różnorodność krajów członkowskich Unii Europejskiej. Co tydzień na łamach „Magazynu Wyborczej" i w serwisie Wyborcza.pl będziemy publikować teksty opisujące ciekawe miejsca, tradycje i kulturę kolejnych krajów Wspólnoty.
W ramach projektu przedstawiamy także działalność Parlamentu Europejskiego i jego wpływ na życie Europejczyków. Analizujemy wyzwania stojące przed Wspólnotą, między innymi: kryzys migracyjny, wojnę w Ukrainie czy walkę z dezinformacją.
Działania współfinansowane są przez UE w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji. Materiały i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają poglądy autorów. Parlament Europejski nie odpowiada za ich treść.

Wiatr przywiewał do Koszyc nie tylko Węgrów, ale i Niemców, dzięki którym kształt centrum jest taki, że mamy podłużny plac, a po lewej i prawej – główne ulice.

Chodzimy pod ziemią, przez szklany sufit obserwując współczesne miasto, a Igor opowiada o historii – średniowiecze, najazdy Tatarów i Mongołów, pożar w połowie XVI w., pierwszy Universitas Cassoviensis w 1657 roku, noszący dziś imię Pavla Jozefa Šafárika, poety, historyka i etnografa. Wiek XIX to rozwój miasta i etniczna mieszanka: przeważają Węgrzy, ale są też Słowacy, Niemcy i do tego Polacy, Czesi, Rusini, Żydzi...

I wszyscy zostawili swój ślad tak, że do dziś, jak mówi Igor, gdy zapytasz miejscowych, każdy ma zazwyczaj w rodzinie dwie lub trzy grupy etniczne.

– Moja babcia przez sto lat żyła w siedmiu krajach – mówi Igor i wymienia sam XX w.

Na jego początku Koszyce były częścią Austro-Węgier. Po I wojnie światowej Austro-Węgry się rozpadły, a tu powstała Słowacka Republika Rad, czyli pierwszy w Koszycach reżim komunistyczny. Po miesiącu w jego miejsce powstała Demokratyczna Czechosłowacja.

Wszystko zepsuła II wojna światowa. Czechosłowacja się rozpadła, Czechy zostały zaanektowane przez III Rzeszę, a południowa Słowacja wraz z Koszycami przez Węgrów. Podczas wojny kolaborowała z faszystami. Pod koniec wojny wiatr przywiał – nie z północy, ale ze wschodu – Armię Czerwoną i Koszyce przez dwa miesiące były siedzibą rządu „odrodzonej" Czechosłowacji, czyli jakby stolicą.

A potem to już wiadomo... Socjalizm do 1989 roku, po którym nastała demokratyczna Czechosłowacja, która potem się podzieliła.

– Jest taki żart, że facet umiera i idzie do nieba, a tam Bóg go pyta: „Gdzie się urodziłeś?". W Austro-Węgrzech", odpowiada facet. „A gdzie się ożeniłeś?". „W Królestwie Węgier". „A gdzie urodziły się twoje dzieci?". „W Czechosłowacji". „A gdzie umarłeś?". „Na Słowacji". „Dużo podróżowaliście, prawda?", pyta na koniec Bóg. „Nie, nigdy nie wyjechałem z Koszyc".

To świetnie obrazuje etniczny i kulturalny miks, z jakim mamy do czynienia w Koszycach, a Igor żartuje, że gdyby mieli po każdym reżimie stawiać pomniki, to tylko by stawiali i burzyli, stawiali i burzyli.

– Z kolegą z Local Nomad wymyśliliśmy, by stworzyć „elastyczny pomnik" – stojącego dumnie, patrzącego w niebo bohatera. Pomysł polega na tym, że miałby wymienną głowę, tak by każdy mógł na pomniku umieścić swojego bohatera XX w. Myślę, że to świetna koncepcja dla miasta, które w poprzednim stuleciu charakteryzowały głównie zmiana i niestabilność.

„Elastycznego pomnika" jeszcze w Koszycach nie ma, za to jest Pomnik Konia Casso bez jeźdźca, bo – jak żartuje Igor – Casso czeka na przybycie narodowego bohatera.

Między rzeczywistością a iluzją

Chodzimy z Filipem i Igorem po mieście, a oni pokazują mi kulturę. Na brutalisycznym budynku Centrum Handlowego „Dargov" znajduje się mozaika autorstwa Imrego Vaneka.

Obok „Dargova" jest rzeźba Márii Bartuszovej pt. „Klíčenie" (czyli kiełkowanie). Bartuszová przeprowadziła się do Koszyc zaraz po studiach i z miastem była związana do końca życia. Tworzyła abstrakcyjne rzeźby, organiczne i nawiązujące do cykli natury. Znana była też z rzeźb haptycznych, przeznaczonych dla niewidomych dzieci. I z tego, że doceniał ją świat, czego dowodem choćby wielka, pośmiertna wystawa w londyńskim Tate Modern kilka lat temu.

W Koszycach miejsc do oglądania sztuki jest sporo. W ramach ESK za kupę pieniędzy wyremontowano wojskowe koszary, gdzie powstało centrum kultury Kasárne/Kulturpark.

W centrum miasta działa Koszyckie Centrum Kultury „Kunsthalle". Ciekawe wystawy można oglądać w muzeum rzeźbiarza Vojtecha Löfflera. Na pierwszym miejscu zaś wszyscy wymieniają Galerię Wschodniosłowacką.

Autorem jednej z jej wystaw jest Michal Nagypál, absolwent tutejszej szkoły artystycznej, a jednym z tematów jego prac jest ekologia. Seria obrazów „Katastrofy" przedstawia katastrofę naturalną, kryzys klimatyczny. Zwierzęta i rośliny mają tu dusze i istnieją gdzieś w krainie surrealistycznej, bo tytuł całej wystawy to „Prowizoryczne porozumienie między rzeczywistością a iluzją".

– Zmiany klimatyczne i ich konsekwencje to dziś często poruszany przez lokalnych artystów motyw w sztuce – mówi Petra Housková, artystka i dyrektorka Šopa Gallery.

Prywatnymi galeriami też Koszyce stoją. Šopa istnieje od 10 lat i pokazuje zarówno słowackich, jak i zagranicznych współczesnych artystów. Malarstwo, rzeźba, instalacje, wideo, fotografia.

– W tym roku tematem przewodnim jest opieka, którą możemy rozumieć z wielu perspektyw, zarówno jako dbanie o środowisko, jak i z perspektywy socjologicznej, bo to środowisko wpływa na nas, a także z perspektywy indywidualnej, bo pracujemy po 24 godziny na dobę i często zapominamy o troszczeniu się o innych. Sztuka jest po to, by odpowiedzieć na pytanie, jak się z tym wszystkim czujemy – mówi Petra.

Siedzimy na kanapie w głównej sali. Białe ściany w sali po prawej czekają na kolejną wystawę, której instalacja trwa, gdy rozmawiamy. Będzie to połączenie sił słowackiej artystki z Koszyc Beáty Kolbašovskej z rezydentką z Holandii Loreną Solís Bravo.

Petra Housková organizuje program Košice Artist in Residence dla artystów z całego świata. W sali po lewej znajduje się pracownia węgierskiej artystki, która właśnie stoi przed płótnem. Tymczasem Petra wymienia kolejne tematy, ważne w ostatnim czasie dla słowackich artystów.

– Równość, w tym równość płci, np. jeśli chodzi o zarobki, ale też rola kobiety w społeczeństwie i motyw toksycznej męskości – mówi. – Ważne jest dla nas także, by zapraszać artystów LGBT+ oraz artystów z Ukrainy i Białorusi.

Petra pochodzi z Koszyc. Już w liceum chodziła do koszar na koncerty, bo trzeba wspomnieć, że część kompleksu oddano jeszcze przed ESK 2013, a zawiadywał tym Peter Radkoff, który potem otworzył Tabačka Kulturfabrik.

Gdy pytam ją o trzy skojarzenia z miastem, mówi o tym, że jest przyjazne, że wibruje latem i że jest kompaktowe.

Droga zamiast rzeki

Koszyce mają trochę ponad 240 tys. km kw., czyli mniej niż Poznań, ale więcej niż Świnoujście, i w tej kategorii załapałyby się do polskiej pierwszej dziesiątki. Mieszka w nich ok. 225 tys. osób, choć według Igora może być ich znacznie więcej, bo to miasto uniwersyteckie, notabene popularne wśród polskich studentów medycyny. Pod względem ludności uplasowałyby się w Polsce w drugiej dziesiątce między Gdynią i Częstochową.

Na Słowacji są drugie po Bratysławie.

Leżą w Kotlinie Koszyckiej nad rzeką Hornad otoczone górami Tokajsko-Slańskimi i Wołowskimi. Stąd ten wiatr.

Stare miasto Koszyc wygląda jak z obrazka. Odrestaurowane, niepokryte reklamami kamienice stoją przy brukowanych uliczkach.

• Centrum Koszyc dzięki Rudolfowi Schusterowi, byłemu burmistrzowi miasta i prezydentowi Słowacji (1999-2004), zostało gruntownie odnowione i zmodernizowane. Na zdjęciu: neogotycki Pałac Jakuba przy ul. Młyńskiej 30 na Starym Mieście FOT. GETTY IMAGES

• Petra Housková, artystka i dyrektorka prywatnej Šopa Gallery. Šopa istnieje od 10 lat i pokazuje zarówno słowackich, jak i zagranicznych współczesnych artystów

• Filip Molčányi, tłumacz z angielskiego i polskiego a także saksofonista jazzowy w zespole Cha Bud! – w Colloseum jednym z najstarszych klubów w mieście

• Lukáš Berberich, kierownik Kina Usmev (czyli uśmiech). Powstało w 1922 roku, to jedno z najstarszych kin na Słowacji. Było w kiepskim stanie, ale zostało odnowione i kilka lat temu ponownie otwarte

FOT. ANNA WYRWIK (3)

Koszyce są miastem kultury. I kropka. Sztuka wibruje wraz z energią młodych ludzi w każdym zakątku tego miasta

eprasa.pl 828ea60232

Wiatr wieje śniegiem, okulary nam zaparowały, płaszcze zmokły, buty też, ale Igor i Filip twardo pokazują mi kolejne miejsca. Synagoga z umieszczoną na niej płaskorzeźbą upamiętniającą ofiary Holokaustu w Koszycach, bo zginęła prawie jedna piąta miasta.

Droga pod mostem, którą kiedyś płynęła rzeka, ale w czasach socjalizmu, gdy za hutą stali przyjechali do miasta nowi mieszkańcy i populacja wzrosła czterokrotnie, władze stwierdziły, że drogi bardziej potrzebne są niż rzeki.

Państwowa Biblioteka Naukowa, z której balkonu w 1989 roku wiał wiatr zmian wraz z przemowami bohaterów aksamitnej rewolucji. I mural przed teatrem Na Peróne, którego kolejni autorzy nie mogli się zdecydować, czy ma być „nowe slobodne" Ceskoslovensko czy Slovensko i tak widać, że zamazywali i pisali od nowa kilka razy.

– Lokalny patriotyzm jest u nas bardzo silny – mówi Igor. – W latach 90. był pomysł, by utworzyć z Koszyc coś na kształt państwa-miasta, bo nie wszystkim podobał się rozpad Czechosłowacji. Myślę jednak, że dziś pomysł stworzenia tutaj enklawy na wzór San Marino we Włoszech bardziej traktujemy w kategoriach żartu.

Słowacki Forrest Gump

Skoro dotarliśmy do lat 90., idziemy na ulicę Hrnciarską, czyli ulicę rzemieślników, utworzoną właśnie wtedy, bo ówczesny burmistrz zamarzył sobie, by Koszyce miały tradycje mieszczańskie, więc obniżył na Hrnciarskiej czynsze dla kowala, garncarza, szewca, krawca itd.

Tym człowiekiem był Rudolf Schuster, którego jako burmistrza wiatr przywiał tu dwukrotnie: w latach 80., a potem w drugiej połowie 90., i o tym okresie będzie.

– Był nie tylko burmistrzem Koszyc, ale i przewodniczącym Wschodniosłowackiego Regionalnego Komitetu Narodowego w Koszycach, przewodniczącym Słowackiej Rady Narodowej, ambasadorem w Kanadzie, prezydentem Słowacji... A do tego fotografem i podróżnikiem... Po prostu Forrest Gump – mówi Igor.

– Napisał kilkanaście książek – mówi Filip.

– Komunista, demokrata, chrześcijanin, pisarz, autor sztuk teatralnych... Forrest Gump!

– Ludzie żartują sobie, że pewnie jeszcze upolował anakondę w Amazonce.

Rudolf Schuster urodził się w Koszycach i faktycznie działał jak na szóstym biegu, pełniąc jedną funkcję za drugą, a przy okazji pisząc scenariusze, skrypty radiowe czy dzienniki z podróży po Brazylii. W historii Koszyc zapisał się jako ten, który przebudował miasto, zmodernizował kanalizację i narzucił centrum dzisiejszy wygląd. To o jego remoncie wspominał Filip Kakara, gdy mówił o rozkopanych Koszycach w latach 90. Miał też wiele ekscentrycznych pomysłów.

By rozsławić Koszyce, zorganizował na głównym placu taniec „Macareny", który zgromadził ok. 70 tys. osób, dzięki czemu Koszyce wpisały się do Księgi Rekordów Guinnessa. Tańcu towarzyszyło upieczenie najdłuższego na świecie ciasta jabłkowego (ponad 600 m), którym częstowano mieszkańców. Schuster zorganizował też bitwę morską między mieszkańcami a bandą piratów. Ponoć jeden z mostów został zbudowany tak, by burmistrz, stojąc na baczność na łodzi, nie zahaczył o niego głową. Tradycja Koszyckiej Wenecji przetrwała do dzisiaj i co roku mieszkańcy wygrywają.

Rudolfa Schustera wciąż można spotkać, jak spaceruje ulicami miasta bez ochrony, zwyczajnie, uwielbiany przez Koszyczan.

Usmev

Gdy Rudolf Schuster rodził się w Koszycach, Kino Usmev (czyli uśmiech) miało już 12 lat. Powstało w 1922 roku i jest jednym z najstarszych kin na Słowacji.

– W czasach komunizmu kino prowadziła krajowa firma dystrybucyjna, a po 1989 firma prywatna, tyle że w mieście otworzono pierwszy multipleks, więc uznali, że kino studyjne nie ma sensu – mówi kierownik kina Lukáš Berberich, uśmiechnięty facet w czapce i polarze, jakby miał zaraz ruszać w góry.

• **Filip Kakara, menedżer w centrum Tabačka Kulturfabrik. To jedno z najważniejszych miejsc na kulturalnej mapie Koszyc z salami koncertowymi, galerią, kawiarnią i kinem** FOT. ANNA WYRWIK

Lukáš uznał, że sensu nie ma, by po pustym budynku hulał wiatr, i wraz z Barborą Andor Tóthovą odrestaurowali go i ponownie otworzyli w nim kino. Lukáš wcześniej prowadził klub filmowy, a potem pracował jako menedżer w Tabačka Kulturfabrik, zna Filipa, jednego i drugiego, zna Petrę, a oni też się znają nawzajem, bo Koszyce są małe i wynikający z tego aspekt społeczny Lukáš uważa za jeden z największych plusów miasta.

– Miasto ma wspólnotowy charakter, co sprawia, że ludzie się łączą i tworzą coś razem – podsumowuje Lukáš.

Kino Usmev wraz z przylegająca do niego kawiarnią wymieniane jest przez wielu jako jedno z ciekawszych miejsc w mieście. Socjalistyczny design przechodzi w XXI-wieczny styl hip, czyli jak przystało na modne europejskie miasto, a w repertuarze są nowości i starości, sporo niszy, festiwali i oczywiście kino słowackie i czeskie.

– Słowackie kino przeżywa naprawdę dobry okres – mówi Lukáš.

Do pierwszej sali kinowej wchodzi 300, do drugiej ok. 20 osób, w planach jest trzecia. Prócz filmów są spotkania z twórcami, koncerty, wystawy, a do tego otwartość na wszystkich. – Mamy np. filmy po węgiersku, ponieważ społeczność węgierska wciąż żyje w Koszycach.

Weirdness i Kultúrny štrajk!

Słowem, które jeszcze kojarzy się Lukášowi z Koszycami, jest weirdness i specjalnie tego nie tłumaczę, bo niech zbierze w sobie wszystkie swe znaczenia i pokaże też absurd – w weird mieście wiatr wieje w twarz pozytywną sztuką otwartą na każdego, a tymczasem w każdym z miejsc, które odwiedzam, ludzie walczą o przetrwanie z wypisanymi na plakatach hasłami inicjatywy „Kultúrny štrajk!".

Wszyscy, z którymi rozmawiam, boją się o swe przestrzenie, bo odkąd dwa lata temu ministrą kultury została Martina Šimkovičová, była prezenterka telewizyjna, znana z prorosyjskich, antyimigranckich i homofobicznych poglądów, większość centrów kultury traci dofinansowanie, a dyrektorzy największych państwowych instytucji tracą posady.

„My, centra kultury zrzeszone w sieci Antén, protestujemy przeciwko działaniom kierownictwa Ministerstwa Kultury Republiki Słowackiej [17 września 2025 roku niezależne ośrodki kultury zrzeszone w sieci Antén decyzją władz zostały odcięte od kluczowego wsparcia publicznego], które likwidują słowacką kulturę. Zagrażają one nie tylko naszemu funkcjonowaniu, ale także wolności i różnorodności sztuki. Apelujemy do Was, abyście nie byli obojętni. Śledźcie bieżące wydarzenia, odwiedzajcie przestrzenie kulturalne i dyskutujcie. Zostańcie z nami i walczmy razem o wolną kulturę" – głosi napis na barze w Tabačka Kulturfabrik.

– Wszystkie centra kultury uznają za swoich wrogów – mówi Filip Kakara.

– Dla nas dziś ważna jest walka o podstawowe wartości, o otwartość i tolerancję, walka z ksenofobią – mówi Lukáš. – Jak to zwykle bywa, gdzie dzieje się coś złego, ludzie się jednoczą i chyba nigdy ludzie kultury nie byli na Słowacji tak zjednoczeni jak dziś, a to wszystko dzięki pani minister.

Wszyscy krytykują, a – jak brzmi hasło na jednym z plakatów w Tabačce – „kto nie przejmuje się krytyką, nie powinien zajmować się polityką!".

– Boję się, ale mam nadzieję, że jakoś przetrwamy – mówi Petra. – Aplikujemy o pieniądze unijne. W najgorszym razie będę musiała poszukać innej pracy, ale najważniejsze dla mnie jest to, by nie zamknąć galerii, bo jeśli zamknę, już jej nie otworzę. Myślę, że cała nadzieja na polityczną zmianę w naszym kraju jest w młodych ludziach.

„Zaproś na randkę"

W centrum są niskie i wyremontowane kamienice bez szyldów, ale centrum jest – jak to nazywa Lukáš – oprawione. Poza nim rozpościera się typowo środkowoeuropejski bajzel, czyli po lewej remont, po prawej wystaje blacha z deską, dalej po lewej dom z katalogu, dalej po prawej „City Paradise", szyld na szyldzie, przede mną galeria handlowa, za mną Kaplica św. Floriana, gdzieś w tle komin dawnego browaru, a jeszcze dalej w górze osiedle.

Wyblakłe bloki rosną nad miastem, zbudowane w czasach socjalizmu, jakby ten socjalizm stare miasto Koszyc chciał zjeść.

Ale do nich też dociera sztuka.

Po pierwsze, za pomocą Vymenników, czyli minicentrów kultury, które od 2009 w ramach ESK powstały w siedmiu dzielnicach, dalej od centrum, w budynkach, w których wcześniej zamontowane były wymienniki ciepła.

Po drugie, za pomocą street artu. Przykładem jest mural „Nenikhamen" autorstwa Viktora Fehera i Samuela Velebnego. Artyści stworzyli go z okazji stulecia Międzynarodowego Maratonu Pokoju, który w Koszycach organizowany jest od 28 października 1924 roku, co czyni go najstarszym maratonem w Europie. Maratończycy biegają co roku w październiku, a towarzyszy temu odbywająca się po biegu Biała Noc, czyli festiwal sztuki współczesnej, który zamienia miasto w jedną wielką scenę artystyczną z wystawami, instalacjami, performance'ami, koncertami itd.

Bywa też street art niechlujny i z nim walczy Igor Kupec.

– Tagi są wszędzie na mieście i nie wyglądają super, dlatego staram się zmienić je w coś fajnego – mówi.

Wygląda to tak, że nad chmarą tagów umieszcza np. napis: „Podpisz poniżej, jeśli uważasz, że świat potrzebuje więcej miłości" albo „Wolontariuszy, którzy chcą pomóc w czyszczeniu miasta z graffiti, proszę o podpis poniżej".

– To taka moja mała inicjatywa, dzięki której ich tagi stają się częścią jakiegoś apelu – mówi Igor. – Koszyccy grafficiarze mnie za to nienawidzą, piszą czasem, że jestem dupkiem i tego typu rzeczy.

Igor nakleja też chmurki na przystankach, tak że czekający na autobusy ludzie wyglądają, jak postacie z komiksów, które mówią np. „Mam już wszystkiego dość" albo „Zaproś na randkę".

Piwo i borovička

– Z Koszycami kojarzą mi się rodzina, dom i, tak jak wszystkim, wiatr – mówi Filip Molčányi, tłumacz z angielskiego i polskiego, fan książek Stanisława Lema i saksofonista jazzowy w zespole Cha Bud!, oczywiście z koncertami w Tabačka Kulturfabrik w portfolio.

Pivovar Hostinec – najstarszy browar w mieście, znajdujący się w Domu Lewockim, jednym z najstarszych tu budynków – serwuje nam piwo i suszone rybki, a tymczasem Filip opowiada o młodości.

– Urodziłem się w latach 80. i pamiętam rozwalone budynki i brud. Z lat 90. pamiętam nacjonalizm, bo wtedy skinheadzi chodzili po ulicach. Władze zamknęły zakłady, było wielkie bezrobocie. Grałem w lokalnej orkiestrze i dużo podróżowałem wtedy, kiedy jeszcze nikt o tym nie marzył. Po wejściu do Unii wciąż jeździłem stopem po Europie i do pracy w USA i UK. Nigdy jednak nie chciałem się na stałe wyprowadzić z Koszyc. Dlaczego? Koszyce to małe miasto, więc jest spokojnie i bez stresu, wszyscy się znają, jest wszędzie blisko, do wydarzenia kulturalnego mam 5 minut, do lasu 20 minut. Super!

Bierzemy po łyku piwa.

– Po wejściu do Unii widzę na Słowacji wielką zmianę. Jest dużo nowych miejsc pracy, widać rozwój... Niestety wyniki wyborów są, jakie są... Młodzi ludzie z wyższym wykształceniem uciekają z kraju... Ostatnio byłem w Tabačce na spotkaniu ze starym słowackim aktorem, który powiedział, że jeżeli coś mamy na Słowacji, to jest to nadzieja.

Na dworze północny wiatr rozwiewa śnieg, który przykrył już miasto wielocentymetrową warstwą, więc jest biało i ten wiatr, i zimno, i ten wiatr, a my idziemy do Colloseum, jednego z najstarszych klubów w mieście, gdzie przy piwie i borovičce, z muzyką rockową w tle, rozmawiamy o polityce. Ale to już historia na zupełnie inne opowiadanie. ●

Podcast
Poznajmy naszą Europę

• **NOWY ODCINEK: Alicja Dąbrowska rozmowa z Janem Bosznowiczem,** menedżerem turystyki i entuzjastą Słowacji, o urokach Słowacji i o tym, czy nie byłoby więcej prawdy w przysłowiu „Polak, Słowak (a nie Węgier!) – dwa bratanki"

Za tydzień: Aleksander Gurgul odwiedzi na Słowacji Demianowską Jaskinię Wolności

1 RP

eprasa.pl 828ea60232

SPOŁECZEŃSTWO

Drobny ruch brwi

Czy Amal Clooney jest zakładniczką swojego kręgu kulturowego?

Krystyna Romanowska

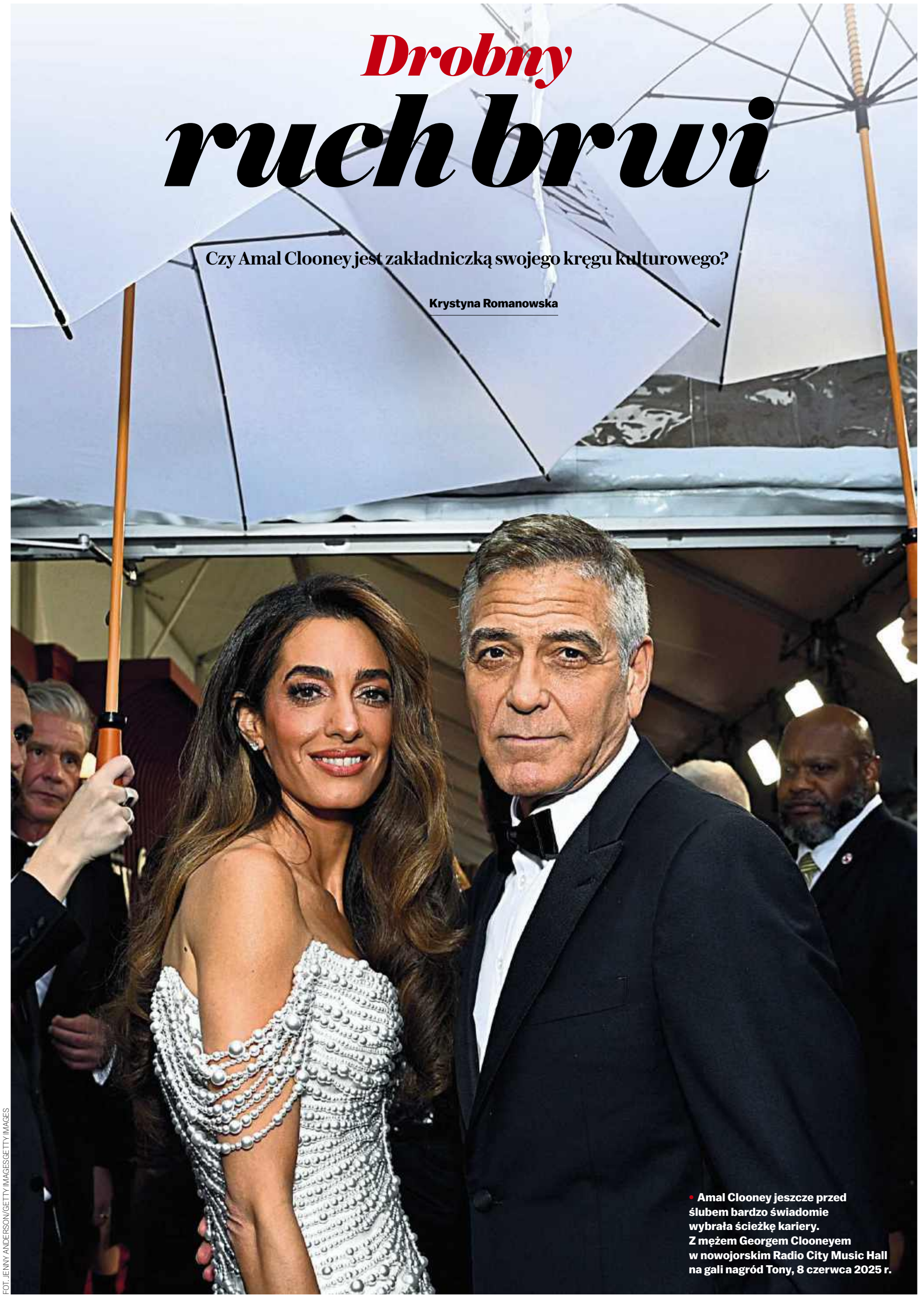

• **Amal Clooney jeszcze przed ślubem bardzo świadomie wybrała ścieżkę kariery. Z mężem Georgem Clooneyem w nowojorskim Radio City Music Hall na gali nagród Tony, 8 czerwca 2025 r.**

FOT. JENNY ANDERSON/GETTY IMAGES/GETTY IMAGES

1 RP

eprasa.pl 828ea60232

Jednego dnia argumentuje przed Trybunałem w Hadze, a drugiego jest na okładce „Vogue'a". Mówi językiem prawa międzynarodowego o ludobójstwie, jurysdykcji uniwersalnej i odpowiedzialności państw, a jednocześnie staje się bohaterką nagłówków o zbyt wygładzonych zmarszczkach na okładce magazynu modowego.

Tyle że Amal Clooney pojawia się w przestrzeni publicznej nie jako celebrytka, która „postanowiła być mądra", lecz jako ekspertka, która – ku zaskoczeniu mediów – wygląda jak ktoś, kogo łatwo byłoby sprowadzić do roli ikony stylu. Zonk.

W maju przyjedzie do Polski. 13 i 14 maja wystąpi na konferencji Impact'26 w Poznaniu, gdzie – jak zapowiadają organizatorzy – ma mówić o tym, dlaczego łamanie praw człowieka przestaje być wyłącznie problemem moralnym, a staje się realnym zagrożeniem dla bezpieczeństwa państw i globalnej gospodarki. Clooney zamierza odwołać się do własnych doświadczeń z międzynarodowych trybunałów, pokazując, że bez praworządności nie ma stabilnych inwestycji ani długofalowego rozwoju.

FOT. STEFAN ROUSSEAU-WPA POOL/GETTY IMAGES

• **Clooneyowie na przyjęciu u króla Karola III z okazji wręczenia nagród dla młodych – King's Trust. Pałac Buckingham, 25 czerwca 2025 r.**

Edukacja – model transatlantycki

Kiedy pojawia się w kadrze, wszystko wokół lekko zwalnia. Kilka kroków, prosty gest, twarz skupiona na tym, co za chwilę zostanie powiedziane. Ten obraz ma w sobie coś znajomego – reporterską ciszę znaną z archiwalnych ujęć Jacqueline Kennedy Onassis, dyplomatyczną powściągliwość Queen Ranii of Jordan. Mocne spojrzenie, proporcje, które dobrze znoszą naturalne światło i bliskie ujęcie. Taka twarz pracuje oszczędnie: drobny ruch brwi, lekki uśmiech. To uroda, która dobrze starzeje się wraz z doświadczeniem. Z czasem zyskuje głębię: rysy nabierają charakteru, spojrzenie staje się bardziej przenikliwe.

To skupienie nie wzięło się znikąd. Jest zapisem biografii – wielowarstwowej, naznaczonej napięciem między wspólnotami, językami i porządkami świata.

Amal Alamuddin urodziła się w rodzinie łączącej druzyjskie i sunnickie tradycje – jest córką dziennikarki i libańskiego przedsiębiorcy, też wykładowcy akademickiego. Było to małżeństwo nietypowe dla zamkniętej wspólnoty druzyjskiej, ale społecznie dopuszczalne.

Podczas wojny domowej w Libanie rodzina zdecydowała się na emigrację do Wielkiej Brytanii. Amal tu skończyła szkołę średnią, a potem studiowała prawo na Oksfordzie. Ten brytyjski etap formacji – oparty na rygorze argumentu i pracy z precedensem – uzupełniła później w Stanach Zjednoczonych, zdobywając tytuł magistra prawa na New York University School of Law.

Jej edukacja od początku przebiegała więc transatlantycko: między brytyjską tradycją prawa a amerykańskim modelem jego międzynarodowego i publicznego zastosowania. W 2002 roku została dopuszczona do nowojorskiej adwokatury. Przez trzy lata pracowała w kancelarii Sullivan & Cromwell w Nowym Jorku, gdzie uczestniczyła między innymi w sprawach dotyczących Enronu czy firmy Arthur Andersen.

Następnie zdobywała doświadczenie w organach międzynarodowych – w 2004 roku odbyła staż w Międzynarodowym Trybunale Sprawiedliwości w Hadze, pracując u boku sędziów między innymi z Rosji, Egiptu i Wielkiej Brytanii. Później była zatrudniona w haskim Trybunale ONZ do spraw zbrodni w byłej Jugosławii (ICTY) oraz jako prokuratorka w Specjalnym Trybunale dla Libanu powołanym do osądzenia zabójców premiera Rafica Haririego.

W 2010 roku Alamuddin wróciła do Londynu i została przyjęta do palestry Anglii i Walii (Inn of Court Inner Temple). Jej reputacja była już na tyle ugruntowana, że gdy przyszła złożyć wizytę w Chambers Doughty Street, prestiżowej londyńskiej kancelarii adwokatów procesowych, aby doradzić w kwestii prawa libańskiego, otrzymała tam ofertę pracy praktycznie od ręki.

Zanim została panią Clooney

Wszystko to osiągnęła, zanim ktokolwiek o niej usłyszał i nazwisko Alamuddin pojawiło się w mediach.

– Lubię ludzi ciężko pracujących. Sam mam za sobą wiele lat pracy w międzynarodowej kancelarii i doskonale wiem, jak wygląda ta droga od środka – ile kosztuje wysiłku, determinacji i odporności psychicznej. Dlatego patrzę na jej karierę nie przez pryzmat medialnego wizerunku. Urodzić się w rodzinie imigranckiej i dojść do światowej czołówki prawa międzynarodowego to jest po prostu ekstremalnie trudne i budzi mój autentyczny podziw – mówi Tomasz Chmal, adwokat, partner w Trzeciak|Chmal.

– Jej ścieżka nie jest łatwa ani bezpieczna. To sprawy wymagające odwagi: stawianie się potężnym państwom, udział w sporach o wielkim ciężarze politycznym i moralnym, a także gotowość do ponoszenia konsekwencji medialnych i reputacyjnych. Nie każdy prawnik chce i potrafi funkcjonować w takiej przestrzeni.

Pierwsze znaczące wzmianki medialne o Amal Alamuddin pojawiły się na początku drugiej dekady XXI wieku, zanim jeszcze stała się postacią z pierwszych stron gazet. Jednym z takich wczesnych wydarzeń była jej rola w sprawie założyciela WikiLeaks – Juliana Assange'a.

24 listopada 2011 roku fotoreporterzy uchwycili Alamuddin wychodzącą z londyńskiego sądu u boku Assange'a po rozprawie ekstradycyjnej. W tym czasie oficjalnie dołączyła do zespołu jego obrońców, reprezentując go w walce przeciw ekstradycji do Szwecji. Było to prawdopodobnie pierwsze pojawienie się jej nazwiska i wizerunku w międzynarodowych mediach informacyjnych.

Kolejna wzmianka medialna nastąpiła niedługo potem, w związku ze sprawą byłej premier Ukrainy Julii Tymoszenko. W listopadzie 2012 roku Alamuddin uczestniczyła w działaniach prawnych na rzecz uwolnienia Tymoszenko. Opublikowano między innymi fotografię, na której ją widać obok wybitnego brytyjskiego adwokata Geoffreya Robertsona oraz Jewgienii Tymoszenko, córki uwięzionej polityczki.

Jej współpracownicy już wtedy podkreślali, że Amal znajduje się „w centrum najbardziej głośnej batalii o prawa człowieka" tamtego okresu i że „jest przyzwyczajona do bycia w blasku fleszy".

Jedna z najwcześniejszych oficjalnych wzmianek dotyczących jej pracy prawniczej to publikacja naukowa z końca 2010 roku. Wówczas 15 listopada ukazał się artykuł współautorstwa Amal Alamuddin (wraz z doktor Philippą Webb) w prestiżowym czasopiśmie „Journal of International Criminal Justice". Artykuł nosił tytuł „Expanding Jurisdiction over War Crimes under Article 8 of the ICC Statute" i dotyczył poszerzenia jurysdykcji Międzynarodowego Trybunału Karnego w zakresie zbrodni wojennych.

Amal Clooney reprezentowała ponad sto ofiar zbrodni w Darfurze. Tłumaczyła ludzkie cierpienie na język dowodów, który miał przekonać sędziów

Tomasz Chmal: – Ona bardzo świadomie wybrała swoją ścieżkę kariery. W prawie istnieje kilka różnych „szczytów". Jednym z nich jest kariera stricte finansowa – partnerstwo w największych międzynarodowych kancelariach, praca przy wielomiliardowych transakcjach. Innym jest kariera polityczna. Jeszcze innym – i to jest droga, którą wybrała Amal Clooney – jest prawo międzynarodowe i prawa człowieka, występowanie przed międzynarodowymi trybunałami w sprawach o fundamentalnym znaczeniu.

Ślub, który zmienia wszystko

W 2014 roku Amal bierze ślub z George'em Clooneyem. To staje się punktem zwrotnym nie tyle w jej karierze, bo ta toczy się dalej tak, jak sobie ją Amal zaprojektowała. Przed 2014 rokiem, gdy funkcjonowała jako Amal Alamuddin, jej dorobek – jakkolwiek wpisujący się w nurt liberalnego prawa międzynarodowego – nie wywoływał w USA żadnych istotnych kontrowersji.

Po ślubie z Clooneyem, od lat kojarzonym z amerykańskim liberalnym establishmentem i jednoznaczną krytyką republikańskich prezydentów, narracja się radykalnie zmieniła. Amal Clooney przestała być postrzegana wyłącznie jako ekspertka prawa międzynarodowego, a zaczęła funkcjonować w konserwatywnych narracjach jako element tego samego świata kulturowego co Hollywood, ONZ i liberalne elity opiniotwórcze.

Gdy w 2018 roku publicznie skrytykowała retorykę Donalda Trumpa wobec mediów, konserwatywne media zareagowały nie na treść jej argumentów, lecz na fakt, że głos ten pochodził od osoby kojarzonej z Hollywood.

Komentatorka Fox News Tomi Lahren zarzucała jej „straszenie Amerykanów upadkiem demokracji", a Ben Shapiro ironizował, że „kolejna celebrytka powiązana z ONZ postanowiła pouczać Amerykę o wolności słowa".

Czy Amal to rusza?

– Często pojawia się też pytanie o komfort, w jakim rzekomo działa. Że jako osoba uprzywilejowana, doskonale wykształcona, funkcjonująca w elitarnych kręgach Zachodu, nie ponosi kosztów swojej działalności. To uproszczenie. Amal Clooney jest obiektem bardzo intensywnego hejtu, szczególnie ze strony środowisk fundamentalistycznych i skrajnie antyliberalnych, które przedstawiają ją jako narzędzie ideologicznej dominacji liberalnych elit. Różnica polega na tym, że ma ona większą odporność instytucjonalną i osobistą, by ten hejt udźwignąć i nie wycofać się z działania – ocenia Maciej Nowicki, szef Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka.

Są większe hejty

Prof. Magdalena Grzyb, prawniczka z Uniwersytetu Jagiellońskiego, z dystansem podchodzi do krytyki konserwatystów wobec Amal, zestawiając ją z inną, ważną szczególnie w kontekście praw kobiet, prawniczką Reem Alsalem.

Pochodząca z Jordanii, specjalna sprawozdawczyni ONZ ds. przemocy wobec kobiet i dziewcząt, ma wiele cech podobnych do Amal. Obie działają na poziomie międzynarodowym, opierają swój autorytet na prawie i zajmują się ochroną praw kobiet, co naturalnie wciąga je w ostre spory publiczne.

– Reem Alsalem ryzykuje jednak znacznie więcej i jest pod dużo większą presją – podkreśla Grzyb. – Amal Clooney jako osoba globalnie rozpoznawalna ma silne zaplecze medialne i instytucjonalne, które działa jak parasol ochronny. Przede wszystkim znanego męża.

W przypadku Alsalem ten parasol praktycznie nie istnieje. Gdy jej raporty dotyczące definicji płci, przemocy czy ochrony kobiet spotykają się z krytyką, presja szybko przenosi się na poziom instytucjonalny: pojawiają się listy otwarte do ONZ, petycje wzywające do odebrania jej mandatu, próby przedstawienia jej pracy jako sprzecznej ze standardami praw człowieka.

To realne ryzyko zawodowe – podważenie raportu oznacza podważenie całej jej pozycji jako ekspertki. W przeciwieństwie do hejtu wizerunkowego, z którym mierzy się Clooney, naciski wobec Alsalem mogą bezpośrednio ograniczyć jej możliwość zabierania głosu i wpływania na prawo, a to w systemie ONZ jest stawką najwyższą.

Przetłumaczenie ludzkiego cierpienia

Amal Clooney znajduje się dziś w pozycji, która daje jej komfort wyboru spraw, dlatego też lista jej najgłośniejszych zaangażowań z ostatnich lat jest jednocześnie mapą świadomych decyzji normatywnych. Wśród nich znajduje się sprawa jazydzkich ofiar ISIS, w której od 2016 roku działała na rzecz uznania zbrodni Państwa Islamskiego za ludobójstwo i stworzenia mechanizmów ścigania sprawców; była to działalność szeroko chwalona ponad podziałami politycznymi.

– Sprawy dotyczące zbrodni ISIS wobec Jazydów łączą w sobie problem ludobójstwa, przemocy seksualnej wobec kobiet, odpowiedzialności dowódczej i systemowego charakteru zbrodni. Nawet jeśli nie wszystkie z tych spraw kończą się pełnym sukcesem procesowym, ich znaczenie dla świadomości społecznej i utrwalania standardów prawa międzynarodowego jest ogromne. Amal Clooney doskonale rozumie, że sam wyrok nie wystarcza – muszą mu towarzyszyć debata publiczna, presja polityczna i praca u podstaw – komentuje Nowicki.

Kolejnym obszarem była wolność mediów, gdzie reprezentowała prześladowanych dziennikarzy, między innymi w sprawie reporterów Agencji Reutera więzionych w Mjanmie. Zabiegała o międzynarodową odpowiedzialność za zabójstwo saudyjskiego dziennikarza i dysydenta Dżamala Chaszodżdża, równolegle pełniąc funkcję specjalnej wysłanniczki rządu brytyjskiego do spraw wolności prasy.

1 RP

eprasa.pl 828ea60232

Istotnym i często pomijanym wątkiem jest jej zaangażowanie w sprawy Darfuru, gdzie wspierała działania na rzecz rozliczenia zbrodni popełnianych wobec ludności cywilnej. Do tego dochodzą sprawy Armenii i Górskiego Karabachu.

– Reprezentowanie ofiar przed międzynarodowymi trybunałami karnymi oznacza konieczność wysłuchania dziesiątek, a czasem setek historii. I umiejętność „przetłumaczenia" ludzkiego cierpienia na język dowodów, argumentów i norm prawnych, które będą zrozumiałe i przekonujące dla sędziów. To ogromna odpowiedzialność i ciężar emocjonalny i psychiczny, które trwają latami.

W sprawach dotyczących zbrodni w Darfurze Amal Clooney reprezentowała ponad sto ofiar, niosąc ich historie przez kolejne etapy postępowania. I oczywiście, że ma wokół siebie sztab wykształconych prawników, ale to wciąż ciężka, długodystansowa praca prawnicza – mówi dr hab. Karolina Wierczyńska, kierowniczka Centrum Badań nad Międzynarodowym Prawem Karnym. – Jednocześnie jej rozpoznawalność działa jak megafon.

Amal Clooney doskonale rozumie, że jej obecność przyciąga uwagę mediów – i potrafi tę uwagę wykorzystać w sposób, który służy sprawiedliwości. Jeśli bycie celebrytą ma jakikolwiek sens w świecie prawa międzynarodowego, to właśnie taki: skierowany na nagłaśnianie spraw, o których inaczej nikt by nie usłyszał.

Warto przy tym podkreślić, że wiele prowadzonych przez nią spraw wcale nie jest „atrakcyjnych medialnie". Dotyczą one anonimowych, często niepiśmiennych ofiar – takich jak jazydzkie kobiety reprezentowane przez nią przed sądami niemieckimi na podstawie zasady jurysdykcji uniwersalnej. To są sprawy konieczne, często ani prestiżowe, ani efektowne.

Dobrze jest zdawać sobie sprawę z tego, że historia kariery Amal Clooney to historia realnej zmiany w świecie prawniczym, który dotyczy także Polski.

– Kobiety coraz częściej obejmują najwyższe stanowiska w samorządach prawniczych, kancelariach i instytucjach. Mamy pierwszą od stu lat dziekan Rady Adwokackiej w Warszawie. To naturalna konsekwencja uznania kompetencji, pracowitości i jakości pracy, a nie mody czy parytetów – podkreśla Tomasz Chmal.

– Postacie takie jak Amal Clooney chcąc nie chcąc stają się symbolami tej zmiany, pokazując, że kobieta może osiągnąć absolutnie najwyższą pozycję w jednym z najbardziej wymagających zawodów na świecie, nie rezygnując ani z profesjonalizmu, ani z własnego stylu.

Clooney Fundation w Polsce

Przez chwilę Clooney Fundation for Justice zawiesiła także oko na Polsce.

Maciej Nowicki: – Odbywało się to w okresie najgłębszego kryzysu praworządności w Polsce, kiedy pytanie nie brzmiało już „czy", lecz „jak" i „gdzie" skutecznie reagować na systemowe naruszenia niezależności sądów.

Jak wspomina, zainteresowanie Clooney Foundation szczególne dotyczyło spraw dyscyplinarnych sędziów oraz mechanizmów, które mogłyby stać się przedmiotem postępowań przed Europejskim Trybunałem Praw Człowieka czy Trybunałem Sprawiedliwości Unii Europejskiej.

– Nie rozmawialiśmy z samą Amal Clooney, lecz z zespołem fundacji – niewielkim liczebnie, ale złożonym z bardzo doświadczonych prawników. Było widać, że ich podejście opiera się na chłodnej analizie: gdzie ich zaangażowanie może wnieść realną wartość dodaną, a gdzie lepiej zaufać lokalnym podmiotom – wspomina Nowicki.

– Ostateczna decyzja o nieangażowaniu się w polskie sprawy zapadła właśnie na tej podstawie. Intensywnie działała wówczas Helsińska Fundacja Praw Człowieka, Wolne Sądy i inne organizacje, a zasoby Clooney Foundation zostały skierowane do krajów i regionów, gdzie podobnej infrastruktury obrony praw

FOT. ANGELA WEISS / AFP

• **Amal Clooney na konferencji „Prasa za kratkami: podważanie sprawiedliwości i demokracji" podczas sesji Organizacji Narodów Zjednoczonych. Nowy Jork, 28 września 2018 r.**

człowieka nie było. Dla mnie był to dowód odpowiedzialności, a nie dystansu. Umiejętność powiedzenia: „tu nie jesteśmy najbardziej potrzebni", jest dziś rzadką cechą w świecie międzynarodowego aktywizmu.

Tuba hollywoodzkich liberałów?

Momentem, który uruchomił falę krytyki wobec Amal Clooney w Stanach Zjednoczonych, był 20 maja 2024 roku, kiedy prokurator Międzynarodowego Trybunału Karnego Karim Khan ogłosił złożenie wniosków o nakazy aresztowania wobec izraelskiego premiera Beniamina Netanjahu oraz przywódców Hamasu, jednocześnie publicznie dziękując zespołowi ekspertów prawnych, wśród których znalazła się Clooney.

Zaczęto zadawać pytanie, dlaczego w jednej konstrukcji prawnej zrównano działania demokratycznego państwa Izrael z czynami organizacji terrorystycznej. Komentator Fox News Howard Kurtz nazwał to „moralnie szokującym", określając Clooney jako „ultraliberalną brytyjską prawniczkę praw człowieka".

Krytyka została dodatkowo wzmocniona między innymi przez „New York Post", w którym publicystka Isabel Vincent pisała o Clooney jako o „tubie hollywoodzkich liberałów". Donald Trump trybunał nazwał „sądem kangurzym" działającym przeciwko sojusznikom USA. George'a i Amal Clooneyów określił jako „dwoje z najgorszych politycznych proroków w historii".

W tym kontekście zaczęto również przypominać wcześniejszy epizod z lat 2012-13, kiedy Amal Clooney – jako zewnętrzna ekspertka prawna – konsultowała wybrane kwestie praw człowieka w egipskim procesie konstytucyjnym w okresie rządów Bractwa Muzułmańskiego.

Czy Amal jest zakładniczką swojego kręgu kulturowego? Czy podjęłaby się na przykład obrony praw ofiar Hamasu z 7 października?

Dr hab. Karolina Wierczyńska: – Amal Clooney bardzo świadomie funkcjonuje na styku prawa, polityki i mediów, co nieuchronnie rodzi pytania o granice jej niezależności. Jeżeli pyta mnie pani, czy stała się zakładnikiem swojego kręgu kulturowego, to odpowiedź brzmi: pewnie po części tak.

Jest osobą o libańskich korzeniach, wychowaną w określonym kontekście historycznym i kulturowym, funkcjonującą w świecie, w którym konflikty Bliskiego Wschodu są doświadczeniem osobistym i zbiorowym. Jej głos bywa więc odczytywany przez tamte społeczności jako „nasz głos na Zachodzie" – głos kogoś, kto mówi w imieniu regionu, z którego pochodzi, nawet jeśli formalnie reprezentuje konkretne ofiary, a nie wspólnoty czy narody.

I właśnie w tym miejscu warto opowiedzieć historię, która – choć nie dotyczy jej bezpośrednio – dobrze tłumaczy, dlaczego ona

Kolejna celebrytka powiązana z ONZ postanowiła pouczać Amerykę o wolności słowa" – usłyszała, gdy skytykowała Trumpa

konsekwentnie staje po stronie tych, którzy normalnie nie mają głosu. W 2016 roku lat byłam w Waszyngtonie na międzynarodowym moot courcie – zawodach, w których studenci prawa z całego świata symulują postępowania przed sądem międzynarodowym.

Najpierw przygotowują pisma procesowe, potem mowy, a finały odbywają się już przed prawdziwymi sędziami międzynarodowymi. Podczas jednego ze spotkań pokazano nam film dokumentalny z przygotowań do moot courtu sprzed roku czy dwóch. Kamera śledziła różne zespoły na świecie, pokazując, jak się uczą i w jakich warunkach pracują.

Najpierw zobaczyliśmy drużynę z Izraela. Studenci pracowali w nowoczesnej, jasnej sali wykładowej. Prowadził ich jeden z najwybitniejszych specjalistów od prawa międzynarodowego publicznego. Były wykłady, tablice, prezentacje, wspólne rozwiązywanie kazusów. Potem nastąpiło cięcie.

Na ekranie pojawiła się dziewczyna z Palestyny. Była sama. Przygotowywała się nocą, przy świeczce. Rok wcześniej w zamachu zginął jej brat. A ona mimo to – albo właśnie dlatego – uczyła się prawa międzynarodowego i przygotowywała się do symulacji procesu przed sądem, do którego dostęp ma tak niewielu.

I kiedy dziś myśli się o Amal Clooney i o tym, kogo ona reprezentuje, trudno nie mieć przed oczami właśnie tej dziewczyny. Osoby, która ma historię, cierpienie i determinację – ale nie ma zespołu ekspertów, prestiżowej uczelni ani mikrofonu.

W tym sensie jest ona nie tylko prawniczką, ale także symbolem zmiany. Zmiany polegającej na tym, że kobiety mają realny wpływ i realny głos w świecie prawa międzynarodowego. I co równie ważne: że ten głos coraz częściej wykorzystywany jest nie w interesie najsilniejszych, lecz najsłabszych.

Libanka o światowej renomie

Ale w mediach Lewantu wizerunek Amal Clooney też przestał być jednoznaczny. Jeszcze niedawno arabskojęzyczne serwisy informacyjne mówiły o Amal Clooney jednym głosem – z dumą i zachwytem. „Libańska prawniczka specjalizująca się w prawach człowieka" – tak rutynowo przedstawiał ją Euronews Arabic, podczas gdy Sky News Arabia dodawał obowiązkowe: „żona hollywoodzkiego aktora George'a Clooneya", cementując jej podwójną tożsamość gwiazdy prawa i celebryckiego świata.

W Bejrucie ton był jeszcze bardziej emocjonalny: MTV Lebanon zachwycała się „błyskotliwym umysłem i urodą wybitnej adwokatki", podkreślając, że w najgłośniejszych decyzjach Międzynarodowego Trybunału Karnego „słychać libański akcent".

Dziennik An-Nahar dorzucał: „nasza rodaczka", „Libanka o światowej renomie", celebrując ją równie chętnie na salach sądowych, co na czerwonych dywanach.

Ten medialny aplauz pękł jednak wraz z wojną w Strefie Gazy – gdy Clooney milczała, arabskie komentarze przybrały ostrzejszy ton, a dziennikarze coraz częściej przypominali: „ojciec Libańczyk, matka Palestynka", pytając głośno, gdzie jest jej głos.

Gdy w maju 2024 roku przerwała ciszę i ogłosiła udział w pracach Międzynarodowego Trybunału Karnego, kamery znów się włączyły, cytaty wróciły na paski informacyjne, ale zachwyt ustąpił miejsca napięciu. Od tego momentu reporterska narracja o Amal Clooney nabrała nowej dynamiki: obok superlatywów i dumy z libańskich korzeni pojawiło się rozliczanie z oczekiwań – bo w arabskich mediach jest symbolem, od którego region domaga się nie tylko sukcesu, ale także jednoznacznej solidarności.

Czy bycie ikoną przeszkadza, czy pomaga na sali sądowej?

– Jeśli chodzi o funkcjonowanie na sali sądowej, wydaje mi się, że jej medialność ma znaczenie drugorzędne. Świat prawa międzynarodowego jest bardzo profesjonalny. Można być ikoną stylu w mediach kolorowych, ale przed sędziami liczy się jakość argumentów, znajomość prawa i zdolność prowadzenia skomplikowanej narracji procesowej. Ktoś, kto występuje przed najwyższymi trybunałami świata w profesjonalnej roli, jest w takich postępowaniach traktowany merytorycznie, niezależnie od tego, jak bardzo rozpoznawalne jest jego nazwisko poza salą rozpraw – uważa Maciej Nowicki.

Jest jeszcze coś jego zdaniem szalenie ważnego, co robi Amal Clooney. – Ona nie pozwala, by to popkultura definiowała sens jej pracy. Mam raczej wrażenie, że robi dokładnie odwrotnie: bierze skomplikowane, często hermetyczne zagadnienia prawa międzynarodowego karnego i przekłada je na język, który jest zrozumiały dla opinii publicznej, nie tracąc przy tym ich ciężaru gatunkowego.

Pod koniec 2025 roku media poinformowały, że Clooneyowie – George, Amal i ich ośmioletnie bliźniaki Ella i Aleksander – dostali obywatelstwo francuskie. Od lat spędzają tam znaczną część roku, mają rezydencję na południu Francji.

Francuski paszport przedstawiano jako kolejny element ich transnarodowej biografii, a nie gest polityczny czy symboliczny zwrot.

– Jeśli miałbym powiedzieć, czego Amal jest dziś symbolem, wskazałbym na bardzo konsekwentne przywiązanie do idei, że prawo międzynarodowe ma sens tylko wtedy, gdy nie jest podporządkowane logice siły.

W świecie, w którym coraz częściej słyszymy, że normy trzeba „urealniać", „dostosowywać do nowych czasów" albo wręcz zawieszać w imię bezpieczeństwa, ona przypomina, że dokładnie takie myślenie prowadziło w przeszłości do największych katastrof. To stanowisko nie jest dziś politycznie wygodne, ale właśnie dlatego jest tak potrzebne – mówi Nowicki.

– I chyba dlatego Amal Clooney pozostaje jedną z tych postaci, które – niezależnie od medialnego szumu – reprezentują bardzo klasyczne, wręcz staroświeckie w najlepszym sensie przywiązanie do prawa, odpowiedzialności i uniwersalnych zasad. ●

eprasa.pl 828ea60232

E-PLEMIONA POKONAŁY BANDY

Dziecko powinno mieć prawo do swojej prywatności i do ponoszenia odpowiedzialności za własne zachowanie, a także konsekwencji tegoż

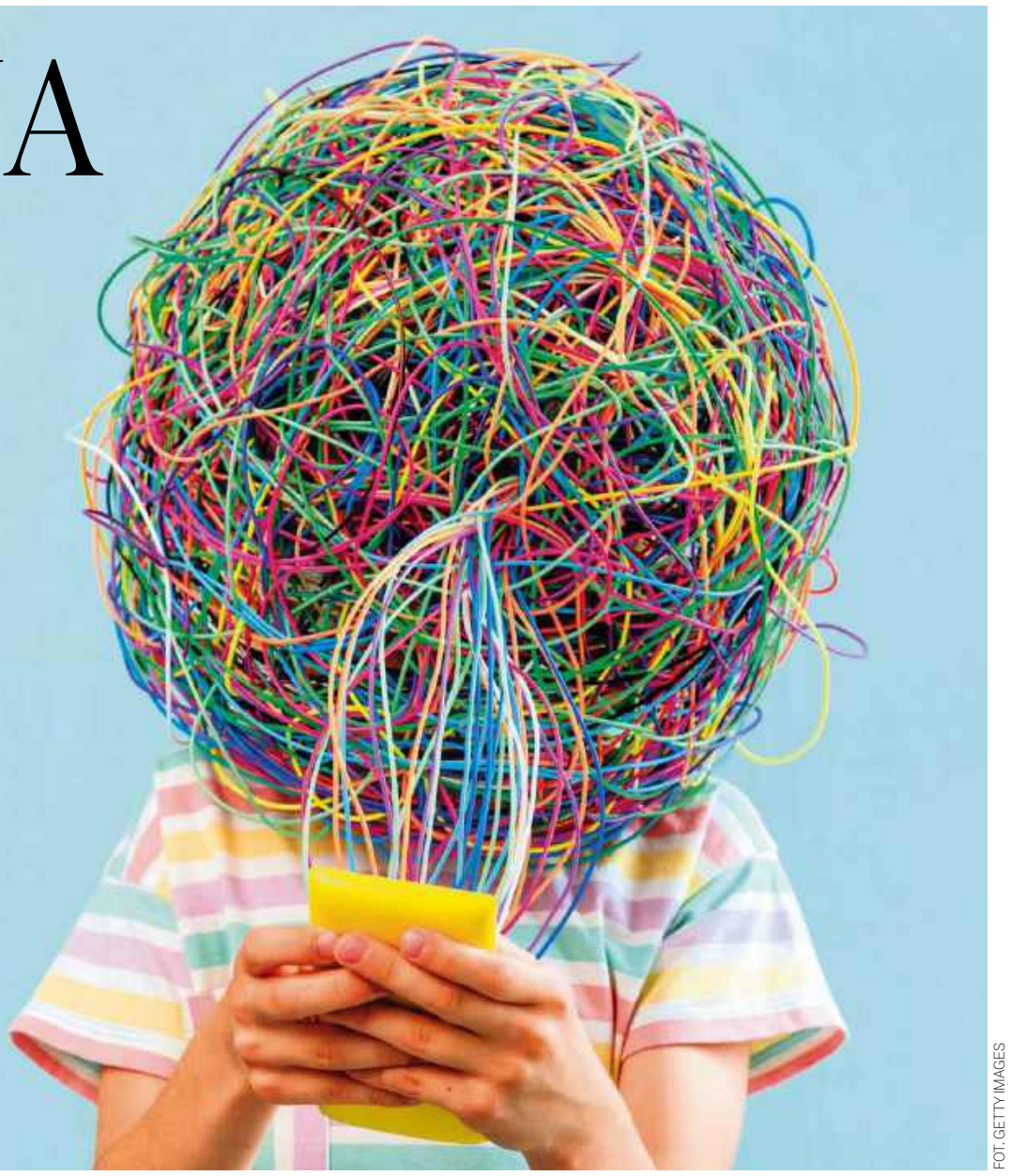

FOT. GETTY IMAGES

Z **PROF. DR HAB. IRENĄ POSPISZYL*** ROZMAWIA **DOMINIKA TWOREK**

Czy masowe oglądanie przez dzieci absurdalnych filmików anych brejnrotami jest w pani ocenie niebezpieczne? W końcu „brainrot" oznacza dosłownie „gnicie mózgu". Co ciekawe, to XIX-wieczny termin, krytyczny wobec tendencji społeczeństwa do dewaluacji złożonych idei na rzecz coraz prostszych.

– Uważam to jednak za przesadzone. Dziś mamy modę na te bezsensowne filmiki – tak jak kiedyś była moda na Pokemony. Natomiast faktem jest, że internet dostarcza nam ogromną różnorodność treści, co sprzyja rozproszeniu i powierzchowności zainteresowań. W gruncie rzeczy nie ma większego znaczenia, czy dotyczy to absurdalnych materiałów – które poruszają nas tylko o tyle, o ile wywołują śmiech albo poczucie, że rozumiemy symbolikę tego absurdu – czy też bezmyślnego podglądania wszystkiego, co nam w oko wpadnie.

Rzeczywisty problem leży gdzie indziej. Dzisiaj niestety za bardzo sterujemy dziećmi. Daliśmy im do ręki smartfony po to, żeby lepiej nad nimi czuwać, czyli je kontrolować. To bardzo utrudnia ich rozwój.

Pani jest przeciwko kontroli rodzicielskiej?!

– Jest jej stanowczo za dużo. To pozbawia dzieci przestrzeni do rozwoju autonomii. Dziecko powinno być bezpieczne, kochane, mieć wyznaczone granice i oczekiwania wobec niego. Ale jednocześnie powinno posiadać strefę samodzielności, prywatności, w którą rodzice nie wnikają. Właśnie wtedy kształtują się w nim zainteresowania, niezależność, osobiste postrzeganie świata, buduje się poczucie własnej tożsamości.

Właśnie wtedy jest też najbardziej narażone na niebezpieczeństwa.

– Sęk w tym, że drobne tajemnice, sekrety czy błędy – one również budują osobowość dziecka. Nawet jeśli ta przestrzeń wiąże się z nieakceptowanymi zachowaniami, pragnieniami, poczuciem winy czy lękiem. Dziecko powinno mieć prawo do swojej prywatności i do ponoszenia odpowiedzialności za własne zachowanie, a także konsekwencji tegoż. Oczywiście przy jasno ustalonych wcześniej zasadach.

Jeśli mu tę przestrzeń odbierzemy, to...

– Przede wszystkim nadmiernie kontrolowane dziecko nie internalizuje wartości. Ma utrudnioną zdolność przyswajania przekazów jako osobiście ważne. Ponieważ zawsze znajdzie się ktoś z dorosłych, kto powie mu, co ma myśleć i robić, kto go skoryguje, skarci lub nagrodzi. Tylko że taki sposób wychowania tworzy ludzi zewnątrzsterownych – pozbawionych własnego wewnętrznego barometru oceny rzeczywistości. Bo o tym, co jest właściwe, a co nie, zawsze decyduje ktoś z zewnątrz.

To infantylizuje dziecko?

– Oraz pozbawia go wewnętrznej stabilności. Uważam, że nadmiar kontroli jest jedną z istotnych przyczyn problemów, jakie obserwujemy we współczesnych pokoleniach.

Hasło „kryzys psychiczny dzieci i młodzieży" zostało już chyba odmienione przez wszystkie przypadki.

– Proszę zobaczyć, co się dzieje. Nasze dzieci żyją w najbezpieczniejszym świecie, jaki kiedykolwiek istniał. Mają zagwarantowane prawa, ich rodzice są kontrolowani przez zewnętrzne instytucje. Mają dobrą opiekę zdrowotną i niespotykane wcześniej możliwości rozwijania nawet najbardziej wymyślnych zainteresowań, nawet jeśli nie mieszkają w wielkim mieście. A jakie są tego efekty? Badania pokazują, że dzieciaki mają wyjątkowo zaniżoną samoocenę, czują się bezwartościowe, popadają w depresję.

Jak to możliwe, że, żyjąc w najbezpieczniejszym ze światów, czują się najbardziej nieszczęśliwe?

– Czują się nieszczęśliwe, bo – po pierwsze – są pozbawione autonomii, co – poza tym, o czym powiedziałam – utrudnia kształtowanie celów. Po drugie, sieć, w której dzieci spędzają ogrom czasu, nie uczy zadaniowego podejścia do życia, rozwoju zainteresowań i kanalizowania życiowych powołań. Internet tylko zabija czas, wyrywa z nudy. Po trzecie, związany z nią mechanizm wzajemnych porównań tworzy niesamowitą presję społeczną. No i wreszcie najważniejszy czynnik – dzieci pokolenia iGen są w gruncie rzeczy wykorzenione.

Wykorzenione?

– Pozbawione rzeczywistych środowisk, w których rozwijają się przyjaźnie, wzajemne zobowiązania, naturalna spontaniczność, poczucie przynależności, a wreszcie poczucie własnej tożsamości. Amerykańska psycholożka Jean Twenge stwierdziła na podstawie badań, że dziś mamy do czynienia z pierwszym pokoleniem, które woli posiedzieć w internecie, niż wyjść z kolegami na spotkanie lub w coś zagrać. Ceną za to jest ogromne poczucie osamotnienia.

Internet nie daje poczucia zakorzenienia? Przecież dziś mamy tam całe mnóstwo najróżniejszych grup tematycznych – często prywatnych, ekskluzywnych. Wydawałoby się, że takie miejsca idealnie nadają się do tego, by zapuścić w nich korzenie.

– Proszę zwrócić uwagę, jak wiele portali i platform, które jeszcze dekadę temu cieszyły się niezwykłą popularnością, dziś zniknęło z przestrzeni społecznej niczym efemerydy.

To prawda. Co jest przyczyną takiego stanu rzeczy?

– W sieci wszystko jest potwornie jednowymiarowe – oparte wyłącznie na emocjach. Liczy się tylko wspólne wrzenie. Coś, co nas w danej chwili porusza, angażuje, rozśmiesza, wkurza.

A charakterystyczną cechą emocji jest ich zmienność? Pojawiają się i znikają.

– Cokolwiek zbudowanego na emocjach siłą rzeczy nie może być trwałe. Ludzki organizm nie jest przystosowany do tego, żeby trwać chronicznie w stanie emocjonalnego podniecenia. Emocje trwają też za krótko, żeby mogły stworzyć rytuał, celebrę – rytm, zwyczaj, który będzie nośnikiem wzorców kulturowych. W tym czasie nie zdążą się zbudować żadne strukturalne formy utrwalające zdarzenia, które nas emocjonują. A tylko rytuał i zwyczaj ma zdolność przetrwania doświadczonego przeżycia.

Zatem wrzenie mija, a internetowe społeczności błyskawicznie się wypalają?

– Typowy mechanizm błędnego koła. Ponieważ budulcem tych grup są wyłącznie emocje, są one krótkotrwałe. A dlatego, że są krótkotrwałe, nie zdąży wytworzyć się żaden wzorzec, który mógłby być przekazywany innym. Brak rytuału sprawia, że to wszystko po prostu wygasa – mija, nic z tego nie zostaje.

Natomiast poczucie zakorzenienia opiera się na wielu elementach, nie tylko bliskości emocjonalnej. W realnym świecie wytwarza się przecież szereg konsekwencji: poczucie zobowiązania, wspólnota doświadczeń, rozumienia świata. Swoje znaczenie ma też przestrzeń, kontakt twarzą w twarz, fizyczna obecność. Coś, co nazywamy kontekstem, a więc nie tylko podobne przeżycia, ale i doświadczenia, wrażliwość na sytuacje społeczne czy wartości.

Żyjemy w kulturze terapeutycznej, która tę bliskość emocjonalną stawia wręcz na piedestale, nakazując nam, aby stale zajmować się naszymi emocjami. Ta kultura umieszcza w centrum zainteresowania każdą emocję, robiąc z niej wielkie halo, każde silniejsze wzruszenie tworzy przypadek kliniczny. To nie tylko zwiększa wrażliwość egocentryczną, skupia

eprasa.pl 828ea60232

uwagę na sobie, ale wręcz patologizuje normalne nieraz zachowania.

Amerykański psychiatra Thomas Szasz już w latach 60. XX wieku pisał o fabrykach obłędu, mając na uwadze właśnie skłonność do postrzegania każdego odstępstwa od statystycznej normy w zachowaniu człowieka w kategoriach klinicznych. I to w dodatku opartych na niejasnych kryteriach. Poza tym jest jeszcze sfera biznesu, która zbija na problemach psychicznych ludzi – i tych prawdziwych, i tych wykreowanych – potężny kapitał.

Francuski socjolog Michel Maffesoli ukuł pojęcie neotrybalizmu opisujące ponowoczesne społeczeństwo, w którym ludzie zamiast stabilnych, klasycznych struktur społecznych organizują się właśnie w luźne emocjonalnie spajane mikrogrupy przypominające plemiona.
– Maffesoli uważa, że dziś nie mamy na czym budować poczucia więzi społecznej, którą on uznaje za jedną z najważniejszych ludzkich potrzeb. Dzieje się tak z wielu powodów, nie tylko zawłaszczenia naszego czasu przez internet. Również dlatego, że często się przemieszczamy, żyjemy w rozmaitych środowiskach, pracujemy w najróżniejszych miejscach. W związku z tym właściwie zanika społeczność lokalna. Dawniej ludzie się znali, sprzeczali się i godzili, ale jednocześnie urządzali wspólne rytuały, świętowali, razem przeżywali trudne chwile, dzielili troskami. Dzisiaj na dobrą sprawę wielu z nas nawet nie zna swoich sąsiadów.

Jak to się ma do funkcjonowania dzieci i młodzieży?
– Poczucie zakorzenienia współczesnej młodzieży jest dramatycznie niezaspokojone. Dzieciaki z wcześniejszych pokoleń się kłóciły, rozgrywały różne porachunki, tworzyły bandy. Ale to nie rozbijało ich więzi. Często tworzyły przyjaźnie aż po grób.

Dlaczego internetowe więzi nie są tak stabilne?
– Ponieważ charakteryzuje je brak poczucia zobowiązania. Druga strona nie musi być wobec nas lojalna, przejmować się naszym zdrowiem, w ogóle o nas pamiętać, powiedzieć: „Martwię się, kiedy cię nie widzę. Kiedy się nie odzywasz, to do ciebie przychodzę, szukam".

Kiedy jesteś chory, przynoszę ci rosół.
– Poczekam z tobą u lekarza. Pójdziemy razem do kina, na rower. W sieci natomiast nie wiąże nas nic oprócz tego, że w którymś momencie podoba nam się to samo.

Ale potrzeba budowania wspólnot wcale nie zanika. Obecnie niemal wszyscy chłopcy chcą być sigmami. Z jakimi neoplemionami mamy dziś do czynienia?
– Z miłośnikami bohaterów komiksowych lub innych wytworów artystycznych, z pokojami dyskusyjnymi, z fanami różnych influencerów na TikToku. W sumie to bez znaczenia, w jakich formach materializuje się ta potrzeba zakorzeniania, należenia do jakiejś społeczności.

Bez znaczenia?
– Dzieciaki tworzą konwenty – deepy, czyli głęboko ukryte treści bazujące na tych fascynacjach. Ale one bawią się tym przez rok, dwa, po czym oczywiście emocja się wypala, sprawa wygasa, zostaje zapomniana. Jeżeli jest to oparte na jakichś rynkowych gratyfikacjach, to trwa trochę dłużej, bo administrator portalu jest zainteresowany posiadaniem subskrybentów. Zmienia więc repertuar, wprowadza nowe wątki, rozbudza emocje, poszerza krąg odbiorców. Ale grupy powstałe spontanicznie łączy jedynie podobieństwo wzruszenia – to samo podniecenie, chwilowe zafascynowanie, słomiana egzaltacja. Na tym polega cały dramat.

Z czym jeszcze boryka się współczesna młodzież?
– Daje się łatwo złapać w pułapkę sprzecznych potrzeb, niemożliwych do zrealizowania. Z jednej strony dzieci bardzo chcą być zaakceptowane przez jakąkolwiek grupę. A żeby być zaakceptowanym, muszą się dostosować do innych. Z drugiej strony jest to przecież faza kształtowania się w młodym człowieku poczucia własnej tożsamości, indywidualności, niepowtarzalności.

Zwróćmy uwagę, że, choć żyją w kulturze akceptacji różnorodności, nastolatki często wyglądają jak klony – podobnie się zachowują, ubierają, mówią podobnym językiem. Robią wszystko, żeby się nie wychylić, więc w końcu szlag trafia – przepraszam za określenie – całą tę różnorodność. Zresztą młodzież potrafi być bardzo okrutna w eliminowaniu tych, którzy do niej nie pasują. I gdzie tu miejsce na budowanie własnej podmiotowości?

Powodem wykluczenia może być nawet nieznajomość specyfiki absurdalnych memów.
– Dokładnie tak. Więc z jednej strony młodzież zachowuje się w sposób niezwykle podobny do swoich rówieśników, z drugiej zaś istnieje ogromna wewnętrzna potrzeba zbudowania siebie samego. Więc ona żyje tak naprawdę w niesamowitym mentalnym zamieszaniu. To czasem wychodzi w postaci jakichś happeningów czy dziwactw, które manifestuje.

Kontroli rodzicielskiej jest stanowczo za dużo. Dzisiaj niestety za bardzo sterujemy dziećmi. Daliśmy im do ręki smartfony po to, by lepiej nad nimi czuwać, czyli je kontrolować. To bardzo utrudnia ich rozwój

Dziwactw?
– Kanadyjski psycholog James Marcia opisał ten stan jako moratorium tożsamościowe, w którym młody człowiek eksperymentuje. Buduje jakąś tymczasową tożsamość, którą po jakimś czasie zarzuci i spróbuje czegoś innego. To jest naturalne. Zabawnie to przedstawiła Klaudia – bohaterka serialu „Ranczo". W tym czasie młodzież jest też niezwykle podatna na wpływ otoczenia. Dlatego bardzo trudno jest kształtować poczucie własnej tożsamości w świecie, w którym człowiek jest akceptowany dlatego, że jest taki sam jak reszta grupy, do której aspiruje.

Czy jedną z takich manifestacji – często bezpodstawną – może być identyfikowanie się części młodzieży jako osoby niebinarne?
– Akurat to uznaję za niebezpieczne. Oczywiście świat jest ogromnie różnorodny i osoby transpłciowe czy niebinarne niewątpliwie w naszej społeczności istnieją. Zawsze tak było, choć stosunek do nich był nie do zaakceptowania z punktu widzenia współczesnych wartości.

Bezsprzecznie mamy do czynienia z pozytywną zmianą w społecznej świadomości.
– Tak. Warto jednak pamiętać, że płeć psychologiczna, a także płeć społeczna jest procesem w ogromnym stopniu wykształconym w określonych warunkach socjalizacyjnych – w relacjach z najważniejszymi ludźmi, przez społeczne oceny, wzorce. Dopiero około 11.-13. roku życia zaczyna się rzeczywiste zainteresowanie dorosłą formą płciowości. Budowanie tożsamości płciowej wiąże się więc z rozwojem, w dużym stopniu społecznie uwarunkowanym. Jednoznaczne deklarowanie płci w wieku 13, 14 czy nawet 15 lat jest niezwykle ryzykowne. Być może jednak deklarowanie przez nastolatka swojej niebinarności ma jeszcze inny cel, np. chce on w ten sposób uniknąć presji rówieśników w ujawnianiu swojego doświadczenia seksualnego. Może chce się odróżnić, a może rzeczywiście rozwinie się u niego orientacja niebinarna. W tym wieku nie można przesądzać.

Co dokładnie ma pani na myśli, mówiąc o społecznym uwarunkowaniu?
– Dzisiaj rzeczywiście mamy modę, żeby być trochę innym, także w zakresie tożsamości płciowej. To jest silny stymulator zachowań. Poza tym takie identyfikacje mogą też wynikać z błędów wychowawczych rodziców. Jeżeli matka nie akceptuje własnej kobiecości, siłą rzeczy będzie indukowała córce brak akceptacji siebie, np. że ta jest chuda, gruba, niedorozwinięta, brzydko pachnie, wygląda jak chłopiec. Nieważne. Istotne jest rozbudzanie niechęci i nieakceptacji własnego ciała. To samo może zrobić ojciec czy inna ważna dla nastolatki osoba. Co wystarczy, żeby dziecko zaczęło się zastanawiać: kim ja jestem, skoro ze mnie taki nieudany egzemplarz?

Ale przecież takie błędy wychowawcze były popełniane zawsze.
– Sęk w tym, że tej chwili nie ma żadnego źródła korekty postaw rodzicielskich. Dawniej, jeżeli rodzic był zaburzony, obok byli jeszcze babcia, ciocia, starszy brat czy dziadek. W rodzinach wielopokoleniowych dziecko nie tylko mogło się do nich odwołać, ale też ci dorośli stanowili jakiś inny wzorzec zachowania, mogli wreszcie zwracać uwagę na krzywdzące zachowania matki czy ojca. Dzisiaj, jeżeli rodzic jest zaburzony, to wszystkie swoje lęki może łatwo indukować dziecku i w zasadzie nie ma nikogo, kto by go naprostował.

Są też grupy młodzieży atypowej. Ale w nich akceptujemy tylko tych, którzy są tak samo wyjątkowi jak my.
– Myślę że w tym przypadku mamy do czynienia z potrzebami plemiennymi. Tkwi w nich podobne niebezpieczeństwo błędnego koła, o którym mówiłam wcześniej. Akceptujemy tylko tych, którzy są typowi dla naszej grupy. Jest mnóstwo możliwości wykluczenia osoby, która do nas nie pasuje: wolniej się porusza, nie ubiera się tak jak inni, ma inne zainteresowania, jest bardziej wycofana, ma ten czy inny rodzaj sprawności.

Z drugiej strony część rodziców mierzy się dziś z tym, że ich córki chcą być jak infuencerki na TikToku, które robią kariery na tym, że są niebinarne albo mają spektrum autyzmu.
– Problem polega na tym, że rodzice – być może dlatego, że sami czują się zagubieni – przestali być autorytetami dla dzieci. Nie mylić z rodzicami autorytarnymi, czyli takimi, którzy zawsze mają rację, przy których dzieci i ryby nie mają głosu. Chodzi o rodziców autorytatywnych, to znaczy: zajmujących jasne postawy, prezentujących zrozumiałe dla dziecka wartości i normy. Formułujących wobec dziecka oczekiwania i ustanawiający granice dopuszczalności pewnych zachowań i niedopuszczalności innych.

Przez lata pojawiło się tysiące poradników, wedle których dzieci należy wychowywać mięciutko – otwarcie i bezstresowo.
– Właśnie! Mody na style wychowania też wprowadzają dużo zamieszania. Na przykład moda na rodzica liberalnego – on tworzy rzeczywistość, w której dziecko samo uczy się życia i odkryje prawdziwą swoją naturę. Rodzic ma tylko czuwać, żeby dziecku się krzywda nie stała. A okazało się, że te dzieci wyrastają na osoby o bardzo niedojrzałym ego, dużym poczuciu niepewności i emocjonalnej niestabilności.

Prawda jest taka, że jeżeli rodzic nie jest autorytatywny, wtedy dziecko poszuka odpowiedzi na swoje pytania w sieci. Tylko że dostaje tam taką mieszankę możliwych postaw, że koniec końców nie stanie się mądrzejsze. Jest jeszcze bardziej zmieszane, pogubione.

Zapewne ile rodzin, tyle modeli wychowawczych i popełnianych błędów. „Każda nieszczęśliwa rodzina jest nieszczęśliwa na swój sposób" – jak pisał Tołstoj.
– Tak, a „wszystkie szczęśliwe rodziny są do siebie podobne". Jeanne Twenge wydała książkę „10 Rules for Raising Kids in a High-Tech World", w której opisuje różne typy rodziców: gąbki, ryby, rekiny i delfiny. Gąbki to właśnie rodzice liberalni, którzy chłoną świat dziecka, doprowadzając do sytuacji, że to ono nimi rządzi. Ryby przekazują sprzeczne komunikaty dziecku. Rekiny bazują na schemacie władza – uległość, niejako pożerając dziecko (to są właśnie rodziny autorytarne). No i są też delfiny – to dorośli, którzy uwzględniają potrzeby dziecka i szanują jego podmiotowość, ale jednocześnie ustalają granice i jasno formułują komunikaty oraz prezentują postawy. W badaniach Twenge wyszło, że to właśnie delfiny wychowują ludzi o silnym, zdrowym ego.

Jak to się ma do nadmiernej kontroli rodzicielskiej, o której wcześniej rozmawiałyśmy?
– Dziecko, któremu rodzic jasno przekazuje swoje oczekiwania i ustala granice, a potem daje stosunkowo dużą przestrzeń autonomii, nie potrzebuje być cały czas opiekowane – czytaj: kontrolowane. Ono bardzo szybko uczy się tych oczekiwań – „traktuję cię w sposób dojrzały, a ty w zamian za to dbasz o siebie i nie sprawiasz mi zawodu" – i rodzic nie musi nad nim cały czas stać. Takie dziecko jest przekonane, że nie może być oszustem, skoro mama i tata traktują go z szacunkiem. Dzieciaki, które są w ten sposób wychowywane, będą popełniać błędy, ale nie przekroczą granic, które będą zagrażały ich bezpieczeństwu czy rodziny. Mogą poeksperymentować z jakimś jointem, ale na pewno nie wpadną w narkomanię.

Nie chciałabym zostawiać czytelników z defetystycznym przeświadczeniem „kiedyś to było" – dzieci były zakorzenione, chodziły na harcerstwo, biegały po podwórkach. A dziś to tylko internet i neotrybalizm, za którym nic nie idzie. Co robić, jak żyć?
– Zawsze daję receptę, która się naprawdę sprawdza: kanalizować zainteresowania dzieci. Rozwijać w nich zainteresowania: majsterkowaniem, muzyką, sportem – czymkolwiek wartościowym, co wypełnia czas i ukierunkowuje uwagę.

To wszystko?
– Warto wykroczyć poza własną strefę komfortu i próbować tworzyć rzeczywiste relacje koleżeńskie, rodzinne, nawiązywać kontakty sąsiedzkie. Wspólne wyprawy rowerowe, ognisko, spotykanie się w szerszej rodzinie niż tylko mama, tata i dzieci. To wystarczy.

Małgorzata Stańczyk napisała kiedyś fajną książkę o wychowaniu dziecka „Potrzebna cała wioska". Naprawdę do wychowania człowieka potrzebna jest cała wioska, większa społeczność niż tylko rodzina czy przyjaciele z sieci. Dzieci, które mają dobre relacje z rodzicami, dziadkami, sąsiadami i kolegami, właściwie nie są narażone na to gnicie mózgu. ●

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Irena Pospiszyl

• dr hab. nauk humanistycznych w zakresie pedagogiki społecznej, kieruje Zakładem Psychopedagogiki Resocjalizacyjnej Akademii Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej w Warszawie. Specjalizuje się w problematyce ofiar. Jako pierwsza opisała syndrom Atlasa – dezadaptacyjny zespół zaburzeniowy.

eprasa.pl 828ea60232

KULTURA

Na scenę jeszcze się wdrapię

Nie ma co ukrywać, jestem człowiekiem wiekowym. Nikt nie wpadnie na pomysł, żeby mnie obsadzić w roli młodzieńca.

Z AKTOREM **JERZYM RADZIWIŁOWICZEM**
ROZMAWIA **PIOTR GUSZKOWSKI**

ZDJĘCIE: **DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL**

Nie znalazłem pana nazwiska w obsadzie dwóch pierwszych spektakli Teatru Narodowego w tym sezonie i już miałem pytać, czy nowy dyrektor Jan Klata nie widzi dla pana miejsca. Jednak w przededniu premiery jego „Termopil polskich" ogłoszono, że w dublurze z Janem Fryczem zagra pan Króla. Nasz recenzent określił tę dublurę wybitną.
– Tydzień przed premierą zaszły nieprzewidziane okoliczności, które sprawiły, że dołączyłem do tej obsady. Różne rzeczy zdarzają się w teatrze.

W każdym razie jeszcze nie emerytura?
– Formalnie to ja jestem emerytem już od dobrych dziesięciu lat. Natomiast ciągle na tyle żwawym, że na scenę jeszcze się wdrapię.

Trochę jak ten pana Gajewski w serialu „Glina. Nowy rozdział". Wydaje się, że tylko czeka na okazję, żeby wrócić do śledztwa.
– Widzi pan, co się z ludźmi na starość dzieje? Jeżeli tylko jest to wciąż ciekawe, spełnia nasze oczekiwania, a w dodatku dajemy radę, to dlaczego nie? O ile jeszcze widz to toleruje...

Niech pan mnie nie rozśmiesza, przecież widzowie czekali na powrót „Gliny" i pana w roli Gajewskiego – wystarczy poczytać komentarze. Kontynuacja miała powstać od razu.
– To prawda, był pomysł na trzeci sezon. Jak to ujął w którymś z wywiadów scenarzysta Maciej Maciejewski: w telewizji powiedzieli, że zamówili serial policyjny, a dostali polityczny. Minął rok, dwa, trzy. Rzecz stała się zaprzeszła, przestałem o tym myśleć.

Czego pan w swoim fachu szuka, a czego szukał – to się zmieniało na przestrzeni lat?
– Nauczyciele w szkole teatralnej – a mieliśmy nauczycieli znakomitych – ustawili nam priorytety i pokazali, czym aktorstwo powinno być. Nadali temu zawodowi wysoką rangę – mówię teraz przede wszystkim o teatrze – powagę i dość istotną funkcję. Następnie rozwinęli to w znaczący sposób wybitni reżyserzy, z którymi spotkałem się na początku zawodowego życia w Starym Teatrze: Wajda, Swinarski, Jarocki, potem Grzegorzewski. Lepiej nie trzeba albo wręcz nie można było trafić. Powaga nie oznacza, że to ma być nudne czy ponure – przeciwnie. Natomiast teatr nie jest wyłącznie zajęciem rozrywkowym. Proszę mi wierzyć, że aktorzy wyczuwają, kiedy na próbach rodzi się coś istotniejszego niż codzienna praca.

W tym sensie moje podejście się nie zmienia. Na przestrzeni lat zmieniają się jedynie okoliczności, które tego, co najbardziej mnie w pracy interesuje, dostarczają lub nie.

Z potrzeby teatru zabrał się pan do pierwszego przekładu Moliera.
– Praca tłumacza jest do pewnego stopnia podobna do pracy reżysera czy aktora. A mianowicie zaczyna się od próby rozgryzienia tego, co zostało napisane w tekście. O ile aktor szuka właściwego wyrazu dla tej myśli na scenie, o tyle tłumacz szuka odpowiednich słów. I sprawdza, na ile jego propozycja współbrzmi z tekstem oryginalnym, co jest kwestią niewymierną. Nie da się wziąć centymetra ani wagi, żeby to zmierzyć. Trzeba sobie zaufać.

Pan sobie te teksty przepowiada na głos.
– Nie podchodzę do sztuki jak do czystej literatury. Dla mnie w pierwszej kolejności jest to tekst mówiony, przeznaczony do grania. Od początku chodzi o jego życie na scenie. Muszę więc usłyszeć, jak brzmi, żeby ułatwić zadanie aktorowi, chociażby unikając trudnych zbitek dźwięków. Koniecznym jest sprawdzić muzykę tłumaczenia. Tym bardziej że to są często teksty rytmiczne, pisane wierszem. Można więc powiedzieć, że przy okazji tej roboty zagrałem wszystkie role, z kobiecymi włącznie. Ale inaczej się nie da. Przynajmniej według mnie.

W sumie nieźle pan to wymyślił. Jako tłumacz dostarcza pan sobie wyzwań aktorskich, których inaczej może by pan nie dostał.
– Chodzi nawet nie o role, których ktoś mi nie dał, ale o takie, których dostać nie mogę. Nie ma co ukrywać, jestem człowiekiem wiekowym. Nikt nie wpadnie na pomysł, żeby mnie obsadzić w roli młodzieńca.

A szkoda.
– Tak pan myśli?

W teatr wpisana jest przecież pewna konwencja. Gdyby reżyser miał w koncepcji spektaklu dobre uzasadnienie dla takiego wyboru obsadowego, to właściwie czemu nie?

Teatr nie jest wyłącznie zajęciem rozrywkowym. Proszę mi wierzyć, że aktorzy wyczuwają, kiedy na próbach rodzi się coś istotniejszego niż codzienna praca

1 RP

eprasa.pl 828ea60232

Jerzy Radziwiłowicz

• Urodził sie w 1950 r. w Warszawie. Wybitny aktor teatralny i filmowy. Stworzył kreacje w legendarnych spektaklach Konrada Swinarskiego, Jerzego Jarockiego, Jerzego Grzegorzewskiego i Andrzeja Wajdy. W dorobku ma take kilkadziesiąt ról filmowych, wśród nich te najbardziej ikoniczne: w „Człowieku z marmuru" i „Człowieku z żelaza". Doceniony także jako tłumacz sztuk Moliera i Pierre'a de Marivaux.

– Wiem, że takie rzeczy się w teatrze robi. Starcy grywali już Hamleta. Wszystko zależy od tego, jak to będzie pomyślane – ma pan rację. Zasadniczo nie należy się jednak spodziewać, że ktoś z aktora w moim wieku zrobi Gucia w „Ślubach panieńskich", bo to mogłoby wypaść nawet śmieszniej niż przy młodej obsadzie.

Na tym polega natura naszego zawodu. Jak ma pan dwadzieścia lat, nikt pana nie obsadzi w Learze, bo to by nie miało żadnego sensu. Z czym miałby się taki Lear rozliczać? Potem aktor wchodzi w wiek średni. Otwierają się nowe możliwości: wtedy tych ról jest najwięcej i wydają się najciekawsze. Z czasem role zaczynają umykać, bo człowiek staje się zbyt dojrzały, by nie powiedzieć inaczej.

Stary? Krystyna Janda w niedawnej rozmowie z miesięcznikiem „Teatr" stwierdziła, że „stary" aktor – a starość wzięła w cudzysłów – to potężna wartość.
– Ale nie dlatego, że czyha na rzeczonego Gucia. Krysia ma oczywiście rację: za dojrzałymi aktorami stoi doświadczenie i siła, mało tego – można się do nich zwrócić po pomoc. Chętnie porównuję zespół teatralny do wielopokoleniowej rodziny. Dzisiaj to coraz rzadsza sytuacja, że pod jednym dachem żyją razem dziadkowie, rodzice i wnuki. Co innego w teatrze. Kiedyś się mówiło, że zespół jest kompletny, jeśli można nim obsadzić „Wesele" Wyspiańskiego: od Zosi i Haneczki po Dziada i Wernyhorę. Przy okazji możemy sobie nawzajem wiele zaoferować. Nie chodzi rzecz jasna o żadne mentorskie uwagi. To się rodzi naturalnie we współpracy, w codziennej praktyce.

A co od młodszych koleżanek i kolegów bierze dla siebie dojrzały aktor?
– Wigor, proszę pana. Poczucie, że jeszcze daje radę. Obcując z młodymi, mam szansę zobaczyć, czym oni żyją. Nie mogę już w ten świat wejść, nie ma co się oszukiwać, jednak dzięki tej relacji wiem chociaż, co się dzieje. Janek Peszek zapytany o zajęcia ze studentami przyznał, że jest jak wampir – wysysa z nich młodość. Dzięki temu ciągle się czuje młody.

Pan też jest takim wampirem?
– Nie wydaje mi się. Przywołałem słowa Janka, bo nazwał to w obrazowy sposób, który dobrze oddaje naturę rzeczy.

Skoro mowa o wigorze – czy pan jeszcze surfuje?
– Niech pan da spokój, już dawno nie. Niestety nie biorę się już do surfingu, tenisa ani nart – to za mną. Przychodzi czas, kiedy się po prostu nie da.

Wróćmy do „Gliny". „Niepokój jest dobry, oznacza intuicję" – mówi komisarz Gajewski. Podpisałby się pan pod tymi słowami?
– No pewnie, a pan nie? Wiele kroków czy decyzji podejmujemy, kierując się nie do końca rozsądkiem, a nawet rozumem. Po prostu czujemy, że tak będzie lepiej. Jak w przypadku tłumaczeń, o które pan pytał. I to jest właśnie intuicja. Rzecz jasna intuicja nie zawsze podpowiada nam dobrze, czasami zawodzi. W przypadku serialowych policjantów ryzyko nie jest aż tak duże. Nie chodzi przecież o życiowe wybory. Najwyżej śledztwo, które prowadzą, zabrnie na jakiś czas w ślepą uliczkę.

Jak pan zareagował na pomysł nakręcenia po dłuższej przerwie tego nowego rozdziału?
– Oczywiście najpierw zapytano nas – Maćka Stuhra, Jacka Braciaka i mnie – czy w ogóle bierzemy to pod uwagę. Ponieważ odpowiedzieliśmy, że tak, zaczęły się konkrety. Przyznam się panu, że ciekawość wzięła górę. Zastanawiałem się, czy warto w ogóle do tego wracać, a jeśli tak, to w jaki sposób, żeby zgrabnie przeskoczyć tych 17 lat. Gajewski nie mógł przecież przeleżeć cały ten czas w śpiączce.

Teraz znów do niego strzelają.
– Dlatego przez pierwsze odcinki leżę w szpitalu podpięty do aparatury – żona podziwiała dynamikę mojego wykonawstwa – więc wspomniany upływ czasu nie robił mi specjalnej różnicy. Dopiero jak wstałem, okazało się, że to nie to samo co kiedyś. Lat przybyło.

„Glina. Nowy rozdział" kończy się tak, jakby to nie miał być koniec.
– Producenci się przyglądają – SkyShowtime zwłaszcza – czy serial cieszy się takim zainteresowaniem, żeby robić kolejne części. Sprawa wydaje się otwarta. Wszystko zależy od tego, czy będzie popyt – czyli krótko mówiąc: jak się sprawdziliśmy.

Mam wrażenie, że akurat od tego coraz mniej zależy. Przy nadprodukcji filmów i seriali liczy się przede wszystkim skuteczna promocja. „Glina" debiutował w Telewizji Polskiej w czasach, kiedy konkurencji prawie nie było – kilka kanałów na krzyż, trochę więcej, jeśli ktoś miał kablówkę.
– Nie dziwota, że każdy chwali swoje, jak może. Tych propozycji, także zagranicznych, na jeden przycisk pilota mamy znacznie więcej – co do tego pełna zgoda. Widz swobodnie wybiera to, co lubi i co go interesuje, a jeśli nie ma ochoty, innych terenów w ogóle nie penetruje. Przy różnorodności dzisiejszej oferty oznacza to, że pan i ja możemy oglądać zupełnie inne rzeczy. W tym sensie rzeczywiście na początku wieku, kiedy „Glina" szedł w telewizji, kreowanie powszechnie znanych tytułów i twarzy wydawało się łatwiejsze. Choć dla twórców zgubne byłoby myśleć, że zupełnie nic już od

• **Jerzy Radziwiłowicz w foyer Teatru Narodowego**

eprasa.pl 828ea60232

nas nie zależy, a wszystko w rękach działów promocji.

Czy zaproszenie do „Gliny" tych ponad 20 lat temu było dla pana zaskoczeniem?
– Dlaczego miałoby być zaskoczeniem, że chcą mnie do czegoś zaangażować? Na tym przecież polega mój zawód.

Pytam, bo tak wtedy pisano o pana udziale w „Glinie". Że Jerzy Radziwiłowicz, aktor ról wybitnych, zdecydował się na udział w serialu sensacyjnym Władysława Pasikowskiego. Przyzna pan, że było to pewne wydarzenie?
– To prawda, nie grywałem w serialach. Serial traktowano wtedy jako pomniejszą rzecz. Ja nie miałem takiego zdania. Nigdy nie uważałem, że serial jest z natury gorszy od filmu, a film od teatru. Nie, może powstać koszmarny spektakl i wspaniały serial. Sam gatunek nie jest odstraszający, ważne, co zawiera w środku. Prawdą jest, że przed „Gliną" odmówiłem parę razy, może stąd te komentarze?

Pamiętam jedną dość zabawną sytuację. Dostałem od producentów propozycję. Kiedy poprosiłem o tekst, usłyszałem, że jeszcze go nie mają. „A ile to będzie trwało?" – zapytałem. „Tego dokładnie nie wiemy – zależy, jak pójdzie, może parę lat". „No to dziękuję".

W przypadku „Gliny" sprawa była prosta. Poprosiłem o scenariusz. Dostałem, przeczytałem, zachwyciłem się. Dlatego dziwi mnie zdumienie, o którym pan wspomniał, bo serial jako forma sam w sobie nie jest niczym złym.

Dużo się od tamtego czasu zmieniło, dziś seriale robią czołowi twórcy – mają okazje rozwijać swoje autorskie pomysły za pieniądze, jakich w kinie nie ma.
– Tu pełna zgoda. Dziś serial nobilituje, wtedy nie nobilitował.

Pan ogląda seriale?
– Z rzadka. Obejrzę kawałek, ale nie trafiam na zbyt wiele seriali, które by mnie wciągnęły na tyle, żebym dokończył. Zresztą mam inne zajęcia. W pandemii z żoną więcej oglądaliśmy. Na przykład „Marsylię" z Gérardem Depardieu.

Tego akurat nie widziałem.
– Jest tyle do obejrzenia.

Przez lata starałem się być na bieżąco z tytułami, które trafiały do polskich kin, były pokazywane na festiwalach. Uznawałem to za zawodowy obowiązek. Ale przy rosnącej ofercie streamingu, w tym seriali, których obejrzenie zajmuje znacznie więcej czasu, zrozumiałem, że jest to niemożliwe.
– I trzeba to sobie powiedzieć wprost. Bo odczuwamy pewien dyskomfort czy niedosyt, że nie jesteśmy na bieżąco, ale jak się dokładnie przyjrzeć, to naprawdę nie nasza wina.

Jesteśmy usprawiedliwieni. To przynosi ulgę.
– Prawda? Dobrze znaleźć pocieszenie. Przynajmniej nazwisko Depardieu nie jest nam obu obce, a to już coś.

Pana rzadko mamy okazję oglądać na ekranie. Propozycji nie ma czy nie są interesujące?
– Nie ma. Jako aktor nie robię teraz nic nowego.

A jako tłumacz?
– Niedawno przełożyłem znakomitą tragedię Pierre'a Corneille'a „Horacjusz". Nie była tłumaczona od początku XIX wieku. A szkoda, bo to jest wielki tekst, niezwykle frapujący.

Dla siebie pan go przetłumaczył?
– Dla siebie, ale jest szansa, że niedługo trafi na scenę.

• **Ostatnio można go było zobaczyć w Teatrze Narodowym w roli Króla w spektaklu „ Termopile polskie" (autor Tadeusz Miciński) w reżyserii Jana Klaty**
FOT. KAROLINA JÓŹWIAK / ARCHIWUM ARTYSTYCZNE TEATRU NARODOWEGO

Nie grywałem w serialach. Ale nigdy nie uważałem, że serial jest z natury gorszy od filmu, a film od teatru. Może powstać koszmarny spektakl i wspaniały serial. Ważne, co zawiera w środku

Na czym polega wielkość tego utworu?
– Bardzo boleśnie opowiada o wojnie, o tym, jak prowadzi ludzi na zgubę. Corneille wziął z Tytusa Liwiusza historię walki o hegemonię pomiędzy dwoma pobliskimi miastami: Rzymem i Albą. Żeby uniknąć długiego, wyniszczającego konfliktu, sprawę postanowiono rozstrzygnąć w pojedynku. Kiedy decyzja zapadła, żołnierzom zrobiło się nieswojo. Zrozumieli, że czeka ich bratobójcza walka: po drugiej stronie stoją nie żadni wrogowie, tylko przyjaciele i powinowaci.

Ciekawe, że ta refleksja przyszła dopiero, kiedy przestali widzieć w przeciwniku bezimienną masę.
– Wizja pojedynku trzech na trzech otworzyła ludziom oczy. Naprzeciwko siebie stanęli bracia Horacjusze i Kuracjusze – przedstawiciele rodzin złączonych więzami miłości i przyjaźni. Corneille po drodze komplikuje jeszcze relacje pomiędzy bohaterami. Piąty akt staje się sądem nad tytułowym Horacjuszem, który jako jedyny wyszedł żywy z masakry. Musiał zabić trzech braci swojej żony i narzeczonego siostry, która po powrocie nie szczędzi mu gorzkich słów. W końcu i ją zabija, bo opłakiwała ukochanego, wroga ojczyzny, a Rzymianom tego nie wolno.

I co teraz zrobić z tym człowiekiem – bohaterem narodowym, zbawcą – który stał się większy od państwa. Zgodnie z prawem należałoby mu ściąć głowę.

Można wyprowadzić z tego bardzo aktualne pytania o istotę patriotyzmu?
– W wielkich tekstach zawsze odzywa się kontekst współczesny – dlatego żyją. Gdyby się nie odzywał, dawno byśmy pewnych autorów zapomnieli. Co ciekawe, z biegiem czasu – wraz ze zmianą sposobu patrzenia i rozumienia świata w kolejnych epokach – znaki plus/minus też ulegają odwróceniu. To, co uznawano za pozytywne, staje się negatywne – i odwrotnie. Ówczesny kontekst nam się wymyka. Możemy oczywiście doczytać w książkach specjalistów, jaki był, zbudować sobie szerszy obraz, ale trudno od widza oczekiwać, żeby ten kontekst odczuwał.

Do tego dochodzi język.
– Forma tragedii, a już tragedii pisanych wierszem, należy do przeszłości. Z tekstami obcymi jest o tyle łatwiej, że tłumaczymy je dzisiaj współczesną polszczyzną.

Gorzej jest z literaturą polską. Coraz większą trudność – a wiem to z rozmów z widzami – sprawia odbiorcy już XIX-wieczny język naszych największych poetów romantycznych. Niektórych przeraża sam fakt, że to utwory pisane wierszem. Jak widzą wiersz, mówią: „Rany boskie, nie dam rady". Ale nawet za moich czasów dla wielu kolegów w szkole mierzenie się z Mickiewiczem czy Słowackim stanowiło nie lada wyzwanie. A co dopiero teraz. Zmienił się sposób komunikowania się, a wraz z nim zmienia się nasza wrażliwość na język.

A czy nie jest tak, że pierwotne znaczenia wielu słów gdzieś się pogubiły?
– Nie ma w tym nic dziwnego ani nawet złego, o ile dzieje się to w sposób naturalny. Jakbyśmy prześledzili drogę w czasie polskich słów, to byśmy się pewnie zdziwili.

A co, jeśli ktoś celowo manipuluje znaczeniem? Chociażby takich pojęć jak prawda, wolność czy przywołany patriotyzm.
– Musimy wiedzieć, co dla nas stoi za tymi słowami, jakie je wypełniają treści, żeby takiej manipulacji nie ulec, czyli trzeba czasem o tym pomyśleć.

W drodze na nasze spotkanie wyjąłem w tramwaju notatnik, żeby zapisać sobie jedną myśli. Odniosłem wrażenie, że ludzie się na mnie dziwnie patrzą. Nie wiem, czy wzięli mnie za kontrolera biletów, czy ręczne pisanie to już tak rzadki widok.
– Kiedyś szkoła uczyła, żeby ładnie pisać, a jeszcze wcześniej uczyła nawet kaligrafii. Dbano o to z przyczyn praktycznych. Powód był prosty: jeśli ktoś bazgrał, jego pismo w komunikacji do niczego nie służyło. Trzeba było pisać tak, żeby inni mogli to rozczytać. Dzisiaj może pan sobie robić ręczne notatki na własny użytek, ale jak komunikuje się pan z innymi, używa pan klawiatury komputera czy telefonu. Pewne narzędzia przestały być potrzebne.

Po przeczytaniu wywiadów z panem odnoszę wrażenie, że większość pytań dotyczy przeszłości.
– O tym, co jest, właśnie rozmawiamy. O to, co będzie, niech pan nie pyta. Nie wziąłem ze sobą kuli. Ale ma pan rację, często jestem pytany o to, co było. Może dlatego, że moja najdalsza przeszłość zawodowa miała miejsce w bardzo szczególnym teatrze, w szczególnych okolicznościach, ze szczególnymi ludźmi. Większości z nich już nie ma z nami. ●

• **W serialu „Glina" (2004-08) w reż. Władysława Pasikowskiego zagrał komisarza Andrzeja Gajewskiego z Wydziału Zabójstw Komendy Stołecznej. Wrócił do tej roli 20 lat później w kontynuacji „Glina. Nowy rodział"(2025), którą można oglądać na platformie SkyShowtime**
FOT. MARCIN MAKOWSKI/FABRYKAOBRAZU/PAT, SKYSHOWTIME

eprasa.pl 828ea60232

WIDZIAŁEM MICHNIKA W KRAWACIE!

Do PIW-u na Foksal przychodził, by – jak to określił – patrzeć, jak pan Słonimski pije kawę.

Anna Nasalska

fragment książki

Michnik. Człowiek, który zredagował Polskę, tom I, tom II (Konteksty)
Anna Nasalska
Znak 2025

Spawacz

Od jesieni pracował jako spawacz w Zakładach Wytwórczych Lamp Elektrycznych im. Róży Luksemburg w Warszawie. Warunkiem wznowienia studiów było przepracowanie dwóch lat w fabryce. Doceniał nowe doświadczenie: poznał środowisko robotników i znalazł z nimi wspólny język, co mu się później bardzo przydało. „Ponieważ w Polsce rządzi klasa robotnicza, wreszcie dorwałem się do władzy" – mówił. Widział zresztą same zalety swojej sytuacji: „Róża Luksemburg to był zakład, w którym pracują głównie kobiety, najładniejsze dziewczyny w Warszawie, miałem tam powodzenie... nigdzie tak dobrze nie było mi jak tam".

Tam też zastał go Grudzień, organizował więc akcje protestacyjne i pisał strajkowe rezolucje. Dziesięć lat później umiał nie tylko rozmawiać z robotnikami, lecz także ich reprezentować.

W środowisku młodzieży komandoskiej, podobnie jak w całej inteligencji opozycyjnej, wydarzenia grudniowe nie wywołały większego rezonansu. Pamiętano brak poparcia robotników w Marcu. W lutym 1971 roku udało się jednak Adamowi i Janowi Lityńskiemu przemycić przez łącznika z Zachodem, mieszkającego w Londynie Bolesława Sulika, do „Kultury" magnetofonowy zapis spotkania Gierka ze stoczniowcami Szczecina. Jeszcze w tym samym roku Jerzy Giedroyc wydał „Rewoltę szczecińską i jej znaczenie" w Instytucie Literackim. „Po prostu stało się coś takiego – mówił Adam w rozmowie z Danielem Cohn-Benditem, jednym z przywódców paryskiego Marca – że w 1968 roku pękły psychiczne bariery, również dotyczące kontaktów z emigracją. Przedtem albo tego baliśmy się, albo nawet wewnętrznie uważaliśmy, że jest w tym coś niewłaściwego, teraz to pękło".

Przerzucanie różnych tekstów za granicę i odwrotnie przy pomocy zaufanych ludzi i emigrantów marcowych było jedną z pierwszych akcji podjętych przez komandosów w nowej sytuacji. Wielką rolę w kontaktach z krajem odgrywali od początku Aleksander i Eugeniusz Smolarowie; z ich inicjatywy wiosną 1973 roku pojawił się przy Uniwersytecie w Uppsali w Szwecji pierwszy numer nowego kwartalnika „Aneks".

Pierwsze lata dekady Gierka ludzie odbierali – szczególnie w porównaniu z końcówką rządów Gomułki – jako lekkie odprężenie. W istocie zmiany były drobne: zelżała cenzura, niektórym pisarzom władza pozwalała wydawać, łatwiej można było wyjechać za grani-

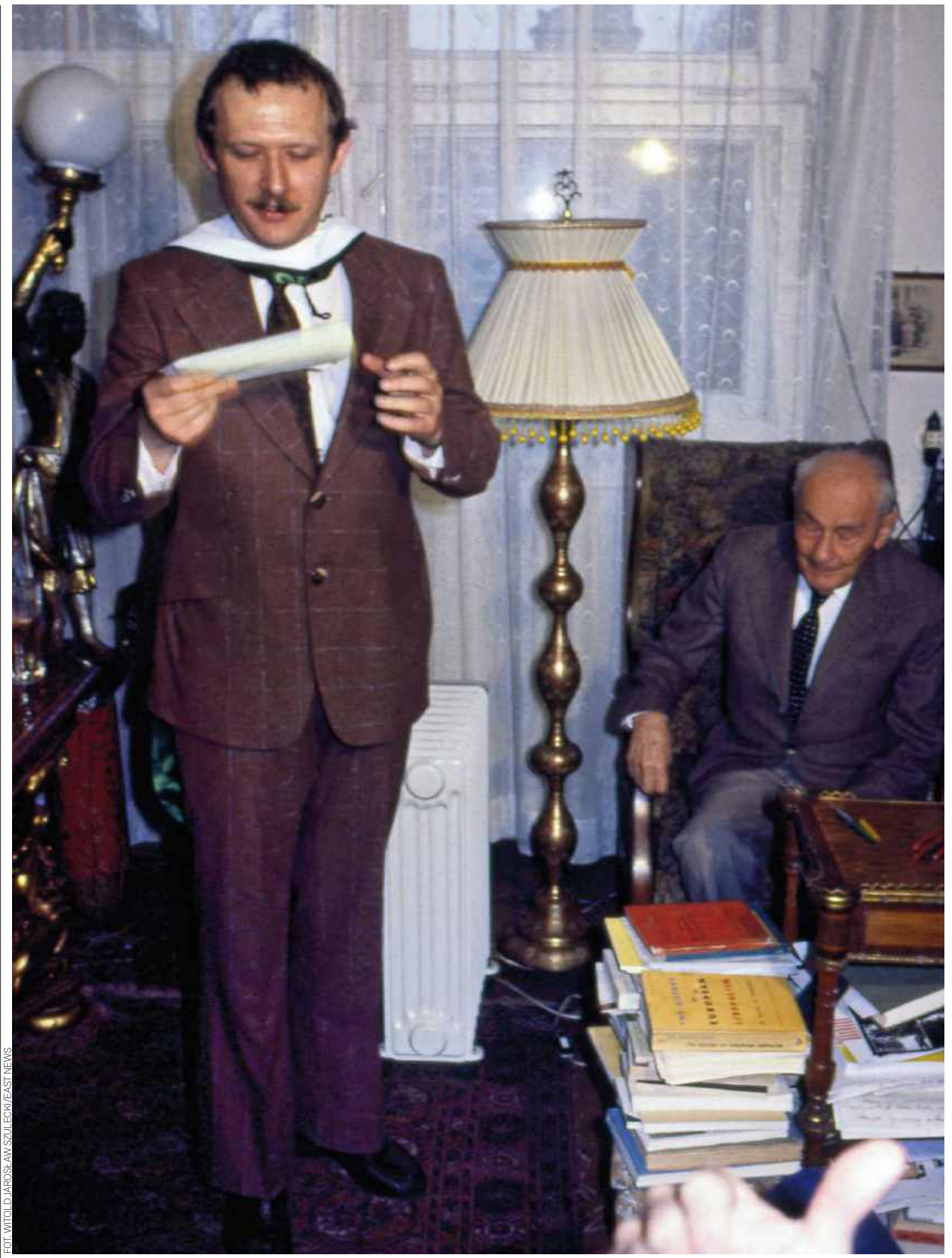

FOT. WITOLD JAROSŁAW SZULECKI/EAST NEWS

• **Adam Michnik w warszawskim mieszkaniu prof. Edwarda Lipińskiego w 1984 roku, wkrótce po wyjściu z więzienia. Fetuje przyznanie mu w kwietniu tego roku tytułu doktora honoris causa przez New School for Social Research w Nowym Jorku**

eprasa.pl 828ea60232

cę. Ale jednocześnie żadnych restrykcji zastosowanych wobec uniwersytetów nie cofnięto: wyrzuconych profesorów do pracy nie przywrócono, tzw. marcowi docenci (zatrudnieni za zwolnionych czy też tych, którzy wyjechali) robili kariery, obowiązywały punkty za pochodzenie i praktyki robotnicze. Można było żywić nadzieję, wspomaganą wyraźną poprawą zaopatrzenia i przekonaniem o europejskim obyciu pierwszego sekretarza, że sprawy rozwijają się we właściwym kierunku. Poprawiał się wizerunek Polski na Zachodzie, chociaż raczej za sprawą mało dociekliwych publicystów, niewnikających w istotę polskiego „cudu gospodarczego" za pożyczone pieniądze.

Także wizyta prezydenta USA Richarda Nixona w Warszawie przebiegała w miłej atmosferze, niezakłócona prewencyjnym aresztowaniem działaczy opozycji.

„Ciekaw jestem – wspominał Michnik – czy obawiano się tego, że obrzucimy go bombami, czy może tego, że rzucimy mu kwiaty. Rzecz w tym, że amerykański prezydent chyba uważał, że aresztowanie ludzi na czas jego wizyty jest czymś zupełnie normalnym; nie wydawało się, by się tym w jakiś sposób przejmował. Nixon i Kissinger ani jednym słowem nie zachęcili opozycji. Zupełnie tak, jakby nam powiedzieli: Pogódźcie się ze swoim losem".

Inna wizyta miała znacznie większe konsekwencje. Na fali odczuwanego – zwłaszcza za wschodnią granicą – poluzowania zjawił się w Warszawie Tomas Venclova, zaproszony na sympozjum o Norwidzie jako litewski tłumacz poety. Zapisał w dzienniku dokładną datę spotkania i rozpoczęcia ważnej dysydenckiej przyjaźni: 25 września 1971 roku. Zatrzymał się u Wiktora Woroszylskiego i razem z nim znalazł się w teatrze na „Szewcach" Witkacego. Sztuka nie zachwyciła, przerwa okazała się bardziej owocna – Woroszylski poznał go z Michnikiem. Wszystko, co się potem działo, zapamiętał i zapisał: uczestników biesiady, poza nimi trzema Barbarę Toruńczyk, Bogusławę Blajfer i Andrzeja Seweryna, mieszkanie Michnika, rozmowy do rana i spirytus „pół na pół z mocną herbatą, ulubiony trunek, radzieckich, również wschodnioeuropejskich dysydentów". Powołano nową unię polsko-litewską, chociaż Venclova nie ukrywał sceptycyzmu. Zapamiętał też dalszy ciąg wydarzeń: „Następnego dnia milicjant w Alejach Jerozolimskich sprawdził mój paszport – później już nie zezwalano mi na wyjazd do Polski, ani gdziekolwiek indziej. Ale prywatna unia polsko-litewska przetrwała".

Klub Inteligencji Katolickiej

Szukając sojuszników dla idei społeczeństwa obywatelskiego, komandosi zwrócili się ku środowisku inteligencji katolickiej. Pamiętali, że tylko koło poselskie Znak i episkopat upomnieli się o nich w Marcu; wielu z ich kolegów należało do KIK-u, a zmiany posoborowe w Kościele budziły duże zainteresowanie. „Więź" i „Tygodnik Powszechny" udostępniały teraz swoje łamy autorom, którzy gdzie indziej byli objęci zakazem publikacji. W „Więzi" publikowali Jan Józef Lipski, Wiktor Woroszylski, Jerzy Jedlicki, Janina Zakrzewska, a w „Tygodniku Powszechnym" – Antoni Słonimski.

Propozycja nawiązania kontaktów wyszła z Klubu Inteligencji Katolickiej. Krzysztof Śliwiński, kierujący Młodzieżową Sekcją Kultury,

zwrócił się z tym do Michnika tuż po tym, jak ten wyszedł z więzienia. Inicjatywa padła na podatny grunt. Komandosi zdążyli zmienić nastawienie do Kościoła – byli już do dialogu z katolikami przygotowani. Kolejny impuls dawała książka Bohdana Cywińskiego, działacza KIK-u, „Rodowody niepokornych", która właśnie ukazała się w Bibliotece „Więzi". Przedstawiała środowisko radykalnej inteligencji z przełomu XIX i XX wieku zaangażowanej w działalność niepodległościową i walkę o sprawiedliwość społeczną. Niepokorni z książki Cywińskiego z tym samym, wspólnym dla wierzących i ateistów, nakazem występowania przeciw złu rysowali się niczym poprzednicy zbuntowanych komandosów.

Zainteresowania religijne Michnika wychodziły od Kościoła jako instytucji. Miał świadomość, że „katolicyzm jest nieusuwalnym składnikiem polskiego doświadczenia i nie rozumiejąc Kościoła, nie można zrozumieć Polski". Nowy aspekt odsłaniała lektura wydanych wówczas po polsku pism Dietricha Bonhoeffera, niemieckiego duchownego, skazanego na śmierć za udział w spisku przeciwko Hitlerowi. Poświęcona mu książka Anny Morawskiej „Chrześcijanin w Trzeciej Rzeszy" pobudzała refleksje nad sytuacją Kościoła w państwie totalitarnym.

Odczuwał również bliskość chrześcijańskiej aksjologii, z jej nakazem bezwzględnego dążenia ku dobru, a co za tym idzie uświadomioną pokorą wobec wartości, która nie pozwala traktować swojej sytuacji jako ofiary. „To nie jest ofiara, to jest normalne życie" – usłyszał od ks. Jana Ziei, którego uważał za świętego, za „żywy dowód na istnienie Boga". Komandosi poznali go już na wolności, po wyjściu słuchali jego kazań i uczyli się religijnego doświadczania życia. Mówił o konieczności zaakceptowania własnej sytuacji mimo poniżenia i cierpienia oraz o nieważności ambicji i sukcesów, kiedy trzeba służyć prawdzie. Kuronia olśniło odkrycie, że „droga do Boga wiedzie przez człowieka". Raptem okazało się, że wychodząc od intencji naprawy komunizmu dla uszczęśliwienia ludzkości, w istocie byli chrześcijanami.

Klub Inteligencji Katolickiej otworzył przed nimi zupełnie nowy świat, w który wchodzili, kierując się ciekawością i potrzebą dialogu. Młodzieżowa Sekcja Kultury przy KIK-u, skupiająca w dużej mierze ludzi uformowanych przez Marzec, prowadziła w latach 1972–1975 ożywioną działalność. Podczas spotkań dyskutowano o książkach, ale też na tematy religijne, światopoglądowe, kulturalne, społeczne, z udziałem zarówno duchownych, jak i świeckich. Prelegentami byli ks. Jan Zieja, o. Jacek Salij, ks. Józef Tischner, ks. Adam Boniecki, ks. Andrzej Bardecki, ks. Bronisław Dembowski, ks. Tadeusz Fedorowicz oraz Krzysztof Śliwiński, Andrzej Wielowieyski, Jacek Woźniakowski, Anna Tatarkiewicz, Jan Strzelecki, Tadeusz Mazowiecki, Bohdan Cywiński. Goszczono także poetów: Antoniego Słonimskiego i Stanisława Barańczaka. Klub Inteligencji Katolickiej dawał możliwość otwartej, szerokiej dyskusji i w miarę niezależnej edukacji.

Jego studia polegały właściwie wyłącznie na tym, że przyjeżdżał do Poznania porannym pociągiem, stawiał się na egzamin, zbijał z tropu kolejnego profesora swoją dezynwolturą i zarazem imponująco solidną wiedzą, po czym wychodził z profesorskiego gabinetu niezmiennie z piątką w indeksie

Pierwszy Sekretarz

Pod koniec wyznaczonego okresu pracy w życiu Adama Michnika zaszły zasadnicze zmiany.

„Któregoś dnia – gdzieś wiosną 1972 roku – wróciłem do domu nocą. Ojciec powiedział, że telefonowano z KC PZPR, by zaprosić na godzinę dziesiątą w sprawie wznowienia studiów, i telefonował Antoni Słonimski, który zaprosił mnie na dwunastą do kawiarni „U Marca" przy placu Trzech Krzyży. W Komitecie Centralnym urzędnicy partyjni poinformowali mnie, że wolno mi wznowić studia w trybie eksternistycznym na Uniwersytecie w Poznaniu. W kawiarni – Antoni Słonimski zaproponował mi sekretarzowanie. Te dwie godziny zmieniły moje życie".

Zawarcie znajomości z poetą miało miejsce jednak wcześniej, w 1965 roku, na korytarzu sądowym, gdy Adam został przedstawiony poecie przez Natalię Modzelewską, matkę Karola, sądzonego właśnie z Jackiem Kuroniem za List otwarty do członków PZPR. Wśród kilkudziesięciu osób, które „korytarzowały" na znak solidarności z oskarżonymi i niezgody z ich oskarżycielami, byli pisarze: Marian Brandys, Leszek Kołakowski i właśnie Antoni Słonimski. W szczególny sposób przywitał nowego znajomego: „No cóż, po oczach poznaję, że pan jest następny do golenia".

Dla Adama był Słonimski bohaterem domowej legendy, bardzo szanowanym przez ojca. Symbolem odwagi, mądrości i – jako sygnatariusz Listu 34 – moralnych obowiązków literatów, ale również kawiarnianym politykiem, którego stolik stanowił enklawę wolnego słowa i roztropnej myśli. Teraz zaczął przychodzić do kawiarni Państwowego Instytutu Wydawniczego na Foksal, by – jak to określił – patrzeć, jak pan Słonimski pije kawę. Wkrótce został doproszony do jego stolika. W lutym 1968 roku zdążył jeszcze wysłuchać perory po zdjęciu „Dziadów".

W Marcu znaleźli się po tej samej stronie, broniąc tych samych „Dziadów", znienawidzeni przez tego samego Gomułkę i poniewierani przez tych samych dziennikarzy. Pamiętne przemówienie pierwszego sekretarza pisarz skwitował lapidarnie: „Ja rozumiem, że towarzysz Gomułka nie ma zaufania do polskiej inteligencji, ale nie rozumiem, skąd zaufanie do inteligencji towarzysza Kliszki". Inny z jego przedwojennych bon motów charakteryzował marcowych publicystów: „Są dwa rodzaje stręczycielstwa – do rządu i do nierządu. Panowie uprawiają obydwa".

Gdy Adam siedział w więzieniu, Antoniego Słonimskiego na tzw. wolności dopadła antysemicka nagonka. Obejmował go całkowity zakaz publikacji, zniknął z podręczników i listy lektur, unieważniano tematy prac magisterskich poświęcone jego twórczości i nie było dowcipem, że „książka telefoniczna jest jedyną, z której nie wykreślono jego nazwiska". Brutalnie atakowali go dziennikarscy bojówkarze „Trybuny Ludu" i „Żołnierza Wolności", niejako kontynuując niechlubne dzieło swoich poprzedników z „Prosto z Mostu". Znał ten język i bał się powtórki z II Rzeczypospolitej – uśpienia rozumu, wybuchu niekontrolowanych emocji, wszystkiego, co mroczne i mętne, bo tak się zaczynał faszyzm.

Teraz uczynił Michnika swoim Pierwszym Sekretarzem.

Studia

Drugi telefon przywracał Adama na studia – teraz na Wydziale Historii Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu. Pozwolenie władz wykluczało Uniwersytet Warszawski, a tryb eksternistyczny, wówczas bardzo rzadki, niewymagający obecności na zajęciach, zastosowano, by chronić studentów przed szkodliwym wpływem Michnika. Obawy nie by-

Jak Adam Michnik czytał świat

Człowiek, który zredagował Polskę", taki tytuł nosi dwutomowa (w sumie 1455 stron) biografia intelektualna Adama Michnika pióra Anny Nasalskiej, która ukazała się w grudniu nakładem wydawnictwa Znak. Autorka – polonistka, literaturoznawczyni, badaczka kultury z Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, dokonała rzeczy wydawałoby się niemożliwej: przeczytała i omówiła prawdopodobnie wszystkie książki, eseje, artykuły, a także wypowiedzi publiczne i mniej formalne redaktora naczelnego Wyborczej.

„Książka jest efektem wieloletniej pracy: studiowania tekstów Michnika oraz rozmów z nim samym na ich temat. Rozmów prowadzonych przez Nasalską przez ostatnią dekadę o sprawach, ludziach, wydarzeniach i książkach, które w życiu Michnika były ważne. Do roku 2020 – czasu COVID-19 i wyborów prezydenckich w Polsce. Rozmów bez kamer i magnetofonów, ale z notatnikiem i tysiącami fiszek w rękach autorki" – tłumaczy we wstępie prof. Jan Pomorski, historyk z UMCS.

Lubelska badaczka nie tylko więc czytała Michnika, ale też wielokrotnie i na różne tematy z nim rozmawiała. Konfrontowała swoją wiedzę i poglądy z jego pamięcią, przemyśleniami i emocjami, które w miarę upływu czasu od wydarzeń, których dotyczyły, nierzadko ulegały zmianie.

Przeanalizowała, jaki wpływ jego działalność publicystyczna i publiczna miała na najbliższe otoczenie, ludzi, z którymi się stykał, przyjaźnił, a także na jego adwersarzy i otwartych wrogów. Ale także szerzej – na społeczeństwo i politykę, bo – Nasalska nie ma żadnych wątpliwości – życie Michnika „zostawia ślad głęboki i trwały".

„Książka stanowi zaproszenie do towarzyszenia Adamowi w jego nieustannym odczytywaniu »lekcji z historii«, w patrzeniu na przeszłość z perspektywy tego, co ważne »tu i teraz«, w odkrywaniu, jak przeszłość uobecnia się w teraźniejszości, wpływając na nasze życie i nasze wybory" – pisze prof. Pomorski.

I tłumaczy, że jednym z przesłań książki jest opowieść o tym, jak Michnik na przestrzeni przeszło półwiecza „czytał świat".

Ważnym dopełnieniem pracy lubelskiej badaczki jest ponad 120-stronicowe posłowie prof. Andrzeja Friszkego, jednego z najwybitniejszych polskich historyków, badacza opozycji demokratycznej i, co ważne, świadka historii, obserwatora niemal na żywo wydarzeń, które opisuje Nasalska, oraz roli w nich Michnika.

Prof. Friszke zwraca uwagę na konteksty i okoliczności, które sprawiają, że możemy dziś mówić o „fenomenie Adama Michnika". „Sprzeciw i działalność opozycyjna w PRL wymagały szczególnej determinacji i życia wedle wyznawanych wartości. A także gotowości do poświęcenia stabilizacji życiowej i zawodowej, do zaakceptowania perspektywy uwięzienia i wyroku. Śmiałków, którzy rzucali władzy wyzwanie, było zatem niewielu" – pisze prof. Friszke, który uważa Michnika ze najważniejszego opozycjonistę swojego pokolenia, symbol kontestacji komunistycznych rządów w czasach PRL.

Fragment książki Anny Nasalskiej, który publikujemy jest częścią rozdziału dokumentującego kilka lat z życia Adama Michnika po jego wyjściu z więzienia jesienią 1969 roku – trafił do niego w wyniku wydarzeń Marca '68.

W tym okresie działo się wiele, ale kluczowy okazał się jeden dzień, a w zasadzie dwie godziny pewnego wiosennego dnia w 1972 roku. „Te dwie godziny zmieniły moje życie", przyznał Michnik w 1993 roku, gdy na łamach „Gazety Wyborczej" wspominał tamte wydarzenia.

eprasa.pl 828ea60232

ły bezpodstawne, jeśli wziąć pod uwagę świadectwo Stanisława Barańczaka, wówczas młodego asystenta z polonistyki z Poznania. Po latach, z dystansu, poeta tak wspominał:

„(...) należę do tych licznych ludzi, w których życie Adam wkroczył jakby po to, aby je odmienić. Więcej: nie wiem, czy w moim wypadku ktokolwiek inny – może poza paroma dawno umarłymi kompozytorami i poetami – odmienił je równie gruntownie. Wpływ Adama, zaraźliwy i nieodparty, nie sprowadzał się jednak do samej jego ekspansywnej osobowości, w której niespożyta intelektualna energia szła o lepsze z bezpośredniością i bezbłędnym poczuciem humoru. I nie zamykał się też cały w fakcie, że to właśnie Adam wprowadził mnie – znowu: podobnie jak tylu innych – w świat zakazanych książek i wyklętych idei. Było w tym wszystkim coś więcej, jedyna w swoim rodzaju jakość wewnętrzna, dla której trudno nawet znaleźć stosowną polską nazwę, (...) a którą streszczał w sobie życiorys Adama (...)".

Zastanawiał się też nad popularnością Adama, nad sposobem jego oddziaływania na ludzi, doświadczonego osobiście, nad jego fenomenem. Był świadkiem jego studiowania i miał w tym znaczne zasługi:

„Jego studia polegały właściwie wyłącznie na tym, że przyjeżdżał do Poznania porannym pociągiem, stawiał się na egzamin, zbijał z tropu kolejnego profesora swoją dezynwolturą i zarazem imponująco solidną wiedzą, po czym wychodził z profesorskiego gabinetu niezmiennie z piątką w indeksie. Jeśli zdarzało mu się nie znać odpowiedzi na podchwytliwe pytanie, miał zwyczaj ripostować własnym pytaniem, postawionym tak celnie, że skonfundowany egzaminator wpisywał sakramentalną piątkę natychmiast, byle prędzej się od niego uwolnić.

To dzięki naszym poznańskim spotkaniom mogę się dziś chełpić, że wraz z żoną jesteśmy prawdopodobnie jedynymi ludźmi na tej planecie, którym zdarzyło się co najmniej z tuzin razy widzieć Adama Michnika przyodzianego w krawat. Jak wiedzą przyjaciele, w sprawach ubioru z całą pewnością nie można Adama posądzić o przesadny dandyzm, jednakże przed każdym ze swoich poznańskich egzaminatorów posuwał się w swojej dbałości o przyzwoity wygląd do ostatecznych granic: pożyczał krawat ode mnie i nawet pozwalał go sobie zawiązać".

Tryb studiów nie wymagał przebywania w Poznaniu, pozwalał mu więc funkcjonować w Warszawie i oddawać się obowiązkom u Antoniego Słonimskiego. Jego praca polegała na zbieraniu materiałów do książki „Alfabet wspomnień", w której pisarz przypominał czas i ludzi własnej młodości. Adam przesiadywał więc w bibliotekach, czytał międzywojenną prasę i literaturę, rozkoszował się „Wiadomościami Literackimi", wieczorem referował swoje lektury, a ożywiona pamięć Starego Pisarza rekonstruowała ludzkie portrety, wydarzenia i atmosferę. W ciągu następnych – jak się okazało, ostatnich – lat pan Antoni stał się jedną z najważniejszych postaci w życiu Adama Michnika. Materialnym efektem ich współpracy była błyskotliwa i dowcipna książka złożona z fabularnych miniatur, przechowanych w plotce okruchów historii, oddających duchowy klimat II Rzeczypospolitej. Ukazała się dzięki zastosowanej wobec literatury abolicji, uchylającej na chwilę szlaban dla twórców i ich książek.

Świadkowie twierdzą, że emocjonalna i intelektualna przyjaźń była silna, a pożytki – obopólne. Relacja mistrz–uczeń rychło przekształciła się w stosunek cieplejszy. Mieszkali po sąsiedzku, spędzali ze sobą czas, niezależnie od obowiązków. „Antoni pokochał go" – mówi Hanna Trzeciakowska, a wtóruje jej Julia Hartwig: „To był rodzaj usynowienia". Reprezentowali tę samą formację: polskiej inteligencji, liberalnej, demokratycznej, antyklerykalnej, lewicującej. Jako tacy zbierali cięgi – zarówno przed wojną, jak i po niej – od wszelkiej maści faszystów, nacjonalistów, komunistów.

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Stanisław Barańczak: „Należę do tych licznych ludzi, w których życie Adam wkroczył jakby po to, aby je odmienić. Więcej: nie wiem, czy w moim wypadku ktokolwiek inny – może poza paroma dawno umarłymi kompozytorami i poetami – odmienił je równie gruntownie

• Na zdjęciu: Adam Michnik i Stanisław Barańczak w księgarni Odeon na ul. Hożej w Warszawie, 18 czerwca 1993 roku

Przyjaźń trwała dłużej niż praca nad książką. Adam Michnik był dla Antoniego Słonimskiego swego rodzaju przewodnikiem po rzeczywistości, busolą. Przynosił wiadomości o akcjach obywatelskich, namawiał do zaangażowania i zbierał podpisy. Stary Pisarz pełnił w tej sytuacji funkcję parasola. Wynikała ona z dość szczególnego traktowania go przez komunistów: prześladowano go, lecz także otaczano swego rodzaju estymą, jakby pamiętając o jego przedwojennej popularności. Co światlejsi musieli znać jego odważne, piętnujące obskurantyzm felietony, którymi autor narażał się prawicowym nacjonalistom i za które mógł zostać pobity. Władza się z nim liczyła i dzięki temu mógł zapewnić ochronę również swojemu Pierwszemu Sekretarzowi. Adam zdawał sobie z tego sprawę:

„Dopóki byłem jego sekretarzem, to komuniści bali się zrobić mi krzywdę. Najbardziej bałem się nie tego, że zrobią mi krzywdę, że mnie aresztują. Najbardziej bałem się, że to będzie anonimowe. Zależało mi na jednym, jeżeli już mam iść do więzienia, to żeby ich to kosztowało. Mój ojciec zawsze powtarzał, że on zna Rosję komunistyczną i wie, że to jest taki ustrój, gdzie człowieka aresztują i on zapada się jak kamień w wodę. Bardzo nie chciałem tak dać się aresztować. Nie jak kamień w wodę. Chciałem stanąć im jak kość w gardle".

Pan Antoni wprowadził go do środowiska pisarzy, co mu bardzo pomogło w akcjach zbierania podpisów pod listami, apelami, petycjami skierowanymi do władz, w obronie lub proteście. Na początku dekady Gierka często prowadzono takie akcje wśród intelektualistów, jakby egzekwując zapewnienia o ogólnej liberalizacji. Adam zbierał podpisy w obronie działaczy organizacji Ruch, skazanych za „próbę obalenia ustroju", bo tak zakwalifikowano przygotowania do podpalenia Muzeum Lenina w Poroninie, a potem, w 1974 roku, pod petycją o amnestię dla nich z okazji 30-lecia PRL.

Masowy charakter miały w 1972 roku listy w obronie dwóch braci Kowalczyków skazanych za wysadzenie auli uczelnianej w Opolu na drakońskie kary, w tym jednego na karę śmierci. W grudniu 1974 roku Adam został zatrzymany podczas zbierania podpisów pod apelem upominającym się o los Polaków w ZSRR. List podpisało 15 intelektualistów: Zygmunt Mycielski, Zbigniew Herbert, Edward Lipiński, ks. Jan Zieja, Antoni Słonimski, Wiktor Woroszylski, Tadeusz Konwicki, Włodzimierz Zonn, Kazimierz Brandys, Jan Nepomucen Miller, Andrzej Szczypiorski, Jacek Bocheński, Marek Nowakowski, Andrzej Kijowski i Zofia Małynicz. Chcieli dla nich takich samych praw jak ma Polonia w innych krajach: umożliwienia kontaktu z kulturą polską, ułatwienia wyjazdów do ojczyzny, organizowania własnego szkolnictwa, zapewnienia wszelkiej opieki. „Pragniemy, aby nasi rodacy ze Związku Radzieckiego mieli możliwość nieskrępowanego wypowiadania się na temat swoich potrzeb, zwłaszcza w dziedzinie kultury, oświaty i religii".

Zatrzymanemu Adamowi list – i kopie – odebrano i tym samym nigdy nie dotarł do adresata ani też nie został przekazany zagranicznym korespondentom. Polakom w kraju był jednak dobrze znany z omówienia przez Radio Wolna Europa, chociaż prof. Andrzej Friszke odnalazł go dopiero w latach 90. w archiwum IPN-u. Stamtąd wiadomo także, iż zatrzymany Michnik „odmówił jakichkolwiek wyjaśnień i stwierdził, że petycja ma charakter moralno-etyczny, a nie polityczny i w związku z tym uważa zatrzymanie za bezpodstawne". Był to pierwszy od wielu lat list protestacyjny, w dodatku dotyczący tematu tabu.

Udział tak licznej reprezentacji pisarzy w przełamywaniu bariery strachu nie uchodził płazem, ale też budował nowy autorytet literatury, nawiązującej do XIX-wiecznych wzorców obywatelskiego zaangażowania. Najstarszy z nich, Antoni Słonimski, jeszcze niedawno odsądzany od czci i wiary, zestawiany dla kontrastu z oportunistycznym Jarosławem Iwaszkiewiczem, prezesem i kiedyś przyjacielem skamandrytą, stał się teraz symbolicznym liderem literatury opozycyjnej. Na ogół podpisywał wszystko, co Adam Michnik przynosił. Miał do niego zaufanie.

Największy rozmach miała – jesienią 1975 roku – obrona konstytucji przed projektowanymi zmianami. Informacje, które z plenum partii przeniknęły do opinii publicznej, sprawiały wrażenie wręcz prowokacji wobec podpisanego przez Polskę w sierpniu Aktu końcowego Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy Europejskiej (KBWE), który gwarantował przestrzeganie praw człowieka i podstawowych wolności. Przeciwko poprawkom wystąpili intelektualiści, formułując Memoriał 59. To był protest zwłaszcza wobec zapisu o „kierowniczej roli partii i przyjaźni ze Związkiem Radzieckim" oraz domaganie się swobód obywatelskich: wolnych związków zawodowych, prawa do strajku, wolnych wyborów, niezawisłego Sejmu, wolności słowa, sumienia i praktyk religijnych. Tym razem było to stanowisko ostre, atakujące podstawy ustrojowe. Ludzie bali się, wielu odmawiało podpisu. „Jak mnie widzieli, przechodzili na drugą stronę" – opowiadał Michnik.

Słonimski się zawahał. Krytykował tekst, wprowadzał poprawki, zwlekał. Zasadę zachowania bezpiecznego umiaru wyraził w puencie historyjki o wycieczce do Norwegii: „wychylałem się, wychylam, będę wychylać, ale nie wyskoczę". Dewiza ta powstrzymywała go w tej radykalnej sytuacji. Odmówił. „No trudno, panie Antoni – mówił Michnik – ja podpiszę". Nazajutrz

telefon z samego rana: „Panie Adamie, proszę natychmiast przyjść z tymi papierami. Trudno, podpiszę, nie mogę przecież zostawić was młodych samych". Ostatecznie zebrano 66 podpisów, chociaż pismo przeszło do historii jako Memoriał 59. Podpisali pisarze i intelektualiści, od prof. Amsterdamskiego do ks. Ziei, a w ciągu następnych tygodni w różnych pismach do władz Episkopat oraz kilkaset osób w kraju i na emigracji. Podpisywano ze świadomością ryzyka i z determinacją. Legenda zapisała gest Juliana Stryjkowskiego, człowieka oszczędnego, który swoim podpisem przekreślał szansę na zatwierdzoną już nagrodę literacką. „Te sto tysięcy niech sobie w dupę wsadzą" – zakończył hojnie sprawę.

Sejm przegłosował zmiany w konstytucji w lutym 1976 roku przy jednym głosie wstrzymującym się – Stanisława Stommy.

To były ostatnie miesiące życia Słonimskiego. Adam towarzyszył panu Antoniemu do końca, do jego niespodziewanej śmierci w wypadku samochodowym niedaleko Obór pod Warszawą. Umarł 4 lipca 1976 roku, a los zadbał o symbolikę daty – było to w 200. rocznicę ogłoszenia Deklaracji niepodległości Stanów Zjednoczonych. Po mszy w kościele św. Krzyża – z homilią ks. Jana Twardowskiego – niosąc trumnę razem z Andrzejem Kijowskim, Arturem Międzyrzeckim, Stanisławem Barańczakiem, Kazimierzem Brandysem, Adam miał świadomość końca kolejnej epoki w swoim życiu. Antoni Słonimski spoczął na cmentarzu w Laskach obok żony. Nekropolia znajdowała się niedaleko miejsca, gdzie Michnik w ostatnim czasie pracował nad swoją skończoną już wówczas książką. Zadedykował ją swemu mentorowi.

Dzisiaj, gdy chłopięcy Adam osiąga powoli wiek ówczesnego pana Antoniego, a czas, który od tamtej pory upłynął, odsłonił jego cechy osobowościowe, widać znacznie więcej. Byli po prostu podobni. Ta sama odwaga, lotność myśli, dowcip, przenikliwość, zdolność błyskawicznej riposty, ta sama rogata dusza polskiego inteligenta. Najwyraźniej Antoni Słonimski rozpoznał duchowego krajana. Należeli do tej samej ojczyzny z poetyckiej deklaracji, za którą mógłby oberwać z powodzeniem także Adam Michnik w zupełnie innych czasach:

W ojczyźnie twojej do obcych w wierze
Bóg się nie zniża.
Moja ojczyzna świat cały bierze
W ramiona krzyża. ●

eprasa.pl 828ea60232

BEZ KIERUNKU ZWIEDZANIA

Nigdy nie czułem takiej przyjemności obcowania z eksponatami. W Londynie otwarto muzeum, które jest rewolucją.

• Wnętrze magazynu meblowego? Nie. To nowa wizja pokazywania eksponatów w londyńskim muzeum V&A East Storehouse

eprasa.pl 828ea60232

FOT. HUFTON+CROW, BET BETTENCOURT, JAMIE STOKER/ V&A

Wojciech Szot

Park Olimpijski w Londynie to niby park, z rzeką i ścieżkami, ale w jego centrum znajduje się olbrzymi stadion, a podczas spaceru mija się sporych rozmiarów pływalnię czy tor kolarski. Nad wszystkim góruje 114-metrowa wieża widokowa zaprojektowana przez Anisha Kapoora i Cecil Balmond. Te wszystkie obiekty zbudowano ponad dekadę temu z okazji odbywających się tu letnich Igrzysk Olimpijskich.

Olimpijski rozmach rozlał się też na okolice. Przemysłowa dzielnica przechodzi szybkie przemiany, a jej symbolem stało się teraz nowe, niezwykłe muzeum.

Muzeum, które zrewolucjonizuje to, jak pokazywane są eksponaty.

Od Muzeum Manufaktury do V&A

Żeby zrozumieć, czym jest V&A, cofnijmy się do połowy XIX wieku, gdy w Londynie w 1851 roku odbywała się inna olbrzymia impreza – Wielka Wystawa Dzieł Przemysłu Wspólnoty Narodów. Twórcy tego protoplasty dzisiejszych targów Expo byli zachwyceni frekwencją i postanowili zbudować muzeum inne niż wszystkie. Dostępne dla zwykłych ludzi i prezentujące nie tylko malarstwo czy rzeźbę, ale też sztuki często pogardzane, jak choćby ceramika. Początkowo nazwali je Muzeum Manufaktury.

Miejsce w czerwcu 1857 roku otworzyła królowa Wiktoria. Była to placówka nie tylko dla najbogatszej publiczności. Obok zainstalowano przystanek tramwaju konnego, by dotarli tu i ci, których nie stać na bryczkę, a dzięki oświetleniu gazowym muzeum można było zwiedzać po zmierzchu.

Muzeum od początku stawiało na edukację. Stąd nie tylko olbrzymia liczba kopii wybitnych dzieł sztuki, ale też imponująca biblioteka, w której znalazło się miejsce dla notatnika Leonarda da Vinci.

Po kilku przeprowadzkach w 1899 roku królowa Wiktoria położyła kamień węgielny pod budowę nowej siedziby. Wtedy właśnie nazwano je Muzeum Wiktorii i Alberta.

• **Dodatki – małe dzieła sztuki, które można sobie zamówić to tzw. indywidualnego oglądania**

• **Jedne z kilku par szalonych koncertowych okularów sir Eltona Johna**

• **Zdjęcia z prywatnego archiwum aktorki Vivien Leigh**

eprasa.pl 828ea60232

Narodowe muzeum absolutnie wszystkiego

Dziś Victoria and Albert Museum jest placówką bez jednej tożsamości. To nie tylko muzeum strojów, tkanin, fotografii, ale też największa na świecie kolekcja ceramiki, sztuki krajów azjatyckich oraz największy poza Włochami zbiór renesansowych rzeźb.

Mydło i powidło w liczbie niemal 3 milionów obiektów i w najlepszym guście. „Narodowe muzeum absolutnie wszystkiego", napisał o V&A Oliver Wainwright w „Guardianie".

XXI wiek i wzrost popularności turystyki muzealnej wymusił na Victoria and Albert Museum zmiany. W mieszczącej się przy Cromwell Road siedzibie latami trwały remonty i pracowano nad otwarciem nowych galerii. Zaczęto też używać nowej, bardziej cool nazwy muzeum – V&A.

W 2018 roku otwarto szkocki oddział V&A Dundee, a pięć lat później – w Londynie – Young V&A, muzeum poświęcone przedmiotom stworzonym dla dzieci i przez dzieci.

Muzeum zaczęło organizować imponujące wystawy poświęcone modzie, na które bilety są wyprzedawane na kilka miesięcy do przodu. W 2024 roku muzeum odwiedziło ponad 3,5 miliona osób, co uplasowało je na 20. miejscu na świecie.

W 2026 roku w Parku Olimpijskim zostanie otwarta kolejna filia: V&A East.

Swoje industrialne podwoje dla zwiedzających otworzyła też część muzeum, które bardziej niż wszystkie inne projekty Brytyjczyków zmienia to, jak dziś pokazuje się muzealne kolekcje.

To V&A East Storehouse, do którego się wybrałem w dniu, gdy pogoda w Londynie była oczywiście stereotypowo londyńska.

Za darmo, ale za to w kolejce

W południe przed nowoczesnym, acz nieszczególnie wyróżniającym się budynkiem V&A East Storehouse stała niewielka kolejka. Była zaskoczeniem, bo przez szklane szyby nie widać było tłumów w środku. Po chwili się okazało, że gości wpuszcza się tu w kilkuosobowych grupach.

Po dwudziestu minutach tuż przed wejściem podszedł do nas pracownik muzeum (pod parasolką) i poinformował o zasadach. A więc: wstęp jest darmowy, szatnie tylko samoobsługowe, wizytę zaczynamy, idąc od parteru na pierwsze piętro.

„Witamy w V&A, domu dla 341 tysięcy obiektów, w tym 896 przytulanek, z biblioteką liczącą 350 tysięcy egzemplarzy – czytamy, gdy już uporamy się z szatnią (warto mieć jednofuntową monetę).

„Magazyn to wyjątkowe doświadczenie zaprojektowane dla maksimum transparentności i bezprecedensowej dostępności. Muzeum jest budynkiem, w którym pracuje wiele osób: fotografów, badaczy i konserwatorów zbiorów" – czytamy dalej.

Na parterze jest minimalistycznie i nic nie zdradza tego, co czeka na zwiedzających. A czeka coś o niezwykłej skali rażenia.

Czego tu nie ma!

Po pokonaniu kilku najzwyklejszych metalowych schodków wchodzimy do olbrzymiego atrium, dookoła którego na trzech poziomach na magazynowych, metalowych stelażach zgromadzono setki przedmiotów pokazanych czasem jak eksponaty muzealne, ale częściej tak, jakby przed chwilą ktoś je wyciągnął z archiwów. Wiele obiektów pokazywanych jest w zabezpieczeniach, w których są przechowywane.

Czego tu nie ma! Na trzech piętrach zgromadzono rzymskie mozaiki, renesansowe Madonny, pluszowe żółwie, motocykl, rower, designerski telewizor z lat 60. XX wieku, a nawet dach pałacu.

Całość wyjęta jest z muzealnej logiki prezentowania dzieł chronologicznie. Za pomocą aplikacji i kodów przywieszonych do obiektów można uzyskać o nich więcej informacji. Ale można po prostu się zachwycać i wędrować niemal między półkami prawdziwego magazynu muzealnego.

FOT. HUFTON+CROW, DAVID PARRY, KEMKA AJOKU/V&A

• **10-metrowa kurtyna do spektaklu „Le Train bleu" z 1924 r. rosyjskiego Baletu Diagilewa. Kopia obrazu Pablo Picasso „Dwie kobiety biegnące po plaży".**

• **Buty zaprojektowane dla Dawida Bowiego, których używał w czasie trasy koncertowej albumu „Diamond Dogs" w 1974 roku**

• **Kurtka, którą Freddi Burrettii zaprojektował w 1973 r. dla Davida Bowie'go na trasę koncertową albumu „Ziggy Stardust"**

• **Fragment XV-wiecznego sufitu z nieistniejącego już Pałacu Altamira w hiszpańskim Torrijos niedaleko Toledo**

Od początku to miało być muzeum dostępne dla zwykłych ludzi i prezentujące nie tylko malarstwo czy rzeźbę, ale też sztuki często pogardzane, jak choćby ceramika czy przedmioty codziennego użytku

V&A – regały magazynowe. Co tu zachwyca?

Trudno wybrać jedną rzecz, która zachwyca w V&A East Storehouse. Z pewnością uwagę przyciągają obiekty o monumentalnej skali.

Trudno przegapić XV-wieczny, olbrzymich rozmiarów drewniany sufit z pałacu w Torrijos niedaleko Toledo. Bogato zdobiony przypomina dzisiaj o synkretyzmie hiszpańskiej sztuki, w której islamskie wzornictwo zasymilowało się z gotyckim. To symbol przemian w sztuce, która korzystała zarówno z arabskiego, jak i chrześcijańskiego oraz żydowskiego dziedzictwa.

Można zobaczyć dosłownie całe biuro Edgara J. Kaufmanna, zamożnego właściciela domu handlowego w centrum Pittsburgha. Zaprojektowane przez Franka Lloyda Wrighta w drugiej połowie lat 30. XX wieku zbudowane ze sklejki i cyprysowych fornirów meble. Zachwyca wystrój pokoju – popiersie Nefertiti czy metalowy stojak na popielniczkę sprawiają, że wnętrze mimo wysokiego połysku wygląda, jakby pan Kaufmann właśnie wyszedł na lunch.

Innym niesamowitym dziełem prezentowanym w magazynie jest olbrzymie, wysokie na ponad 10 metrów płótno „Le Train bleu" wykonane w 1924 roku dla Ballets Russes, w którym występował legendarny tancerz Diagilew. Tkaninę, która jest kopią obrazu Pabla Picassa „Dwie kobiety biegnące po plaży", można oglądać w osobnej galerii zarówno od dołu, jak i z wyższego piętra. Picasso był pod takim wrażeniem płótna, że złożył na nim swój podpis.

Dumą magazynu jest oryginalna kuchnia frankfurcka. W 1926 roku do nowo budowanych mieszkań socjalnych na zamówienie władz Frankfurtu nad Menem zaprojektowała ją austriacka architektka Margarete Schütte-Lihotzky.

Warto też zajrzeć pod szklaną podłogę w atrium. Znajdujemy się nad marmurową kolumnadą zbudowaną na początku XVII wieku do łaźni Szahdżahana, władcy Indii, najbardziej znanego z ufundowania w Agrze mauzoleum Tadż Mahal.

Każdemu z tych monumentalnych i niezwykłych obiektów towarzyszą dziesiątki mniejszych „drobiazgów": dziecięcych zabawek, znaków drogowych czy obrazów i rzeźb z różnych epok. Jesteśmy w świecie jak z dziecięcej bajki. Lub koszmaru kolekcjonera.

1 RP

eprasa.pl 828ea60232

Informacje praktyczne:

- W skład V&A (Victoria and Albert Museum) wchodzi kilka muzeów.
- Gmach główny (V&A South Kensington) znajduje się przy Cromwell Road. Jest otwarty jest codziennie od 10:00 do 17:45, a w piątki do 22:00.
- Young V&A ulokowane jest w dzielnicy Bethnal Green (Cambridge Heath Road). Otwarte codziennie od 10:00 do 17:45.
- Nowe V&A East Storehouse znajduje się na terenie Queen Elizabeth Olympic Park na Parkes Street. Muzeum otwarte jest codziennie od 10:00 do 18:00, a w czwartki i soboty do 22:00.
- Wstęp do wszystkich muzeów jest bezpłatny. Wystawy czasowe są płatne, a bilety warto rezerwować przez interent nawet miesiąc przed planowanym terminem wizyty.
- 18 kwietnia 2026 roku zaplanowano otwarcie V&A East Museum, również na terenie Queen Elizabeth Olympic Park.

Wymieniłem obiekty monumentalne, jednak najbardziej oniemiały stałem przed kompozycją czterech przedmiotów.

Obok siebie ustawiono telewizor z lat 50., średniowieczny ołtarz oraz współczesne, lekkie metalowe krzesło. Rezygnacja z hierarchii, podziałów ze względu na funkcję obiektów czy czas ich powstania tworzy pozorny chaos, który jednocześnie ma głęboki sens – sprawia, że zaczynamy myśleć o samych obiektach, ich estetyce i tym, że niezależnie od tego, z jakiego kontekstu pochodzą, wciąż potrafią nas zaintrygować.

Podejrzeć codzienne życie muzeum

Przed wizytą w Londynie warto wysłać maila do V&A Storehouse. Można poprosić – z odpowiednim wyprzedzeniem – o pokazanie rzeczy, która znajduje się w magazynie. Order an Object to wyjątkowa usługa pozwalająca na osobisty kontakt z ukochanym przedmiotem. Jak deklarują twórcy muzeum: jeśli zamówiony przedmiot będzie zbyt duży, by go zaprezentować w specjalnym pomieszczeniu, zamawiający zostaną zaprowadzeni do miejsca jego przechowywania. Jedna osoba może zamówić maksymalnie pięć obiektów. Nie trzeba uzasadniać wyboru.

Kilka miesięcy po otwarciu w maju 2025 roku muzeum poinformowało, że najczęściej zamawianym obiektem była jedwabna suknia wieczorowa z 1954 roku zaprojektowana przez Cristóbala Balenciagę.

Kuratorzy zapewniają też, że jeśli na przykład grupa chciałaby się dowiedzieć czegoś o renesansowych freskach albo ozdobnych kufrach z początku XIX wieku, mogą specjalnie zmodyfikować ekspozycję.

Nie musimy zamawiać obiektów do oglądania, by poczuć, że jesteśmy w prawdziwym, działającym muzealnym magazynie. Chodząc po piętrach, podglądamy pracę konserwatorów. Dzięki wyznaczonym punktom i szklanym przepierzeniom nie przeszkadzamy im w pracy.

Dla fanów muzyki V&A Storehouse ma coś jeszcze: wydzieloną przestrzeń z obiektami z prywatnego archiwum Davida Bowiego. Jak na nieszczęście podczas mojej wizyty archiwum akurat było zamknięte.

Ale warto sprawdzić na stronie muzeum, jakie ma eksponaty związane z muzyką. To między innymi stroje i instrumenty takich gwiazd jak: PJ Harvey, The Who czy Rolling Stones. Można je sobie „wypożyczyć".

Muzeum na opak

Idea muzeum otwartego na publiczność i wraz z nią decydującego o tym, co i jak warto pokazywać, osiągnęła w V&A East Storehouse szczyt. „Zamiast twardych podziałów między przechowywaniem a ekspozycją, konserwacją a kuratorstwem, zapleczem i frontem magazyn tworzy nową mieszankę" – mówił podczas otwarcia muzeum David Allin, dyrektor Diller Scofidio + Renfro, pracowni, która zaprojektowała budynek.

Efektem jest miejsce, które sprawia wrażenie, jakby tradycyjne muzeum odwrócić na lewą stronę. Do środka wciągnąć to, co na zapleczu. A zaplecze pokazać tak, żebyśmy zawsze pamiętali, że obiekty potrzebują ludzi. Konserwatorów, fotografów, magazynierów, kuratorów. I widzów.

W V&A East Storehouse czułem się jak w panoptykonie, w którym wszyscy przyglądamy się sobie i naszej niezwykłej miłości do przedmiotów. Przyglądamy z radością, że muzeum ufa widzom i ich intuicji, a nie wyznacza trwałych narracji, którym mamy się podporządkowywać.

Londyńscy muzealnicy wiedzą, że w XXI wieku widz potrzebuje po prostu popatrzyć na ciekawe obiekty. Dopiero później – gdy już się nasyci – chce dowiedzieć się więcej. Edukacja jest ważna, ale warto czasem na pierwszym miejscu postawić na przyjemność.

V&A Storehouse wyznacza nową epokę w historii muzeów – epokę muzeów bez kierunków zwiedzania. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34414359

DO 24 STYCZNIA

Zamów PRENUMERATĘ TECZKOWĄ „Wyborczej"

na luty u swojego sprzedawcy prasy

- Masz pewność, że każde wydanie będzie na Ciebie czekać (zamawiasz gazetę na cały miesiąc z góry)
- Masz niższą cenę niż przy zakupie pojedynczych wydań każdego dnia
- Masz bezpłatny dostęp do Wyborcza.pl*
- Masz gwarancję niezmienności cen w okresie realizacji prenumeraty
- Możesz zostać członkiem Klubu Wyborczej i mieć dostęp do archiwum tekstów

CENA 199,99 zł**
OSZCZĘDZISZ CO NAJMNIEJ 11 ZŁ

Dostęp także do Wyborcza.pl*

*Prenumeratorów teczkowych zapraszamy do Klubu „Wyborczej". Jego członkowie mogą m.in. uczestniczyć w spotkaniach online z redakcją i jej gośćmi. Dodatkowo Klubowicze mają dostęp do archiwum tekstów „Wyborczej". Co zrobić, by zostać członkiem Klubu: 1. Skontaktuj się z naszą infolinią, tel. 22 555 54 55 (od poniedziałku do piątku w godz. 8-17). 2. Podaj numer dowodu zakupu prenumeraty teczkowej.
**Cena sugerowana. Kwota oszczędności wynika z różnicy ceny sugerowanej i sumy cen codziennej sprzedaży detalicznej.

1 RP

eprasa.pl 828ea60232

ADAM MICHNIK POLECA

O Pawle Kłoczowskim

Z TYM FILOZOFEM DA SIĘ POGADAĆ. CHOĆ ŁATWO NIE JEST

Burzyciele systemu wewnątrz systemu są najlepszymi utrwalaczami systemu

Tadeusz Bartoś*

Dwie książki. Pierwsza, „Prawidłowa kolejność rzeczy", urodzinowy prezent-niespodzianka od przyjaciół, opublikowana oczywiście bez wiedzy i zgody autora, a w niej imponująca lista intelektualistów składających gratulacje jubilatowi, od Adama Michnika przez Marka Lillę po Adama Zagajewskiego. I druga książka: „Wszystko w rozpadzie?".

Obydwie to kolekcje esejów o myśli politycznej XX wieku. Autorem jest Paweł Kłoczowski, krakowski filozof, filozof polityki, pochylający się z uwagą nad sprawami publicznymi naszego świata.

W pierwszym zbiorze na pierwszym planie pojawiają się sylwetki światowej sławy intelektualistów. Omówione zostają polityczne refleksje znaczących postaci kultury polskiej: Miłosza, Giedroycia, Kołakowskiego, Herberta, oraz myślicieli politycznych zachodniego świata, Allana Blooma, Edmunda Burke'a, Leo Straussa, George'a Orwella i wielu innych. Kto chce przypomnieć sobie, odświeżyć albo pierwszy raz spotkać się z plejadą nowożytnych myślicieli politycznych, ma unikalną okazję.

W książce znajdziemy też ujęcia systemowe. Autor pyta: „Czy tolerancja niszczy sztukę?", pochyla się nad sytuacją Kościoła katolickiego we współczesnym świecie, pisze o wielkości i małości rewolucji.

W zbiorze „Wszystko w rozpadzie?" pojawiają się interesujące zestawienia postaci: Platon versus Freud, Brzozowski a Newman, jest tam jeszcze „Wiedza radosna Adama Zagajewskiego", „Pascal w Unii Europejskiej". Już same tytuły intrygują, a przecież tytuł to tylko przedsmak.

•

Komunizm jest logokracją, pisze Paweł Kłoczowski, komentując „Zniewolony umysł" Czesława Miłosza. A więc koncept, idea, ideologia i próby ich wcielania, nie tyle pragmatyzm, co inkarnacja ideału. Zniewolenie następuje przez uznanie zbioru tez dostarczanych przez organy partyjne i ich gorliwe wyznawanie. Nie sam zamordyzm, ale zamordyzm ideologiczny jest wyróżnikiem tego systemu. To tylko jeden wątek zawartych tam analiz.

Nie sposób, podejmując refleksję nad życiem społeczno-politycznym naszego kraju, nie zauważyć tematu religia-Kościół. Przygląda się mu Kłoczowski w artykule „Ecclesia" z 1990 roku.

Doktryna, kult, organizacja kościelna to trzy nieodłączne składowe Eklezji. Wypływają z trzech urzędów: prorockiego, kapłańskiego i królewskiego. Autor w tych wywodach powołuje się na prace Johna H. Newmana, XIX-wiecznego konwertyty z anglikanizmu na katolicyzm, kardynała, a od 2019 roku świętego katolickiego. Koncepty Newmana zostaną podjęte w dokumentach Soboru Watykańskiego II.

Kościół to „corpus misticum" (mistyczne ciało Chrystusa), które zostaje poddane próbie ludzkiej słabości. Jest więc ideał i niedoskonałe jego aplikacje. Od siebie dodam, że ta samousprawiedliwiająca maszyna działa niezawodnie. Komunistyczni naśladowcy systemu katolickiego mówili: system (resp. [odpowiednio] „ciało mistyczne") dobry, ale są błędy i wypaczenia (resp. grzech ludzki). To potężne narzędzie samoutwierdzania się holistycznych systemów władzy.

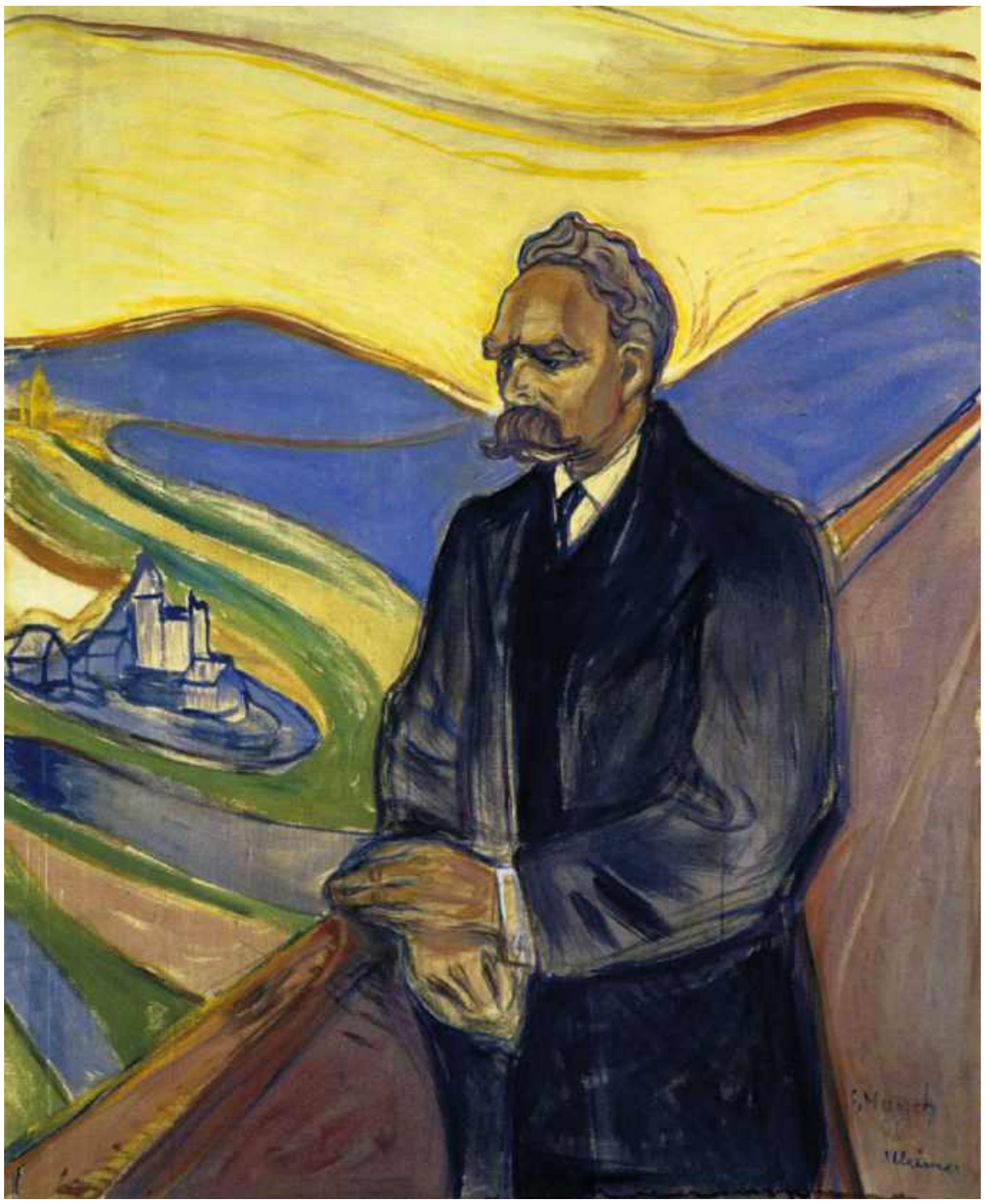

• **Fryderyk Nietzsche. Portret autorstwa Edvarda Muncha z 1906 r.** FOT. DOMENA PUBLICZNA

Kłoczowski relacjonuje autoidentyfikację katolicyzmu w ujęciu Newmana. Kościół jest prorokiem, kapłanem i królem, to jego funkcje. Doktryna soborowa, dodajmy, poszła krok dalej: każdy ochrzczony ma udział w funkcji prorockiej, kapłańskiej i królewskiej. A kapłaństwo instytucjonalne (biskupi, proboszczowie itp.) ma charakter służebny.

Ten potencjał quasi-rewolucyjny (chrzest daje religijną kompetencję i sprawstwo) nie został wcielony w życie. Kapłaństwo urzędowe jakoś nie chciało stać się służebnym, prawo kanoniczne pozostało nienaruszone. A próbujących w latach 70. i 80. kontynuować projekt zmian teologów za pontyfikatu papieża Pola-

1 RP

eprasa.pl 828ea60232

ka zastraszono, zwalniano z pracy, by nie siali zamętu. Przypilnowano starannie, żeby w kwestii władzy w Kościele nie naruszyć status quo. Ale to już uwagi ode mnie, wychodzące poza refleksje Kłoczowskiego.

On sam rozwija inne wątki. Przywołuje m.in. tezę o niskim poziomie refleksji teologicznej w naszym kraju, co zniekształca sens i treść misji Kościoła. To stary wątek, w latach 30. XX wieku Jacek Woroniecki OP, jeden z założycieli Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, opublikował artykuł na ten temat, krytykując fideizm, sentymentalizm i irracjonalizm polskiego katolicyzmu, który refleksję intelektualną kojarzy z „niemieckim mędrkowaniem".

Kłoczowski rozwija tę myśl, konstatując, że zmiany posoborowe w Polsce nie zostały wprowadzone. Brakuje choćby uznania kompetencji religijnej zwykłych wiernych, a nie tylko kleru. W żargonie kościelnym mówi się o „sensus fidei", wyczuciu wiary, które to ma występować u każdego ochrzczonego.

Tego katolicyzm polski wedle Kłoczowskiego nie praktykuje, dalej traktując laikat jak dzieci (paradoksalnie słowo „laikat" sugeruje brak kompetencji, „świecki" zamiennik też nie jest dużo lepszy). Cóż, mija 35 lat a „Ecclesia" Kłoczowskiego nie chce się zestarzeć. Religijne, teologiczne motywy działania polskiego kleru są coraz mniej widoczne, dominuje obraz cwaniackich strategii przetrwania, ochrony i powiększania politycznego wpływu i materialnego stanu posiadania.

Najcenniejsze są prezentacje, które zapraszają do rozmowy i nie wymagają myślowego podporządkowania. Tak też chcę odczytywać eseje Pawła Kłoczowskiego

W innych tekstach Kłoczowski porównuje kulturę umysłową Brytyjczyków i Francuzów. Ci pierwsi mają być bliżej wyobraźni, a ci drudzy pogardzać tym, co zmysłowe/obrazowe, zgodnie z racjonalistycznym programem wytyczonym przez Kartezjusza. Wyobraźnia, także pochwała tabu za Kołakowskim, pochwała przesądu za Edmundem Burkiem - wszystko to objawy reakcji na świat, w którym rozum zredukowany został do abstrakcyjnych analiz pojęciowych.

Przeciwstawienie brytyjskiego francuskiemu jest silną tezą, która steruje wypowiedziami Kłoczowskiego. Potrafi on nawet napisać: „Francuzi mają słabą filozofię, lecz świetną retorykę i gust do wyrafinowanej zabawy".

Skąd wiadomo, że Francuzi mają słabą filozofię? Otrzymujemy retoryczne kpiny z Derridy, Barthes'a, ukazują one zapał polemiczny autora. Nie lubimy Francuzów, lubimy Anglosasów, a jak słabe uniwersytety amerykańskie interesują się Derridą, to też ich nie lubimy, no i wiadomo: dlatego interesują się Derridą, że są słabe. Są rodzaje uogólnień, które budują uprzedzenia i stereotypy, co utrudnia krytyczną refleksję.

Inna kontrowersyjna teza: Nietzsche do śmierci żył resentymentem, urazem do Wagnera i... dlatego był tak dobry w analizach resentymentu. A przecież świadomość mechanizmów resentymentalnych jest drogą do wyrwania się z ich szponów. Nietzsche więc, znając je, mógł mieć wobec nich jakiś dystans.

Czy to nie uzasadnione podejrzenie? Wsparcie znajduje, gdy czytamy choćby wstęp do „Jutrzenki" - zapis metanoi Nietzschego, jest jeszcze „Wiedza radosna" i last but not least - zejście Zaratustry, który po dziesięciu latach odosobnienia w wysokich górach, gdzie przebywał z jedynymi przyjaciółmi wężem i orłem, doznał fundamentalnej przemiany wewnętrznej i chciał ją ogłosić światu (bezskutecznie, wyśmiali go na targu w mieście, myśleli, że mówi o linoskoczku). Nietzsche głosi afirmację życia, mówienie „tak" wszystkiemu, co się człowiekowi przytrafia („Ja-sagen"), nazywa to miłością przeznaczenia („amor fati).

Nasz autor jakby tego nie dostrzega. Na marginesie, wobec rozmaitych nieporozumień, warto przypomnieć, za Robertem Calasso, że słowo „fatum" nie musi być wcale takie ponure. Pierwotnie oznaczało połączenie fatalności i... beztroski („Kręte ścieżki"). „Sermone vulgari" [w języku potocznym]: „nie do mnie z pretensjami, nie ja jestem kierownikiem wycieczki". Zajmuj się tym, na co masz wpływ, to z kolei apoftegmat Innocentego Bocheńskiego.

W innym miejscu Kłoczowski pisze, że śmierć Boga oznacza, iż „nie ma już dobra i zła, nie ma różnicy między tym, co wysokie i szlachetne, podłe i niskie". Tymczasem nietzscheański immoralizm nie oznacza egalitaryzmu czy urawniłowki.

Kłoczowski sugeruje, że wedle Nietzschego skutkiem śmierci Boga jest nihilizm (teza bliska hasłu JPII o cywilizacji śmierci). Tymczasem nihilizm wedle Nietzschego jest wytworem chrześcijańskim, nie zapominajmy, że był on jednak krytykiem chrześcijaństwa. Chrześcijaństwo jest nihilizmem, fałszuje, zakłamuje wszystkie wartości, mierne i podłe nazywa dobrymi, wielkie i szlachetne - złymi.

Można się z Nietzschem zgadzać lub nie, ale niedobrze byłoby rozminąć się z jego wiodącymi ideami.

I jeszcze jedno. Pisze Kłoczowski: Nietzsche skończył jako „kompletnie wykolejony pacjent w zakładzie dla osób skrajnie niepełnosprawnych fizycznie i psychicznie". Powiedzmy, że nie jest to najlepszy sposób mówienia o osobie cierpiącej na zaburzenia psychiczne. Bo czym miałoby być to wykolejenie?

Choroba psychiczna nie może być zarzutem przeciwko człowiekowi, przeciwko jego życiowej i intelektualnej drodze. Nie może być oskarżeniem. Nietzsche, gdy zachorował, przestał pisać. Jego dzieło to nie są rojenia z psychiatryka.

W eseju o Kołakowskim zapoznajemy się z jego polityczną sylwetką. Najpierw stalinista, później rewizjonista, a po wyjeździe z Polski związany z opcjami konserwatywnymi w świecie akademickim. Kłoczowski konstatuje, że Kołakowski nie stosował się do zasad politycznej poprawności, gdy w Chicago w latach 80. czytał ze studentami na seminarium „Etykę" Spinozy, ponieważ wedle wskazań owej poprawności student najpierw powinien „wyuczyć się postmodernistyczno-nietzscheańsko-feministycznego idiomu", a później dopiero czytać klasyków, by ich dekonstruować.

Niestety autor nie wspiera swoich uwag jakimś uzasadnieniem, ocena i wartościowanie są tu silniejsze, aniżeli analiza sine ira et studio. Formuła o postmodernistycznym idiomie jak zaklęcie ma odstraszać poczciwego konserwatystę, który drży na samą myśl o lewicowych bezeceństwach.

Ze swej strony mogę zapewnić czytelników, z czym Kłoczowski pewnie by się nie zgodził, że brani za postmodernistów francuscy filozofowie XX wieku (w tym nieświęta trójca: Foucault – Derrida - Deleuze), choć zanurzeni w lewicowych środowiskach, biograficznie związani z lewicowymi rewoltami przełomu lat 60. i 70., są wnikliwymi badaczami współczesnej kultury i należy im się raczej uważna lektura, a nie podszyte strachem pochopne egzorcyzmy. Konserwatyzm Kołakowskiego i Kłoczowskiego na to nie pozwalały.

Kołakowski, jak zauważa Kłoczowski, w 1968 roku traumatycznie przeżył strajki młodzieży, był obrzydzony tamtymi wydarzeniami. Podobnie - tutaj wspólnota biografii - Joseph Ratzinger jako wykładowca teologii skłonił się ku konserwatywnym ideałom po traumie protestu studentów teologii na jego wykładach w tymże roku 1968. Zdaje się, że mu machali przed nosem na wykładzie czerwonymi flagami.

Strajk jak to strajk, trudno dziś podzielać traumatyczność tamtego doświadczenia. Można próbować zrozumieć. Zburzenie starego porządku, zachwianie wszelkimi regułami - podobne obawy niewątpliwie mogą popchnąć niejednego w objęcia opcji konserwatywnej, tj. chęci zachowania, a nie burzenia tradycji. Brakuje jednak tej reakcji zmysłu dialektycznego, bo przecież burzyciele systemu wewnątrz systemu są najlepszymi utrwalaczami systemu. Tradycję umacnia się i rozbudowuje, gdy podejmuje się z nią polemikę, sprawdzając jej słabe i silne strony.

W bankowości dajmy na to mówi się o stress testach. A barbarzyńcy to nie anarchistyczni rewoltanci, ale ci, którzy nie są w tych kwestiach au courant. Jeszcze inaczej: dzisiejszy konserwatyzm zbudowali buntownicy 1968 roku. Tożsamość konserwatysty ex definitione jest reaktywna, jest głośnym „nie" wykrzyczanym niepożądanym rewoltom.

Można by tak dalej pisać i omawiać kolejne eseje. Kiedyś jednak trzeba się zatrzymać i zaprosić P.T. Czytelników do samodzielnej lektury. By zapoznać się z sylwetkami intelektualistów naszych czasów przedstawionymi barwnie, także w kontekście społecznym, życiowym, biograficznym.

Książka jest źródłem inspiracji. Niekoniecznie, żeby zgadzać się ze wszystkimi tezami autora. Eseje zawarte w obydwu publikacjach mogą być zaproszeniem do dyskusji, a także sporu.

Wyraźnie określony punkt widzenia, deklarowany przez autora jako konserwatywny, ex definitione jest jednostronny, skoro przedstawia perspektywę jednej strony (konserwatywnej). Ale nie musi to być zarzut, jeśli zgadzamy się, że opis zwykle jest cząstkowy, eo ipso jednostronny i nie zgłasza pretensji do bycia ostatnim słowem i zamknięciem dyskusji.

Najcenniejsze są prezentacje, które zapraszają do rozmowy i nie wymagają myślowego podporządkowania. Tak też chcę odczytywać eseje Pawła Kłoczowskiego. Ciągle bowiem możemy pięknie się różnić.

Tytuł tekstu - „Wyborcza"

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

***Tadeusz Bartoś**

• filozof, profesor Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie, dyrektor programowy Studium Filozofii i Historii Idei WSFT w Warszawie (wsft.edu.pl). Zajmuje się problemami filozofii kultury, ewolucji metafizyki, a także historii oddziaływania tekstów filozoficznych. Ostatnio wydał książki „Klątwa Parmenidesa" (2020) i „Upadek, niemożliwy" (2021).

Paweł Kłoczowski, **„Prawidłowa kolejność rzeczy".** Okolicznościowy wybór tekstów Pawła Kłoczowskiego, opublikowanych w ostatnich trzech dekadach. Ukazuje się bez wiedzy i zgody autora w rocznicę jego urodzin, Gdańsk 2012.

Paweł Kłoczowski, **„Wszystko w rozpadzie?",** Gdańsk 2024

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Antoni Słonimski*

Ten jest z ojczyzny mojej

Ten, co o własnym kraju zapomina
Na wieść, jak krwią opływa naród czeski,
Bratem się czuje Jugosłowianina,
Norwegiem, kiedy cierpi lud norweski,

Z matką żydowską nad pobite syny
Schyla się, ręce załamując żalem,
Gdy Moskal pada – czuje się Moskalem,
Z Ukraińcami płacze Ukrainy,

Ten, który wszystkim serce swe otwiera,
Francuzem jest, gdy Francja cierpi, Grekiem –
Gdy naród grecki z głodu obumiera,
Ten jest z ojczyzny mojej. Jest człowiekiem.

***Antoni Słonimski** - 1895-1976, pisarz, poeta, felietonista, członek grupy literackiej Skamander. Utwór za: Słonimski, **„138 wierszy",** PIW, Warszawa 1973.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 828ea60232

ALE HISTORIA

MAGA NOWI TROCKIŚCI

Ruch MAGA chce eksportować z Ameryki ultraprawicową rewolucję.
I bezwzględnie zwalczać wszystkich jej wrogów, w kraju i za granicą.

1 RP

eprasa.pl 828ea60232

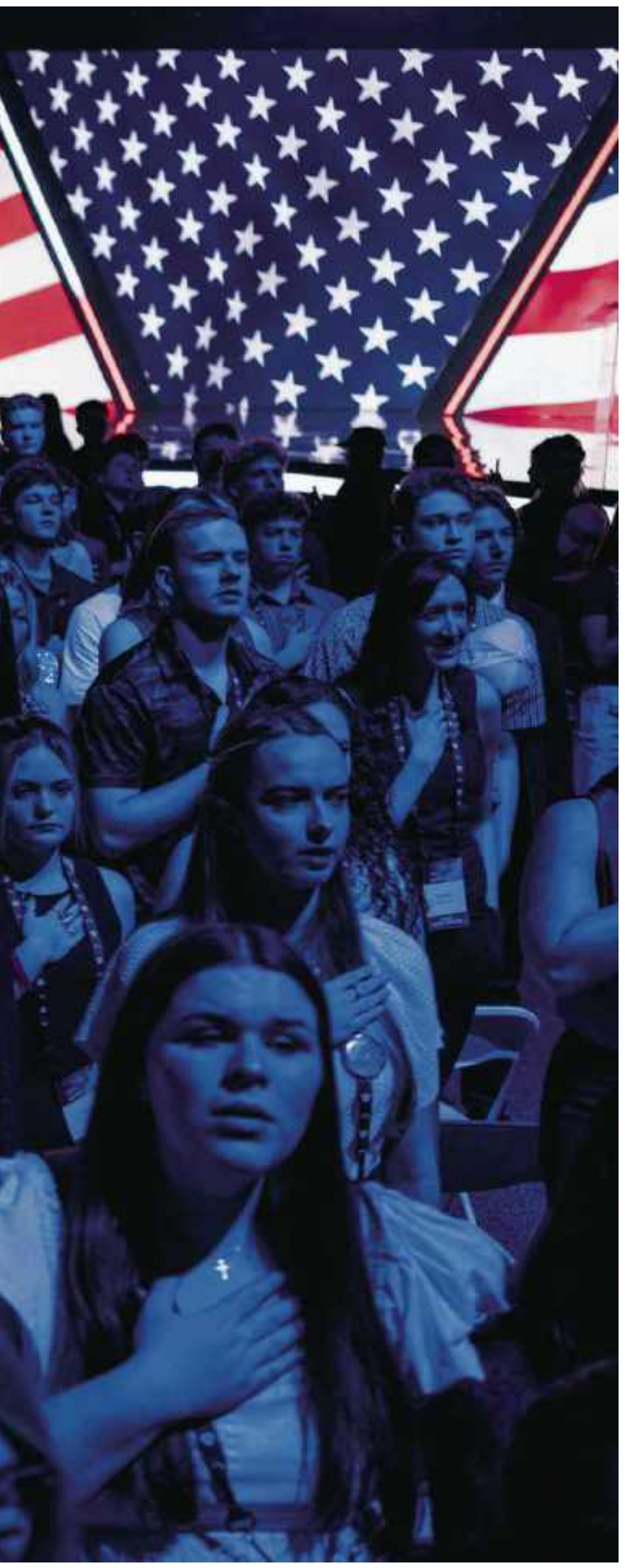

◀ **Członkowie organizacji Turning Point USA podczas mityngu w Phoenix w stanie Arizona, 20 grudnia 2025 roku. Było to pierwsze ich spotkanie od zamachu, w którym zginął jej założyciel, prawicowy aktywista Charlie Kirk**

FOT. REUTERS / CHENEY ORR

Mateusz Mazzini

Rok 1919 był momentem szczególnym w historii Europy i świata. Z jednej strony kontynent wychodził właśnie z pierwszej w historii wojny o zasięgu globalnym, rozpoczynając, choć jeszcze nieudolnie, erę multilateralizmu w stosunkach międzynarodowych. Po raz pierwszy próbowano zbudować system relacji międzypaństwowych, który charakteryzowałby się czymś wcześniej trudnym do wyobrażenia – względną długoterminową przewidywalnością. Wspólne zasady, wielostronne sojusze i jednakowe prawa dla państw narodowych miały sprawić, że koszmar wojny światowej już się nie powtórzy, a nowe kraje wypełnią lukę po upadłych imperiach, stabilizując układ sił.

Z drugiej strony kontynent był daleki od spokoju, zwłaszcza na jego wschodnich rubieżach. Rosja Radziecka pogrążona była w brutalnej wojnie domowej. Na ten czas przypadł szczyt komunizmu wojennego i brutalności motywowanej politycznie. Trwała nacjonalizacja ziemi i zbóż, przymusowa kolektywizacja, centralizacja władzy w rękach bolszewickiej awangardy rewolucyjnej. Ledwo skończył się jeden koszmar, na horyzoncie pojawiał się kolejny.

RASIŚCI WSZYSTKICH KRAJÓW, ŁĄCZCIE SIĘ

Politycznie bolszewicy, którzy skoncentrowali w swoich rękach większość władzy i zasobów państwowych, dalecy byli jednak od monolitu. Mnożyły się walki frakcyjne, ścierały silne postacie, losy przywództwa nie były przesądzone. Główną osią sporu było to, co zrobić z rewolucją: eksportować ją natychmiast, jak chciał Trocki, zwłaszcza do Niemiec, będących wówczas przemysłowym centrum Europy i najważniejszym obszarem walki klas na kontynencie? Czy skoncentrować się na wydarzeniach wewnętrznych: skonsolidować władzę, pozbyć się przeciwników, wyczyścić społeczeństwo z wrogich elementów i dopiero potem ruszyć w świat?

Spór ten zresztą trwał długie lata, a bolszewickie przywództwo okrzepło dopiero w kolejnej dekadzie. Nie zmienia to jednak faktu, że to, co wydarzyło się wtedy, zdecydowało o losach stworzonego później Związku Radzieckiego, Europy, a nawet świata.

Rok 1919 dla bolszewików był tym, czym rok 2025 jest dla amerykańskich działaczy, aktywistów i polityków spod znaku MAGA. To moment, w którym trzeba zdecydować, jak rozłożyć akcenty, gdzie przerzucić najwięcej zasobów oraz – przede wszystkim – jakie są końcowe cele tego ruchu. Po niedawnej publikacji Narodowej Strategii Bezpieczeństwa wszystko wskazuje na to, że wewnątrz MAGA wygrała frakcja internacjonalistów.

Nie tylko chcą, by ich konserwatywna, rasistowska, antyliberalna i odrzucająca współczesność rewolucja ogarnęła również Europę. Gotowi są też wyeliminować wszystkie przeszkody instytucjonalne stojące im na drodze. Nie ukrywają swoich intencji, wypowiadają się językiem ideologii, występują przeciwko pluralizmowi opinii, dążąc do całkowitego zawłaszczenia władzy i skoncentrowania w swoich rękach wąskiej egzekutywy oraz osób jej doradzających.

Mają własną awangardę, która dąży do reedukacji społeczeństwa zgodnie z własną wizją rzeczywistości. Ich plan jest totalny, dotyka każdej płaszczyzny ludzkiego życia, zarówno indywidualnego, jak i społecznego.

MAGA to trockiści XXI wieku.

MY WIEMY LEPIEJ, JAK MASZ ŻYĆ

Mylą się ci, którzy uważają bieżącą amerykańską administrację czy też stojącą za nią siłę polityczną za twór postideologiczny. Donald Trump nie reprezentuje żadnej ideologii, jeśli rozumieć to pojęcie jako zestaw spójnych prawd na temat jednostki w świecie. To umiarkowanie udany biznesmen z narcystyczną osobowością, owładnięty pragnieniem zemsty i chęcią wzbogacenia się za pomocą urzędu prezydenckiego. Jest chaotyczny, impulsywny, dumny z kierowania się instynktami i z nieustannego zmieniania zdania, co ma być skuteczną strategią negocjacyjną.

Jednak ci, którzy tworzą amerykański dwór, dla niepoznaki nazywany rządem federalnym, są już ideologią przesiąknięci do cna. Chcą przeprogramować amerykańskie społeczeństwo na własną modłę, eliminując z niego wszystkie elementy, które nie pasują pod względem tożsamościowym, rasowym, etnicznym, seksualnym czy politycznym. Niszczą niezależne instytucje, jednak tak naprawdę znacznie ważniejszy jest ich zamach na podmioty, z których może wyjść opór intelektualny – uniwersytety, szkoły, centra obywatelskie, telewizje, gazety. Mają bardzo konkretne wyobrażenie ścieżek życiowych, właściwych zachowań społecznych, hegemonicznej męskości i żeńskości oraz roli państwa w życiu codziennym obywateli.

Choć brzmi to absurdalnie, MAGA usiłuje nawet regulować to, jak Amerykanie będą się ubierać – czego dowodem jest niedawny apel Departamentu Transportu, by „wyglądać godnie” na lotniskach i w czasie podróży samolotem. Rząd federalny prowadzi dziś w USA kampanię społeczną mającą na celu przekonanie podróżnych, by porzucili dresy, legginsy i piżamy na rzecz eleganckiego ubioru. Póki co to tylko sugestia, ale niewykluczone, że w życie wejdą przepisy nakładające realne kary za złamanie lotniskowych zasad ubierania się.

EUROPO, MUSISZ WRÓCIĆ DO KORZENI

Porównanie dzisiejszej reakcyjnej prawicy z trockistami może wydawać się dziwne, przesadzone, a na pewno śmieszne – ale należy je brać jak najbardziej na poważnie. W tym duchu swoją analizę Narodowej Strategii Bezpieczeństwa przeprowadził Henry Farrell, popularny w ostatnich latach amerykańsko-irlandzki politolog związany z Johns Hopkins University.

Zauważył, że dokument poświęca nieproporcjonalnie dużo miejsca Europie, jednak nie po to, żeby ją chwalić czy utwierdzać w przekonaniu o trwałości transatlantyckiego sojuszu, ale by ją zganić. Niemal biblijnym tonem autorzy wieszczą apokalipsę europejskiej cywilizacji, jednocześnie wskazując jedyną możliwą drogę zawrócenia znad przepaści. Niech Europa wróci do swoich korzeni, dzisiaj ucieleśnionych właśnie przez MAGA – chrześcijańskich, białych, ultrakonserwatywnych, pozbawionych postoświeceniowych dyskusji o prawach jednostki – a uratuje siebie dzisiaj i swoje przyszłe pokolenia.

Porządek ten nie zostanie ustanowiony na drodze reform, bo, jak zauważa Farrell, bieżąca architektura instytucjonalna Europy, czyli Unii Europejskiej, jest niekompatybilna z wizją świata według MAGA. Wprawdzie sformułowanie to nie pada w tekście wprost, ale jest w nim wystarczająco dużo odwołań do Boga, żeby wiedzieć, że trockiści XXI wieku uważają ustrój polityczny za wtórny wobec porządku naturalnego. Nie ma większej różnicy, czy ktoś chce meblować świat na podstawie jedynej słusznej tożsamości, czyli klasowej, czy według boskich prawd objawionych – dla demokracji jest to tak samo katastrofalne w skutkach, bo takiego sposobu rządzenia państwem z demokracją, pluralizmem i wolnymi wyborami po prostu pogodzić się nie da.

MAGA nie chce rozmontowania Unii Europejskiej, bo ta reguluje koncerny technologiczne czy wspiera Ukrainę. Dąży do rozpadu Zjednoczonej Europy, bo uznaje ją za grzeszną, sprzeczną z ludzką naturą instytucję stojącą na drodze do umiędzynarodowienia rewolucji.

Tej samej rewolucji, która od stycznia ma miejsce w Stanach Zjednoczonych. Centralizację władzy widać jak na dłoni – Kongres zredukowany został do roli instytucji realizującej wolę prezydenta, który i tak rządzi dekretami. Prawa stanowe są naruszane na każdym kroku, podobnie jak decyzje nienależnych sądów we wszystkich instancjach poza Sądem Najwyższym. Nie ma więc przekazywania kompetencji na niższe szczeble administracji, znaczenie ma jedynie to, co dzieje się w Waszyngtonie. Zupełnie jak u bolszewików podejmujących decyzje w wąskim gronie awangardy rewolucyjnej.

TA REWOLUCJA JUŻ U NAS JEST

Przeciwnik jest jak najbardziej ideologiczny – to nie tylko liberałowie, imigranci i mniejszości, ale też cała tak zwana Professional Managerial Class, białe kołnierzyki „płynnie nawigujące w ekonomii wiedzy”, jak opisał ich na łamach „The Atlantic” Franklin Foer. Zniszczone mają zostać nie tylko ich miejsca pracy, ale też instytucje, a nawet całe sektory gospodarki, w których się realizowali – po to, żeby poddać destrukcji habitat intelektualistów i klasy średniej, a ich zmusić do zmiany przynależności klasowej.

Podobną interpretację planów gospodarczych tej administracji przedstawił kilka miesięcy temu prof. Daniel Drezner z bostońskiego Tuffts University, stwierdzając, że MAGA celowo zwalnia urzędników, naukowców, profesorów i przedstawicieli zawodów kreatywnych. Chce ich w ten sposób zmusić do wejścia do sektora produkcyjnego i przemysłu, gdzie musieliby się zgodzić na niższe pensje, obniżając w ten sposób koszty dla pracodawców i potencjalnie powstrzymując wzrost inflacji napędzanej wysokimi wynagrodzeniami.

Antydemokratyczne tendencje? Trump już w czasie kampanii mówił wyborcom, że jeśli go wybiorą, „już nigdy nie będą musieli głosować”. Centralna rola państwa w gospodarce? W USA obecne są przecież cła, protekcjonizm kompensowany później zapowiedzianymi już bezpośrednimi transferami pieniężnymi i bonami, a administracja przejmuje udziały w kluczowych korporacjach, takich jak Intel.

Eksport rewolucji do innych krajów? Narodowa Strategia Bezpieczeństwa zapowiada wsparcie dla narodowych populistów w Europie i kultywowanie „patriotycznej opozycji” wobec Unii. MAGA to ruch jak najbardziej rewolucyjny, w starym, XX-wiecznym stylu. Co za tym idzie, radykalizuje się po każdym kolejnym kroku swojej ewolucji, wyrzucając ze swoich szeregów tych, którzy nie są zdolni do dalszej ideologicznej eskalacji.

Kilka miesięcy temu Ezra Klein, centrolewicowy publicysta „New York Timesa”, śmiał się w swoim programie, że Project 2025, stanowiący coś na kształt wyznania wiary MAGA, jest, patrząc z politycznego punktu widzenia, fatalny, ponieważ „koncentruje się na rzeczach tak absurdalnych, jak zakaz pornografii”. To oczywiście prawda – jeśli rozpatrywać ten ruch w kategoriach tradycyjnego, proceduralnego rozumowania polityki w państwie demokratycznym. Klein w pewnym sensie ma rację, bo na podstawie Project 2025 nie da się przeprowadzić kompleksowej reformy państwa. Tyle tylko, że w ruchu MAGA chodzi nie o żadną reformę, tylko o rewolucję. Czas zapiąć pasy, bo ta rewolucja już u nas jest. ●

eprasa.pl 828ea60232

KAZAŁ JEJ UKLĘKNĄĆ I STRZELIŁ W SKROŃ

To jedna z najlepszych i najważniejszych książek historycznych, jakie przeczytałem w ostatnich latach. Ale też jedna z najtrudniejszych w lekturze.

Jan Grabowski

Gdyby wagę książki oceniać ciężarem ludzkiego bólu i nieszczęścia, jakie w sobie niesie (a niby dlaczego nie?), to praca Karoliny Panz „Chciałabym opowiedzieć jak zginęło miasto... Zagłada żydowskich mieszkańców Nowego Targu" (Centrum Badań nad Zagładą Żydów, Warszawa, 2025) stanęłaby w pierwszym rzędzie międzynarodowej literatury historycznej.

Autorka wierna jest metodzie mikrohistorycznej, która w samym centrum uwagi stawia ludzi zamieszkujących dany obszar; to metoda, która kładzie nacisk na trajektorie ludzkich losów, a te często wychodzą poza granice badanego terenu. Wyzwaniem dla historyka hołdującego tej metodzie jest zejście do poziomu indywidualnego doświadczenia, prześledzenie losów jednostek, oparcie późniejszej analizy o historię zbiografizowaną, niejednokrotnie bardzo osobistą.

LUDZIE TACY JAK MY

Tego typu prace powstały najliczniej we Francji, gdzie zachowanie źródeł archiwalnych umożliwia w miarę dokładny opis trajektorii Żydów, którzy zginęli, oraz tych, którzy ocaleli z Zagłady. Warto tu wspomnieć o wpisujących się w tę metodologię klasycznych już badaniach Serge Klarsfelda czy nowszych pracach Claire Zalc, Nicolasa Mariot, Tala Bruttmana, Ivana Ermakoffa i innych badaczy średniego i młodszego pokolenia.

W Polsce najważniejszą publikacją tego rodzaju była wydana w 2018 roku praca zbiorowa „Dalej jest noc", której współautorką była Karolina Panz.

Skoro ludzie są najważniejsi, niech będzie mi wolno zacząć tę recenzję od końca książki, czyli tam, gdzie autorka umieściła listę nazwisk żydowskich mieszkańców Nowego Targu z lat wojny i Zagłady. To właśnie od takich list rodziny ocalałych i ofiar Zagłady zaczynają zazwyczaj lekturę. Na końcu listy autorka ujęła liczne plemię nowotarskich Zollmanów: jest ich tam siedemnaścioro: Izaak, Jentel, Maurcy, Lina, Henryk, Regina, Sala, Herman, Izaak, Regina, Gusta, Abraham, Salomea, Herman, Adolf, Cyla i Salomea. Obywatele Nowego Targu, ludzie ciężko pracujący, pełni nadziei, pełni obaw, wszyscy pragnący jak najlepszej przyszłości dla swoich dzieci i bliskich. Ludzie tacy jak my. Wszyscy zamordowani w Bełżcu, w Nowym Targu lub gdzieś indziej, w niewyjaśnionych okolicznościach.

Mikrohistoria ma to do siebie, że jest wrogiem anonimowości. Tak się składa, że żoną Abrahama Zollmana była Helena (Chaja) z domu Abrahamer, siostra mojego pradziadka. Miała szczęście; zmarła w Nowym Targu śmiercią własną w 1935 roku. Jej 74-letni mąż nie dostąpił tej łaski; został zamordowany wraz z większością swoich dzieci i wnuków siedem lat później w komorze gazowej Bełżca. Prawie wszyscy inni nowotarscy Żydzi podzieli los Zollmanów.

BOGATYCH W MIEŚCIE NIE BYŁO

Karolina Panz prowadzi nas za rękę tropem żydowskich losów, przez gąszcz dokumentów sądowych, administracyjnych, gminnych i wspólnotowych, przez świadectwa spisane przez ocalałych z Zagłady, przez relacje ustne i wywiady, pieczołowicie zgromadzone w ciągu przynajmniej kilkunastu lat, które poświęciła pracy nad książką. Każdego czytelnika uderzy gęstość zapisu opartego o źródła polskie, żydowskie i niemieckie.

Zawodowy historyk obok tego dostrzeże i doceni niesłychanie obszerną kwerendę archiwalną, na której wspiera się książka, dowód wizyt w izraelskich archiwach Yad Vashem, Lochame ha-Geta'ot (Bojowników Gett), w waszyngtońskim muzeum Holokaustu, w archiwum zbrodni niemieckich w Ludwigsburgu, nie wspominając już o wszystkich archiwach polskich, które Karolina Panz musiała metodycznie i dokładnie przeczesać w trakcie swoich wieloletnich poszukiwań.

Wróćmy jednak do lat międzywojennych, gdyż to tam autorka zaczyna swe obszerne wprowadzenie do historii zagłady żydowskiej społeczności Nowego Targu. Zollmanowie, Spirowie, Silbigerowie, Goldbergowie, Grassgrünowie i wiele innych żydowskich rodzin tworzyło w okresie międzywojennym prężną wspólnotę żydowską historycznej stolicy Podhala. Pierwszy spis powszechny po odzyskaniu niepodległości z 1921 roku wykazał w mieście 1342 osoby wyznania mojżeszowego, czyli 16,6 procent ogółu mieszkańców. Do końca II RP procent ten wzrastał. Była to społeczność bardzo zróżnicowana społecznie, politycznie i religijnie.

Choć z Nowego Targu wywodził się Leopold Trepper, późniejszy działacz komunistyczny, szpieg i szef słynnej „Czerwonej Orkiestry", to charakter wspólnocie żydowskiej nadawali przecież ludzie religijni, kupcy, handlarze, rzemieślnicy, członkowie partii syjonistycznych oraz bardzo liczni „sympatycy władzy", jak w latach trzydziestych XX wieku określano zwolenników BBWR. Choć nie brakowało wielu zamożniejszych rodzin, to – jak pisze Panz – „stałym elementem odtwarzanej przeze mnie rzeczywistości była dotkliwa i przerażająca bieda". Nędza, która uległa pogłębieniu w latach Wielkiego Kryzysu, który z gospodarką miasteczka obszedł się okrutnie. Prawdziwych bogaczy, patrycjuszy w pozbawionym przemysłu Nowym Targu po

eprasa.pl 828ea60232

prostu nie było – tak wśród Żydów, jak i wśród Polaków.

OBOK SIEBIE, LECZ ODDZIELNIE

Obie wspólnoty – polska i żydowska – żyły razem, „przy tych samych ulicach i podwórzach, w tych samych domach i kamienicach”. Ta pozorna fizyczna bliskość nie przekładała się jednak na poczucie wspólnoty: „jak gdyby ich światy stykały się, lecz nigdy nie przenikały” – pisze autorka.

W tym kontekście niezwykle wymowny jest cytat zapożyczony od Chany Grassgrün, jednej z nielicznych ocalałych z rzezi żydowskich mieszkanek Nowego Targu, który jest tytułem całej książki: „Chciałabym opowiedzieć jak zginęło miasto...”.

Nowy Targ, który zginął, nie miał wiele wspólnego z Nowym Targiem, w którym mieszkali jego polscy mieszkańcy i który z wojny wyszedł poraniony, lecz żywy. Obok siebie, lecz oddzielnie. Ilustruje to historia Róży Goldberg, w której zakochał się przebywający w Nowym Targu latem na obozie Sokoła Polak, chłopak z Poznania, który dla ukochanej gotów był nawet przejść na wiarę mojżeszową: „Ojciec konsultował tę sprawę z rabinem i ludźmi z nowotarskiej gminy żydowskiej i wszyscy absolutnie mu radzili, żeby skończyć tę aferę szybko i radykalnie, gdyż nie wchodzi w rachubę, żeby żydowska dziewczyna wyszła za mąż za goja, nawet jak chce on przejść na wiarę żydowską...” – cytuje autorka spisany w jidysz nowotarski Izkor-buch (księgę pamiątkową).

Lata trzydzieste przyniosły dramatyczne pogorszenie stosunków między Polakami a Żydami. Pikiety, bojkot handlu, pobicia, groźby, akcje ulotkowe – Nowy Targ niewiele różnił się pod tym względem od innych polskich miast i miasteczek, w których endecja i faszyzujący nacjonaliści zaczęli nadawać ton wzbierającej agresji wobec Żydów. Żydowskie źródła oraz polskie źródła urzędowe roją się od opisów rozlewającej się po Podhalu fali antysemickiej przemocy. Co ciekawe, jak pisze Karolina Panz, próżno szukać śladów tej przemocy w sporządzonych wiele lat po wojnie relacjach miejscowych Polaków. O tej autocenzurze warto przypomnieć historykom, którzy coraz częściej próbują dziś budować obraz stosunków polsko-żydowskich międzywojnia i wojny na podstawie tak ułomnej pamięci.

ARYZACJA I GETTOIZACJA

Wojna dotarła do położonego w pobliżu słowackiej granicy Nowego Targu prawie natychmiast, gdyż miasto wpadło w ręce Niemców już 1 września 1939 roku po południu. Kiedy niektórzy Żydzi uciekali na wschód, a inni do pobliskich lasów, w Gorce, niemieccy żołnierze zaczęli rabować opuszczone sklepy, a postępujący za wojskiem esesmani z Einsatzkommando 3/I przystąpili do aresztowań co znaczniejszych przedstawicieli żydowskiej elity.

Przed końcem września Niemcy przechrzcili Nowy Targ na Neumarkt i utworzyli nowy powiat, czyli Kreishauptmannschaft Neumarkt, na czele którego stanął starosta Viktor von Dewitz (a od 1941 do końca wojny – Hans Malsfey), a komisarycznym starostą miasta z niemieckiego nadania został Jan Stanek, Polak, przedwojenny działacz Obozu Zjednoczenia Narodowego. Sytuacja nowotarskich Żydów zaczęła się pogarszać z miesiąca na miesiąc: dzieci pozbawiono prawa do nauki, konta bankowe ich rodziców obłożono sekwestrem, a sklepy i warsztaty pracy zostały poddane „aryzacji”, w której ochoczo wzięła udział część polskich mieszkańców miasta. Niemcy ograniczyli i potem odebrali prawo do publicznego praktykowania religii żydowskiej, a w głównej nowotarskiej synagodze urządzili stajnię.

Akty przemocy, nędza oraz wyniszczająca praca przymusowa pod nadzorem policji niemieckiej i polskiej stały się chlebem powszednim dla Żydów z Naumarkt i okolic.

Jak już wiemy, nowotarscy Polacy i Żydzi żyli razem, nie było w mieście specjalnej strefy żydowskiej, którą można by łatwo przekształcić w getto. Tymczasem już w końcu 1940 roku niemiecki starosta zażądał utworzenia „żydowskiej dzielnicy mieszkaniowej” w stolicy Podhala. Jak wynika z dokumentów cytowanych przez autorkę, von Dewitz zażądał od polskiego burmistrza przedstawienia dokładnego planu, a Jan Stanek taki projekt przedstawił. Według planów polskiego burmistrza Żydzi mieli się przenieść w okolice, gdzie ich obecność powodowałaby jak najmniejsze problemy dla ludności polskiej, a już szczególnie nie oderwałaby miejscowych polskich rolników od ich gospodarstw.

Pisze Panz: „Burmistrz, broniąc mienia polskich rolników, nie brał pod uwagę konsekwencji, jakie niosłaby ze sobą realizacja jego planu dla tamtejszej społeczności żydowskiej”.

Naprawdę? Czy burmistrz komisaryczny małego w końcu miasteczka, z którego się wywodził, nie miał świadomości konsekwencji planu przygotowywanej przez siebie gettoizacji? Śmiem wątpić. Temat gettoizacji nowotarskich Żydów, dodajmy, że nieudanej, oraz roli, jaką odegrał w tym procesie Jan Stanek, można prześledzić, czytając równocześnie wydaną po niemiecku pracę Grzegorza Rossolińskiego-Liebe o polskich burmistrzach i ich miejscu w niemieckiej polityce wymordowania polskich Żydów. Stankowi Rossoliński-Liebe poświęcił sporo miejsca i wypowiada się o nim w sposób o wiele mniej zniuansowany.

ŚMIERĆ ZA FUTRO

Od końca 1941 roku terror wobec Żydów w Generalnej Guberni osiągnął nienotowane wcześniej poziomy. Było to zgodne z zatwierdzoną nieco wcześniej przez Berlin polityką nadchodzącej eksterminacji. W październiku 1941 roku ukazało się rozporządzenie Hansa Franka wprowadzające karę śmierci dla Żydów opuszczających getta bez opasek i pozwoleń. W grudniu wydano zarządzenie, według którego kara śmierci groziła Żydom, którzy odmówili oddania władzom ubrań futrzanych. W pierwszej połowie stycznia 1942 roku właśnie z tego paragrafu rozstrzelano w Makowie Podhalańskim oraz w Zakopanem kilku nowotarskich Żydów. Były to – pisze Karolina Panz – pierwsze mordy na lokalnych Żydach.

Już niebawem jednak morderstwa stały się częścią koszmarnej rzeczywistości, w której miejscowym Żydom przyszło walczyć o przetrwanie.

Kolejne rozdziały w książce poświęcone są samej eksterminacji, planowemu wymordowaniu wszystkich żydowskich obywateli Nowego Targu. Zaczęło się od „antykomunistycznej akcji kwietniowej” – tak gestapo nazwało mordowanie członków elit żydowskich w gettach na terenie Polski. Potem nastąpiły coraz częstsze egzekucje, w których mordowano pod różnymi pretekstami lub bez po kilka, kilkanaście, a niekiedy po kilkadziesiąt osób. Wiele lat po wojnie Herta Grünspan zeznała w Niemczech: „Widziałam na własne oczy, jak Szmidt kazał mojej ciotce uklęknąć na podwórzu, stanął z boku i z pistoletu, który trzymał w ręce, strzelił jej prosto w skroń... Schmidt wyprowadził dziadka na podwórze, gdzie leżała ciotka, kazał mu uklęknąć, i widziałam znowu, jak strzelił mu w głowę”.

To opisy, jakich wiele na stronach tej książki.

OGLĄDALI TYM ŻYDOM ZĘBY”

Właściwa akcja likwidacyjna nastąpiła 29 sierpnia 1942 roku. Do Nowego Targu zjechali się wszyscy: niemiecka i polska policja, Ukraińcy ze szkoły policyjnej w Rabce, gestapowcy z Zakopanego oraz polscy junacy z Baudienstu, którym zlecono kopać na cmentarzu żydowskim masowe groby. Przyjechał też pociąg towarowy z dwudziestoma wagonami, do których już niebawem zapędzono większość miejscowych Żydów. Przedtem była selekcja, trwały mordy na ulicach, a zaraz potem setki ludzi popędzono na cmentarz, na rozstrzelanie. Tam też skończyła Róża Goldberg, której ojciec tak niedawno nie chciał pozwolić na ślub z polskim chłopcem.

Selekcji dokonywali miejscowi gestapowcy, a chłopców i mężczyzn przeznaczonych do pracy w podhalańskich tartakach oddzielono od reszty skazanych na śmierć. „Oglądali tym Żydom zęby i ich brali” – zapisał w pamiętniku polski pracownik tartaku cytowany przez Panz. Mordom towarzyszył rabunek; jeszcze w czasie selekcji Niemcy domagali się składania u ich stóp wszelkich kosztowności i pieniędzy.

„Ten Żyd trzymał w ręku kapelusz, a on [Robert Weissman z zakopiańskiego gestapo] owinął »rajtpajczę« dookoła szyi tego Żyda i chodził z nim, jakby prowadził psa i śpiewał sobie pod nosem »Gold und Silber habe ich lieb...«”.

Kiedy na stacji ładowano Żydów do wagonów, innych rozstrzeliwano na cmentarzu. Wszystkiemu przypatrywali się junacy z Baudienstu oraz miejscowi – obficie cytowani przez autorkę. W pamięci miejscowych Polaków zachowały się tylko mordy, które niejako wychodziły poza przeciętną, jak na przykład śmierć 77-letniej Salomei Hammerschlag, która nie miała władzy w nogach. „Zapamiętałam, jak Niemcy ciągnęli ją laską założoną pod pachę w kierunku dołu [...] – zeznała pewna Polka wiele lat po wojnie. – Słyszałam, jak wtedy wołała: »Ja człowiek! Ja człowiek!«. Niemcy na ten jej krzyk nie zwracali uwagi i dalej ją ciągnęli, aż zastrzelili. Zastrzelili ją w dole, bo najpierw ją wrzucili do dołu, a potem oddali do niej strzały. Po strzałach widziałam, jak ów Niemiec, który ciągnął Hammerschlagową, obcierał sobie ręką czoło”.

Pociąg śmierci z Nowego Targu pojechał do Bełżca. „I tak zginęło polsko-żydowskie miasto Nowy Targ” – kończy rozdział Karolina Panz. Nie wszyscy jednak zginęli – na kartach kolejnych rozdziałów autorka próbuje odtworzyć losy tych Żydów, którzy przeżyli koszmar akcji likwidacyjnej, uciekli z miasta bądź pochowali się na miejscu. Praktycznie nikt z nich nie przeżył.

Kolejne dni, miesiące i lata to historia (głównie nieopowiedziana) denuncjacji, skrytobójczych mordów, wyrafinowanych i strasznych tortur na gestapo i kolejnych egzekucji na żydowskich cmentarzach Podhala. Jakakolwiek dokładniejsza relacja z lektury tej części tekstu przekracza siły tego recenzenta.

• Siedzą od lewej: Abraham Zollman, Helena z Abrahamerów Zollmanowa, ich syn Józef i córka Róża. Stoją od lewej: ich córka Mala, zięć Henryk Rosshändler i córka Sabina z Zollmanów Rosshändler. Rabka lub Kraków przed 1935 rokiem.
FOT. ARCHIWUM JANA GRABOWSKIEGO

A co z Polakami ratującymi Żydów? Co z polskimi Sprawiedliwymi? W książce Karoliny Panz jest i o nich, a rozdział im poświęcony mimo wieloletniej i tak dokładnej kwerendy liczy sobie dwie strony.

ZBRODNIARZ NA MONECIE

A potem nastąpiło wyzwolenie lub – żeby się odwołać do terminologii preferowanej przez polską badaczkę Bożenę Szeynok – nastąpił „koniec wojny”. Nowotarskich Żydów została garstka. Niedobitki wracające ze Słowacji czy z Rosji. Nie na długo, bo „koniec wojny” nie oznaczał końca mordów. Przedstawiciele polskiego zbrojnego podziemia lub ludzie zgoła niezrzeszeni mordowali powracających Żydów, a inni – jak choćby nauczyciel i ksiądz z Rabki – mobilizowali swoich uczniów w celu wymordowania żydowskich dzieci czekających w miejscowym sierocińcu na ewakuację z Polski.

Na koniec, 10 lutego 1946 roku, ludzie Józefa Kurasia „Ognia” zamordowali Dawida Grassgrüna, jednego z ostatnich nowotarskich Żydów. W pewien czas później zatrzymano Czesławę Polaczyk, narzeczoną „Ognia”, jak rozlepiała na jego polecenie ulotki dotyczące tej właśnie egzekucji. Karolina Panz przytacza te ulotki w całości, ja zacytuję za nią tylko jedną zwrotkę „wiersza”, który się na nich znalazł:

Dawid Grassgrün
Błogosławiony zginął śmiercią tragiczną od prawdziwych Polaków, którzy nie pozwolili dłużej ssać krwi polskiej parszywej pijawce. Oby Pan Bóg pozwolił jak najprędzej wytępić brudną i parszywą zarazę w Polsce...

Józef Kuraś „Ogień” dziś jest polskim bohaterem narodowym. W 2006 roku w Zakopanem prezydent Lech Kaczyński odsłonił poświęcony mu pomnik, a całkiem niedawno, w marcu 2023 roku, mennica państwowa wypuściła do obiegu dziesięciozłotową srebrną monetę z podobizną „Ognia”. Pod wizerunkiem widnieje napis: „Zachowali się, jak trzeba”. W Polsce zabijanie Żydów nie jest już najwyraźniej czymś, co należy bezwzględnie piętnować.

Od lat piszę, że Holokaust jest jedną z największych, jeżeli nie największą tragedią w historii Polski. Tragedią, która, niestety, nie weszła do kanonu polskiej historii. „To niemiecka i żydowska sprawa” – można wyczytać między wierszami lub zgoła w wierszach opracowań polskich historyków. Ten sam przekaz znajduje się w polskich muzeach i podręcznikach szkolnych: Zagłada to straszna rzecz, ale to nie nasza sprawa, to niemiecka i żydowska historia, a nasi ludzie nie mieli z tym nic wspólnego. Książka Karoliny Panz jest dowodem na to, że pisanie historii Zagłady jako fundamentalnie ważnej części naszej polskiej historii jest nie tylko możliwe, jest po prostu konieczne!

Można się tylko zastanawiać, ile innych Nowych Targów powinno doczekać się tak znakomicie udokumentowanej i tak świetnie napisanej pracy. Dziesiątki? Setki? ●

Karolina Panz

Chciałabym opowiedzieć jak zginęło miasto... Zagłada żydowskich mieszkańców Nowego Targu
Centrum Badań nad Zagładą Żydów, Warszawa, 2025

eprasa.pl 828ea60232

JAK WYGLĄDAŁA KORONA CHROBREGO

Żaden z trzech zestawów oryginalnych piastowskich insygniów koronacyjnych nie przetrwał do naszych czasów.

Przemysław Urbańczyk

W obchodzonej hucznie w minionym roku tysięcznej rocznicy koronacji Bolesława Chrobrego szczególnie boleśnie odczuwaliśmy brak jego królewskich insygniów użytych w 1025 roku. Nie tylko się nie zachowały, ale też zaginęły tak wcześnie, że zupełnie nie wiemy, jak wyglądały. Możemy tylko snuć uczone domysły, odwołując się do ikonografii i zagranicznych przykładów regaliów z tamtej epoki.

WĘGIERSKI ŚLAD

Pewną nadzieję oferuje legenda, wedle której korona przygotowana dla polskiego księcia dotarła do Rzymu w 1001 roku, ale papież Sylwester II wiedziony ponoć „głosem z niebios" nie zwrócił jej Polsce, lecz posłał na Węgry, gdzie użyto jej do koronacji Stefana I (997-1038). Jeżeli te pretensje miałyby coś wspólnego z prawdą, to przechowywaną dziś w budapeszteńskim Parlamencie Świętą Koronę (Szent Korona) można by uznać za pierwsze „polskie" insygnium władzy królewskiej, nawet jeśli ostatecznie nie została w Polsce użyta. Niestety, wbrew podtrzymywanej przez Węgrów długiej tradycji wiążącej tę koronę z ich pierwszym królem ta ich narodowa relikwia nie pochodzi z czasów Bolesława Chrobrego i Stefana Świętego, bo została wykonana kilkadziesiąt lat później.

Wiemy natomiast, że Chrobry, który zwodzony przez cesarzy niemieckich – Ottona III w 1000 roku i Henryka II w 1013 – długo czekał na swoją koronację, musiał mieć koronę przygotowaną na taką okazję. Dowodzi tego szybkość, z jaką wykorzystał śmierć w 1024 nieprzychylnego mu Henryka II i współpracującego z cesarzem papieża Benedykta VIII. Zanim te wiadomości do niego dotarły i zanim na nie zareagował, wysyłając do Rzymu poselstwo z koroną królewską, aby została tam pobłogosławiona, i zanim wróciła do Polski, musiało upłynąć co najmniej kilka miesięcy. Trudno, żeby w tak krótkim czasie zlecono i wykonano koronę godną władcy pretendującego do roli hegemona w Europie Środkowo-Wschodniej.

POLITYKA FAKTÓW DOKONANYCH

Trzeba więc przyjąć, że Bolesław nie czekał biernie ze sporządzeniem regaliów na ewentualną okazję polityczną, lecz miał już przygotowaną koronę, którą można było od razu wysłać do Rzymu.

Przygotowywanie się do spodziewanej już wcześniej koronacji zdają się potwierdzać wybite już przed 1017 rokiem srebrne monety opatrzone zniekształconą inskrypcją „Król Bolesław" (*REX BOLIZLAVUS*). Ich niewielka liczba, bardzo niestaranne wykonanie oraz fakt, że większość zachowanych egzemplarzy jest wybita jednostronnie, wskazuje, iż były to jakieś niezakończone próby warsztatowe. Może po wizycie w 1013 roku w Merseburgu, gdzie potraktowano go ponoć „zgodnie z jego królewską godnością", Chrobry wydał mennicy książęcej polecenie przygotowania wzoru monet „królewskich"?

Jako że spodziewana koronacja jednak wtedy nie nastąpiła, to prace wstrzymano już na wstępnym etapie, aby nie prowokować wrogich reakcji. Oficjalna emisja takich nominałów byłaby bowiem jawnym nadużyciem tytułu, który formalnie Chrobremu nie przysługiwał. A po właściwej koronacji w 1025 roku przygotowane kilka lat wcześniej stemple zaginęły albo Chrobry zmarł tak szybko po swojej koronacji, że już nie zdążono uruchomić produkcji stosownych monet.

Jego koronę kilka miesięcy później włożono też na głowę jego syna Mieszka II Lamberta. Tempo obu koronacji było jak na tamte czasy tak duże, że u zaskoczonych tymi wydarzeniami komentatorów niemieckich wywołały istną furię. Bolesławowi zarzucono uzurpację nieskonsultowaną z władcą imperium

• **Portret Bolesława Chrobrego autorstwa Marcello Bacciarellego, datowany na lata 1768–1771. Artysta namalował pierwszego polskiego króla w koronie, która zapewne byłą tą, którą wykonano dla Władysława Łokietka** FOT. ZE ZBIORÓW ZAMKU KRÓLEWSKIEGO W WARSZAWIE

eprasa.pl 828ea60232

niemiecko-italskiego Konradem II, a Mieszka II nazwano wręcz „antychrystem” i „mordercą”. Nie można było jednak podważyć legalności tych koronacji, które przeprowadzono, zachowując wszystkie wymogi formalne.

ZAGINIONE REGALIA

Niestety, nie wiemy, jak wyglądała ta pierwsza polska korona, bo podzieliła tragiczny los drugiego z naszych królów. Początkowo Mieszko II był jeszcze na tyle silny, że zdołał wypędzić z Polski obu knujących przeciw niemu braci – Bezpryma i Ottona. Ci jednak natychmiast sprzymierzyli się z sąsiadami Polski, którzy tylko czekali na pretekst, aby pomścić klęski, jakie zadał im Bolesław Chrobry. Zaatakowany z dwóch stron przez wojska cesarskie i przez armię ruską Mieszko II w 1031 roku uciekł do sąsiednich Czech. Tam został uwięziony i wykastrowany przez swojego kuzyna, praskiego księcia Oldricha/Udalryka, który w ten sposób zemścił się za to, że Chrobry w 1003 roku uwięził i oślepił jego starszego brata Boleslava III.

Żona Mieszka II Rycheza uznała, że razem z synem Kazimierzem (późniejszym Odnowicielem) będzie bezpieczniejsza w rodzinnym cesarstwie. Wyjeżdżając, zabrała ze sobą piastowskie regalia i wedle „Kroniki klasztoru Brauweiler” cesarz Konrad II „otrzymał od niej dwie korony, jej własną i małżonka króla [Mieszka II]”. Natomiast według „Roczników hildesheimskich” to „Bezprym przesłał cesarzowi koronę wraz z innymi insygniami królewskimi, które brat jego niesłusznie sobie przywłaszczył”. W każdym razie korona Chrobrego trafiła do cesarstwa i już nigdy stamtąd nie wróciła.

Upokorzony Mieszko II zrzekł się swojego królewskiego tytułu, kiedy w 1033 pozwolono mu wrócić do Polski – już tylko w funkcji jednego z jej trzech administratorów w pełni uzależnionych od cesarskiej łaski. Korona nie była więc już potrzebna i pierwsze polskie regalia zaginęły w nieustalonych okolicznościach – zapewne zostały przetopione. Nie zachował się też żaden ich opis ani wiarygodny wizerunek.

KWADRATOWA KORONA

Nie zmienia tego wykonana w czasie rządów Mieszka II kolorowa miniatura dołączona do listu, którym lotaryńska księżna Matylda Szwabska przekazywała polskiemu królowi cenną księgę liturgiczną – „Kodeks Matyldy” przechowywany dziś w bibliotece uniwersyteckiej w Düsseldorfie. Oryginał tego obrazka wprawdzie zaginął, ale mamy jego kopię wykonaną ponad dwieście lat temu. Widzimy na nim księżnę wręczającą swój dar siedzącemu na tronie wyposażonemu w koronę i berło królowi jednoznacznie zidentyfikowanemu jako Misico/Mieszko.

Wykorzystanie tego wizerunku z epoki do rekonstrukcji pierwszych piastowskich regaliów wykluczają jednak okoliczności powstania tego „portretu”. Został on bowiem sporządzony zapewne w dalekiej Lotaryngii, gdzie nikt Mieszka II nigdy nie widział. Jest to zatem tylko artystyczna wizja tego, jak artysta wyobrażał sobie władcę z początku drugiego tysiąclecia.

Potwierdza to specyficzna kwadratowa korona. Przegląd zabytków z epoki wskazuje, że mamy tu do czynienia nie tyle z realizmem portretowym, ile z obowiązującą w cesarstwie na przełomie tysiącleci manierą portretowania władców. Najwyraźniej autor wykorzystał w swoim dziele znane sobie wizerunki cesarzy, niezbyt udolnie przejmując kanon prezentacji ówczesnych monarchów. Stałymi elementami cesarskich portretów były właśnie charakterystyczne kwadratowe korony, które znajdziemy na majestatycznych wizerunkach cesarzy: Ottona II, Ottona III i Henryka II, którzy rządzili w czasach księżnej Matyldy.

Późnym echem tej maniery przedstawiania koron jest wizerunek pierwszego czeskiego króla Vratislava II z fresku w Rotundzie św. Katarzyny w Znojmie. Podobieństwo jego kwadratowej korony do korony Mieszka II zwiodło czeskich badaczy, którzy, wierząc w realizm monarszych wizerunków, uznali, że Vratislava II ukoronowano w 1085 roku koroną piastowską przechowywaną do tego czasu w Niemczech i przysłaną mu do Pragi przez cesarza Henryka IV.

Nie ma tu miejsca na rozważania pochodzenia specyficznego kształtu tych wszystkich wizerunków koron, ale niewątpliwie mamy tu do czynienia z mitem ikonograficznym, który rozprzestrzeniał się po Europie. W rzeczywistości nie istniała bowiem żadna historyczna kwadratowa korona cesarzy niemieckich. Przechowywana w wiedeńskim skarbcu Korona Rzeszy (Reichskrone), wykonana w czasie rządów Konrada II (1024-1039), ma kształt ośmioboczny (oktogonalny), a nie kwadratowy.

• **Korona podróżna przypisywana Kazimierzowi Wielkiemu, wykopana w 1910 roku w Sandomierzu** FOT. JAROSŁAW KUBALSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

• **Wizerunek króla Wacława II w Codex Manesse i Mieszka II w kwadratowej koronie, w tzw. Kodeksie Matyldy** FOT. DOMENA PUBLICZNA (2)

SKĄD TE LILIE NA GŁOWIE?

Kolejny wizerunek pierwszej piastowskiej korony znajdziemy na XVI kwaterze Drzwi Gnieźnieńskich wykonanych w drugiej połowie XII wieku. Przedstawia ona Bolesława Chrobrego w trakcie wykupywania od Prusów ciała św. Wojciecha-Adalberta w 997 roku. Przedstawiono go tam w koronie o słabo zarysowanym kształcie. Trochę dokładniej pokazano korony cesarza Ottona II (kwatera V) i czeskiego księcia Boleslava II (kwatera VIII), ale i one pozbawione są szczegółów diagnostycznych. Widać, że projektant tych drzwi nie miał pojęcia, jak wyglądały, i tylko je zamarkował, aby należnie podkreślić majestat trzech władców. Zresztą, pracując dopiero w drugiej połowie XII wieku w odległej Francji, nie mógł przecież znać żadnych szczegółów dotyczących Europy Środkowej z początku XI stulecia.

Po wywiezieniu w 1031 pierwszych polskich insygniów przez królową Rychezę trzeba było przygotować nowe na koronację Bolesława II Szczodrego w 1076 roku. One też się nie zachowały, chociaż przetrwały trudny okres rozbicia dzielnicowego i zostały jeszcze użyte do koronacji Przemysła II w 1295 roku, a w 1300 również Wacława II Czeskiego, który później wywiózł polskie regalia do Pragi.

Z tamtejszego skarbca miały być kilka lat później wykradzione przez zdetronizowanego Henryka Karynckiego. Ich dalsze losy pozostają nieznane i również ten drugi zestaw polskich insygniów koronacyjnych zniknął na zawsze.

Zachowało się jednak kilka wizerunków z epoki, na których przedstawiono korony obu władców. Z czasów Przemysła II znajdziemy je na awersie jego denara koronnego i na słabo zachowanej pieczęci majestatycznej.

Dużo lepiej zachowała się pieczęć majestatyczna króla Wacława II Czeskiego. Jest też jego wykonany na początku XIV wieku portret umieszczony w jednej z ksiąg, „Codex Manese”.

Wszystkie te wizerunki są schematyczne, ale zgodne ze sobą w sposobach przedstawienia koron królewskich. Jednak i w tym przypadku mamy do czynienia raczej z symbolicznymi reprezentacjami najważniejszego insygnium władzy królewskiej, a nie z realistycznymi przedstawieniami korony Bolesława II Szczodrego rzeczywiście używanej przez tych dwóch władców. Potwierdzenie tego podejrzenia znajdziemy na majestatycznej pieczęci piastowskiej żony Wacława II Ryksy Elżbiety, która w 1303 została w Pradze ukoronowana na królową Czech i Polski.

Wszystkie te wizerunki ukazują identyczne korony obręczowe zwieńczone czterema rozchylonymi na zewnątrz liliami heraldycznymi. Ma ona więc kształt, jakiego raczej nie mogła mieć korona wykonana w drugiej połowie XI wieku dla Bolesława II Szczodrego.

Uzasadnienie podejrzenia, że mamy tu do czynienia tylko z modną wówczas manierą stylistyczną, możemy znaleźć na wawelskiej płycie nagrobnej króla Władysława Łokietka przedstawionego tam z takim samym typem korony.

A przecież wiadomo, że na jego koronację w 1320 roku sporządzono zupełnie nowe regalia, których później przez kilkaset lat używano do koronowania kolejnych władców Polski – z wyjątkiem Stanisława Leszczyńskiego i Augusta II Sasa. Z jakiegoś powodu tej nowej korony nie dostrzeżemy również na wspaniałym grobowcu Kazimierza Wielkiego, chociaż jego wawelską płytę nagrobną wykonano przecież wkrótce po śmierci króla w 1370 roku, a więc w czasie, kiedy jeszcze go dobrze pamiętano.

Jest to wizerunek rzeźbiarski obfitujący w liczne szczegóły, łącznie z precyzyjnie oddaną koroną, która jest produktem wyobraźni artysty. Wiemy przecież, jak wyglądała korona przygotowana dla Władysława Łokietka, bo namalował ją nadworny malarz króla Stanisława Augusta Poniatowskiego Marcello Bacciarelli, który z pewnością znał ją z autopsji. Używano jej w obrzędach koronacyjnych od 1320 roku, ale malarz nałożył ją Bolesławowi Chrobremu.

KORONY Z MIEDZIANEJ BLACHY

Jej historia też była burzliwa, bo wraz z innym insygniami monarszymi wywiózł ją z Polski król Ludwik Węgierski po swojej koronacji w 1370 roku. Dopiero w 1412 odzyskał je Władysław Jagiełło, który uroczyście złożył je w skarbcu wawelskim. Już wtedy Jan Długosz był przekonany, że była to korona, którą cesarz Otto III ukoronował rzekomo podczas zjazdu gnieźnieńskiego w 1000 roku naszego pierwszego króla. Po kilkuset latach wszyscy już wierzyli, że pierwotnie należała właśnie do niego, dlatego powszechnie nazywano ją Koroną Bolesława Chrobrego. To w niej sportretował go nadworny malarz Stanisława Augusta Poniatowskiego Marcello Bacciarelli.

Jej tanim uproszczeniem jest miedziana korona grobowa wydobyta w 1869 roku z wawelskiego sarkofagu Kazimierza Wielkiego. Jest to gotycki typ korony obręczowej zwieńczonej pięcioma liliami heraldycznymi.

Z blachy miedzianej wycięto też bardzo podobną składaną czterosegmentową Koronę Sandomierską. Podobieństwo do korony wyjętej z sarkofagu sprawiło, że uważa się ją za koronę podróżną/hełmową Kazimierza Wielkiego.

Jan Matejko, który uczestniczył w otwieraniu sarkofagu Kazimierza Wielkiego, też wierzył w legendę Korony Bolesława Chrobrego i na podstawie korony grobowej stworzył swoją uproszczoną wersję umieszczoną na słynnym portrecie pierwszego z naszych królów.

Ta trzecia już korona piastowska też się nie zachowała do naszych czasów, bo w nocy z 3 na 4 października 1795 roku okupujący Kraków Prusacy opróżnili wawelski skarbiec, wywożąc jego zawartość do Berlina. W 1809 król pruski Fryderyk Wilhelm III kazał przetopić polskie regalia królewskie.

Długi ciąg nieszczęśliwych przypadków sprawił więc, że nie mamy ani jednej autentycznej korony królewskiej i, co dziwne, przez ponad dwieście lat nikt (?) nie próbował skopiować korony łokietkowej, której kształt jest przecież dość dobrze znany. Zadowalaliśmy się dwiema autentycznymi, lecz przecież taniutkimi kopiami z czasów Kazimierza Wielkiego. Dopiero w 2003 roku nowosądecki antykwariusz wykonał stosowną replikę, wzorując się na XVIII-wiecznych szkicach Krzysztofa Józefa Wernera i obrazie Marcella Bacciarellego.

Podobno ma to związek z planami niszowego ruchu monarchistycznego. Na wszelki wypadek ta korona trzymana jest w ukryciu, zapewne czekając na przyszłą intronizację nowego króla Polski. ●

eprasa.pl 828ea60232

• **Uczestnicy V Dyktanda Krakowskiego, piszą test w Auditorium Maximum Uniwersytetu Jagiellońskiego, 16 marca 2019 roku**
FOT. JAKUB PORZYCKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

AWANTURY O ORTOGRAFIĘ

Niedługo po elementarzu uczono mnie pisać „waryat", w szkole średniej „warjat", natomiast innych sam uczyłem pisowni „wariat" –pisał prof. Jan Tokarski, językoznawca. Jego pokolenie nie mogło narzekać w XX wieku na brak reform polskiej pisowni.

Dariusz Barański

Ostatnio nie mieliśmy aż tylu zmian pisowni. Ta, która weszła w życie 1 stycznia, jest największa od 1936 roku. Przyjrzyjmy się więc, jak dotychczas zmieniała się nasza ortografia, czyli jak dobrnęliśmy do obecnej pisowni.

NADMIAR POLSKICH DŹWIĘKÓW

Nie byłoby problemu, gdyby język polski był jak łaciński z którego przejęliśmy alfabet. Jednak ten składał się z 23 liter, a średniowieczna polszczyzna potrzebowała 45 liter, aby oddać swoje fonetyczne zróżnicowanie.

Jeden łaciński znak „pracował" więc często na kilku etatach: oddawał dwie, trzy, a czasem nawet cztery polskie głoski. Przede wszystkim nie było wiadomo, jak zapisywać nosowe „ą" lub „ę". Problem sprawiał też zapis głosek miękkich, których łacina nie miała. Skryptorzy zapisywali więc to, co im w duszy, a raczej w uszach, grało, dostosowując znaki łacińskie do naszych dźwięków. A że znaków brakowało, to na przykład s obsługiwało aż sześć różnych polskich głosek, żeby zapisać „ą" czy „ę" używano różnych połączeń – „an", „am", „en", „em".

Aleksander Brückner nazwie to później nie tyle ortografią, co „kakografią". Jeszcze w XV wieku samogłoski nosowe zapisywano na kilkanaście sposobów i nierzadko wyłącznie kopiści znali znaczenie tych zapisów. Do dzisiaj językoznawcy nie potrafią jednoznacznie odczytać niektórych z nich.

Problemy z pisownią miał też zapewne autor „Księgi henrykowskiej" z 1270 roku, gdzie w łacińskim tekście znalazło się pierwsze zdanie w języku polskim: „Day ut ia pobrusa a ti poziwai". Nie wspominając już o piętnastowiecznym tłumaczu, któremu zawdzięczmy Biblię Królowej Zofii, najstarsze polskie tłumaczenie Starego Testamentu. „Na poczótcze bog stworzyl nyebo y szemyó, alye szemya bila nyeuszyteczna a proszna". Zrozumieliście?

TRAKTAT JAKUBA PARKOSZOWICA

Nie było jeszcze w tym alfabecie znaków diakrytycznych, czyli kresek, ogonków, daszków nad literami, które w czeskim wprowadził już Jan Hus. Nie wypadało przecież naśladować heretyka.

W 1440 r. swój traktat ortograficzny wydał kanonik Jakub Parkoszowic, profesor i rektor Akademii Krakowskiej. Użył w nim słowa „obiecado", które w XV wieku znaczyło „abecadło" i „elementarz". Zasady proponowane przez Parkoszowica się nie przyjęły. Wraz z rozpowszechnianiem druku nieuchronnie zbliżała się era ogonków, kropek i kresek. Jego „obiecado" jest jednak pierwszym zachowanym dokumentem normalizującym polską ortografię. Tym ważniejszym, że przyjęcie chrześcijaństwa i łacińskiego alfabetu, owszem włączyło nas w zasięg wpływów Zachodu, ale dominująca łacina opóźniła rozwój języka polskiego o jakieś kilkaset lat.

DRUKARZE USTALAJĄ PISOWNIĘ

Na początku XVI w. zaczęła się ortograficzno-edytorska rewolucja, do której przyczynili się drukarze. Dążyli bowiem do ujednolicenia pisowni i pozbycia się wieloznaków – po to, by umieścić więcej tekstu na zadrukowanej stronie.

Gdy poprawiali pisownię, przypisywali konkretne znaki do każdej z liter. Odtąd „s" było dla głoski „s", „ś" – dla „ś", „ć" – dla „ć" itd., pozostały natomiast niektóre dwuznaki, jak cz lub sz. Drukarze zaczęli też odróżniać w piśmie ł od l, powoli wprowadzali małe i wielkie litery oraz elementy interpunkcji.

Wiele z tych nowości zebrał ks. Stanisław Zaborowski, profesor Uniwersytetu Krakowskiego (założony w XIV wieku, jeden z najstarszych uniwersytetów na świecie) w napisanym po łacinie dziele „Ortografia, czyli sposób właściwego pisania w języku polskim bardzo użyteczny" (1512 lub 1513). Było ono tak popularne i tyle razy wznawiane, że jego nakład przebiły dopiero zasady ortografii wydane przez Polską Akademię Umiejętności po 1918 roku. To właśnie prof. Zaborowski wprowadził znaki diakrytyczne i jemu zawdzięczamy na przykład litery „ż" i „ł".

• **„Ortographia" księdza Stanisława Zaborowskiego, wydanie z 1518 roku**
FOT. ZBIORY BIBLIOTEKI NARODOWEJ

Większość jego zaleceń jednak odrzucono, ponieważ było ich zbyt dużo, w dodatku były zbyt nowatorskie. Zrezygnował z i zmiękczającego spółgłoskę, a zamiast tego proponował podwójną kropkę nad literami. Drukarze nie chcieli drukować takich wyrazów. Udało się jednak wypracować pewien kompromis.

Ą Ę

W 1551 roku młody pisarz Stanisław Murzynowski dołączył „Ortographię polską" do swojego tłumaczenia Nowego Testamentu (pierwszy przekład na język polski). Nawoływał w niej między innymi do normowania ortografii: „W każdym piśmie wiele na tym należy, aby każde słowo było czytano i pisano nie jako tako, ale pewnym obyczajem".

Podał też 51 liter z przykładami użycia i wiele z nich w obecnym kształcie obowiązuje do dziś. A to dlatego, że umiejętnie rozwiązał większość problemów ortograficznych, poprzez użycie „ą", „ę" dla samogłosek nosowych, „i" – na oznaczanie miękkości spółgłosek przed samogłoskami oraz odróżnienie „i" od „y".

Kolejne lata i stulecia przyniosły stopniowe normowanie pisowni, choć nadal będą się zdarzać propozycje stawiające ją na głowie. Grzegorz Knapski (Knapiusz) twierdził przecież, że powinno się pisać, tak jak się mówi, czyli: „lucki" zamiast „ludzki", „porażka" lub „poraszka", ślachcić obok szlachcic.

OŚWIECENIOWE PORZĄDKI

W 1778 roku ks. Onufry Kopczyński w „Gramatyce dla szkół narodowych" poruszył problem powszechnych błędów i braku przepisów ortograficznych. Niedługo później zaczęły się pierwsze próby instytucjonalnego reformowania ortografii – zajęła się tym powołana w 1814 roku „Deputacyja do ułożenia stałych ortografii zasad".

1 RP

eprasa.pl 828ea60232

Dopiero jednak w 1830 roku Towarzystwo Przyjaciół Nauk ogłosiło „Rozprawy i wnioski o ortografii polskiej”. Zaproponowało m.in.: usunięcie „a” kreskowanego – „á”, wprowadzenie joty, utrzymanie pisowni „-ya”, „-ia” w wyrazach obcych – „Marya”, „Julia”, pisownię „ge” zamiast „gie”, „środa” i „źródło” zamiast „śrzoda”, „źrzódło”. Dyskusję nad tymi propozycjami przerwało jednak powstanie listopadowe.

AWANTURA O „J”

Kiedy poeta Alojzy Feliński opublikował w 1816 roku książkę „Przyczyny używanej przeze mnie pisowni” na nowo rozgorzał spór o jotę. Feliński uznał bowiem, że należy pisać „kraj”, „jajko”, „moje”, a nie jak dotychczas „kray”, „iayko”, „moie”. Czyli należy stawiać j tam, gdzie stosowano i lub y, przed samogłoską, spółgłoską i na końcu wyrazu.

Polihistor Jan Śniadecki określił jednak jotę „podrzuconem dzieckiem zarazy i zepsucia” i „bękartem gdańskim”, bo miała pochodzić z „Biblii gdańskiej”. Żądał powołania w tej sprawie „policyi literackiej”. Jego adwersarzem był Joachim Lelewel, historyk, poliglota i slawista, który używał tego znaku już od kilku lat.

Spór powrócił, gdy rozpoczęła się dyskusja nad ujednoliceniem polskiej pisowni z różnych zaborów, a zwolennicy i przeciwnicy joty wywodzili się z różnych dzielnic kraju. Po zjeździe, który odbył się we Lwowie w 1906 r., warszawska prasa ogłosiła „bezkrwawe zwycięstwo odniesione nad sędziwym ygrekiem przez młodocianą jotę”. Z kolei Artur Passendorfer, dyrektor Wyższej Szkoły Realnej we Lwowie komentował: „To już chyba nie bigos ortograficzny, ale istna orgia. Oto są owoce tak szumnie zachwalanej pisowni warszawskiej”.

Bo faktycznie był to spór warszawsko-krakowski.

„NA CZAS” CZY „NACZAS”

Warszawska i krakowska szkoła pisowni polskiej wykształciły się w drugiej połowie XIX wieku. Dokonania pierwszej dokumentuje tzw. Słownik warszawski, czyli „Słownik języka polskiego” Adama Kryńskiego, Jana Karłowicza i Władysława Niedźwiedzkiego.

Zwolennicy tej szkoły proponowali pisownię typu: „gieneral”, „gieografia”, „kielner”, „być”, „piec”, „móc”, „zjadłszy”. Takie formy powszechne były zwłaszcza w Królestwie Polskim.

Krakowska szkoła propagowana była w publicznej oświacie galicyjskiej. W 1891 roku uchwalono tam nowe reguły ortograficzne, według których należało pisać: „módz”, „biedz”, „zjadszy” zamiast „zjadłszy”, „geograf” zamiast „gieograf”, a także „Francya”, „Anglya”.

Gdy w 1916 roku normowaniem ortografii zajęła się Polska Akademia Umiejętności i rozesłała swoje propozycje do językoznawców i instytucji w trzech zaborach, okazało się, jak wiele mamy poglądów na ortografię.

Po burzliwych dyskusjach, dopiero w czerwcu 1918 roku, Akademia przyjęła „Główne zasady pisowni”. Jednak zmiany wywołały silny opór – sprzeciwiło się im nie tylko wielu językoznawców, bojkotowała je też prasa. Pięć lat po uchwaleniu nowych zasad, tylko 1,5 proc. dzienników przestrzegało ortografii z 1918, a większość pism mieszała stare i nowe zasady. Nie były one idealne: brakowało im spójności, wiele kwestii pozostało nierozstrzygniętych.

Głośny był spór o łączną i rozłączną pisownię przyimków. Najpierw przyjęto zasady opracowane przez prof. Jana Łosia, czyli pisownię: „na czas”, „na czasie”, „na czczo”, „na czele”, „na darmo”, „na pewno”, „nie do pojęcia”, „nie do wiary”, „nie do wytrzymania”, „z powodu”, itp.

Jednak prof. Kazimierz Nitsch forsował pisownię łączną: „naczas”, „naczasie”, „naczczo”, „naczele”, „nadarmo”, „napewno”, „niedowiary”, „spowodu”, „spowrotem”, „sczasem”.

Tę rozbieżność zdań obu autorytetów językowych komentowano wówczas „Jeden do Łosia, drugi Donitscha”.

REFORMY NACZYCH CZASÓW

Na kolejną reformę trzeba było poczekać do 1936 roku. Efekt dwuletniej pracy Komitetu Ortograficznego Polskiej Akademii Umiejętności to kilkadziesiąt stron maszynopisu. Wreszcie ustalona zostaje pisownia i oraz j w wyrazach, takich jak „Maria”, „Francja”, „pasja”. Za poprawne uznaje się końcówki „-ym” i „-ymi” – „grzecznym dzieckiem”, „pięknymi kobietami” zamiast „-em”. A niegdyś między Warszawą a Krakowem gorąco się o nie spierano. Do dziś pozostały po tym sporze pewne krakowskie wyjątki, jak „w Zakopanem” czy „o Lindem”.

Zamieniono też „ruż” na „róż”, „pasożyt” asekurancko na „pasożyt”, mimo że „pasożyt” pasie się na „rzyci”, czyli tyłku. I wprowadzono sporo innych norm, które przez kolejne dziesięciolecia były podstawą współczesnej polskiej pisowni.

W 1956 roku, kolejne zmiany wprowadzili językoznawcy z Polska Akademia Nauk. Miało to być „uzupełnienie” i „uściślenie” zasad z 1936, a skończyło się na 75 zmianach, m.in.: wprowadzeniu pisowni wielką literą tylko drugiego członu nazw ulic i placów, np. „plac Konstytucji” (od 1 stycznia piszemy „Plac Konstytucji”). Zmiany i tym razem spotkały się z krytyką.

Kolejna próba, z 1963 roku, spaliła na panewce, a cały nakład zasad „Pisowni polskiej” wycofano z drukarni, bowiem sprzeciwiło im się Ministerstwo Oświaty. Później również wprowadzano rozmaite poprawki, np. w 1971 roku PAN nakazała spolszczyć pisownię wyrazów obcego pochodzenia, czyli „bigbit” a nie „big-beat”, „czempion” zamiast „champion”, a zgodnie z inną zmianą w modzie były „minispódniczki” a nie „mini-spódniczki”.

W 1996 roku powstała już Rada Języka Polskiego, która właśnie teraz, trzy dekady później, wprowadza kolejną dużą reformę pisowni. ●

Źródła: Maciej Malinowski „Ortografia polska od połowy XVIII wieku do współczesności. Kodyfikacja, reformy, recepcja”, Katowice 2011; Tomasz Lisowski, „Pisownia polska. Główne fazy rozwoju” [w:] „Kwartalnik Językoznawczy”, nr 3-4, 2010; Edward Polański, „Historia ortografii polskiej argumentem za potrzebą reformowania współczesnej pisowni”, Z Teorii i Praktyki Dydaktycznej Języka Polskiego (T. 20, 2009); Zygmunt Saloni, „O kodyfikacji polskiej ortografii – historia i współczesność” [w:] „Nauka”, nr 4, 2005; Zenon Klemensiewicz, „Historia języka polskiego”, Warszawa, 2015.

Jan Śniadecki określił jotę „podrzuconem dzieckiem zarazy i zepsucia” i „bękartem gdańskim”, bo miała pochodzić z „Biblii gdańskiej”

Stare dobre czasy

Szesnaście pozycji

Benedyktynów w XVI wieku bulwersował zalew erotycznych rycin, które można było kupić za grosze.

Brzezińska

Skandal z Grokiem rozbierającym na prawo i lewo nie jest niczym bezprecedensowym, bo nowe technologie i dawniej kusiły do przekraczania granic. W XV wieku taką nową technologią była prasa drukarska, która dotarła do Włoch około 1456 roku. Miejscowi nieprędko nabrali zaufania do tego dziwacznego wynalazku. Jeszcze na przełomie 1473 i 1474 roku pewien kopista manuskryptów, benedyktyn z klasztoru w Murano, Filippo da Strata, lamentował, że ten bezwstydny druk jest abominacją i źródłem większości współczesnych grzechów. Drukarzy należy powściągnąć, apelował do weneckiego doży. Wkładają Owidiusza w ręce młodych dziewcząt, które w ten sposób poznają grzechy. Na dodatek te ich produkcje są nikczemnie tanie.

Filippo da Strata miał wiele racji. Włosi bowiem, kiedy już się przekonali do druku, szybko rozwinęli nową gałąź rynku – erotyczne ryciny. Oczywiście wcześniej obrazki z roznegliżowanymi bohaterami również krążyły, lecz raczej wśród uprzywilejowanych elit posiadających środki, by wynająć iluminatora czy malarza, który stworzy dla nich na marginesach kodeksu komiks o przygodach grzesznej mniszki albo malowidło z Zuzanną, rozrzutnie eksponującą wdzięki w kąpieli.

Druk, można rzec, zdemokratyzował erotykę. Raptem miedzioryt z goluśką Zuzanną czy Wenus zabawiającą się z Marsem pod nieobecność Wulkana, na dodatek odwzorowane z dzieł wybitnych artystów, można było kupić za grosze na każdym straganie. Co wyjątkowo zabawne, część tych rycin obrazowała zgubne skutki upadku moralnego, przedstawiając go ze wszystkimi niezbędnymi szczegółami. Gwoli przestrogi, naturalnie. Moraliści lamentowali, księża nakładali pokuty, ale ponura prawda jest taka, że te druki rozchodziły się jak świeże bułeczki. Nawet pielgrzymi przybywający do Rzymu z radością kupowali je jako pamiątki zamiast obrazków z Agnus Dei, Barankiem Bożym.

Pierwszą z tych niesławnych rzymskich pamiątek były „I modi”, czyli „Pozycje”, 16 rysunków kopulujących par wykonanych przez Giulia Romano, ucznia Rafaela. W 1524 roku Romano przekazał je Marcantonio Raimondiemu, właścicielowi największego rzymskiego sklepu z drukami, ten zaś zaczął je masowo powielać, a niebawem inni drukarze entuzjastycznie się do niego przyłączyli i zarobili majątek na pirackich kopiach.

„I modi” wywołały ogromny skandal, rysunki ocenzurowano, a Raimondi trafił do więzienia. Z tej pierwszej serii nie zachował się ani jeden egzemplarz, lecz druga seria, opatrzona sonetami Pietra Aretina również potężnie wzburzyła władzę i rzeczywiście niewiele pozostawiała wyobraźni.

Romano doczekał się fali naśladownictw i zainspirował masę różnych dzieł, od kolejnych rycin po przedmioty codziennego użytku, na przykład naczynia z majoliki. Sam gatunek doczekał się żarliwych obrońców. Pietro Aretino, skądinąd również twórca nader swobodnych dialogów erotycznych, argumentował, że poeci i rzeźbiarze, antyczni i współcześni, od zawsze tworzą lubieżne dzieła dla uciechy umysłów, dlaczego więc odmawiać oczom tego, co je raduje najbardziej, czyli widoku mężczyzny dosiadającego kobiety? Trzeba jednak zaznaczyć, że nie stawał jedynie bezinteresownie w obronie wolności twórczej, tylko przy okazji bronił własnych zysków, a był jednym z pierwszych literatów utrzymujących się z pióra.

Bette Talvacchia, historyczka sztuki i badaczka zajmująca się „I modi”, uważa, że oburzenia nie budziły same rysunki, tylko ich kontekst. Władze usiłowały powściągnąć nie tyle wyobraźnię twórców, ile niekontrolowany obrót rycinami, bez ogródek przedstawiającymi penetrację. Jak pisał w początkach XVII wieku Giulio Mancini, kolekcjoner i teoretyk sztuki, lubieżne przedmioty można umieszczać w prywatnych pokojach i są one odpowiednie dla par małżeńskich, gdyż ich widok pomaga spłodzić piękne, zdrowe i silne dzieci.

Sankcje odniosły skutek i kolejne serie erotycznych rycin nie były już tak śmiałe, jak „I modi”, a ich twórcy nauczyli się ubierać erotykę w klasyczny kostium. Antyczni bogowie miewali fascynujące przygody, lecz wizerunki splecionych namiętnych kochanków zastąpiły frontalne obrazy nagich kobiet, a erekcję przedstawiano już głównie u satyrów, jako alegorię zwierzęcych żądz. Najbardziej dosłowne, nielegalne obrazki sprzedawano ukradkiem, a stare matryce niekiedy wręcz przerabiano, żeby je dostosować do szerszej publiczności i nie urazić cenzury.

Rewolucji technologicznej oczywiście nie dało się powstrzymać. ●

Anna Brzezińska – pisarka, gwiazda polskiej fantastyki, mediewistka

• **Jedna z rycin z XVI-wiecznego zbioru rysunków „Il Modi” („Pozycje”) Giulia Romano, ucznia Rafaela**
FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl 828ea60232

weekendówka 188

STO LAT, PANAS!

Pamiętacie, jakie plakaty wisiały u was na ścianach w pokoju? U mnie w szczenięcych latach 80. na pewno był tam niemiecki tenisista Carl-Uwe Steeb oraz gwiazda serialu „Północ-Południe" James Read, który grał postać George'a Hazarda (wisiały jeszcze jakieś inne plakaty, potem głównie koszykarskie, ale to w drugim, nomen omen, rzucie dopiero). Czy byłem wielkim fanem talentu Steeba tudzież Reada? Bynajmniej – po prostu te plakaty znalazłem w starym numerze niemieckiego „Bravo", który nabyłem na bazarku pod Halą Banacha. Zresztą plakat Jamesa Reada rychło podarowałem koleżance z klasy, bo ona dalece większą fanką tegoż była.

Znacznie lepiej pamiętam postery w pokoju mojej siostry Aleksandry. Tam królowie byli tylko jedni – grupa Lady Pank. Szczególnie jeden z plakatów wybija się w moich wspomnieniach, bowiem tego plakatu bał się trochę mój młodszy kuzyn, kiedy wraz rodziną przyjeżdżali do nas w odwiedziny. Czy to pokryta makijażem twarz Pawła Mścisławskiego, Jarosława Szlagowskiego czy Janusza Panasewicza taką budziła grozę? Stawiam na kogoś z tej trójki.

Jako się rzekło, ja swoich ludzi z plakatu nie darzyłem zbytnią estymą, za to Ola Lady Pank uwielbiała, wraz ze swoją serdeczną przyjaciółką Alicją starały się nie opuszczać żadnego koncertu, działały w fanklubie zespołu i fotami ze swymi idolami poszczycić się mogły.

Najcenniejsze były oczywiście fotki z Januszem Panasewiczem, popularnym Panasem, charyzmatycznym wokalistą i frontmanem grupy.

I tak dochodzimy do bohatera dzisiejszej „Weekendówki" – otóż jutro, 18 stycznia rzeczony Panas będzie świętował 70 urodziny. Życzymy mu wszelkiej pomyślności i z tej okazji zapraszamy do „Weekendówki" o Lady Pank.

Choć gwoli ścisłości Janusz Panasewicz nie wykonywał początkowo utworu, który dał potem nazwę grupie. Piosenkę, pierwszą w dorobku zespołu, śpiewał najpierw w 1981 roku inny filar bandu, Jan Borysewicz. Panasewicz dołączył do składu niewiele później, a pierwsze utwory, którym dał wokal, to „Tańcz, głupia, tańcz" i „Minus 10 w Rio" (to dziś mój ulubiony kawałek LP).

A skoro już o ścisłości... Janusz Panasewicz naprawdę ma na imię Jan. „Stał się" Januszem po to, by nie mylono go z Borysewiczem właśnie.

Dziś Lady Pank to 19 studyjnych albumów, dwie ścieżki dźwiękowe do kapitalnego serialu animowanego „O dwóch takich co ukradli księżyc", ponad 200 autorskich kompozycji i rzesze fanów w różnym wieku.

„Czasami żartujemy sobie z Januszem: »Panas, ile jeszcze damy radę, pięć czy dziesięć lat?«. »Nie no, Jan, spokojnie dziesięć!«" – mówił w rozmowie z „Wyborczą" Jan Borysewicz w 2018 roku. Czyli gramy dalej! ●

Andrzej Kulasek, andrzej.kulasek@agora.pl

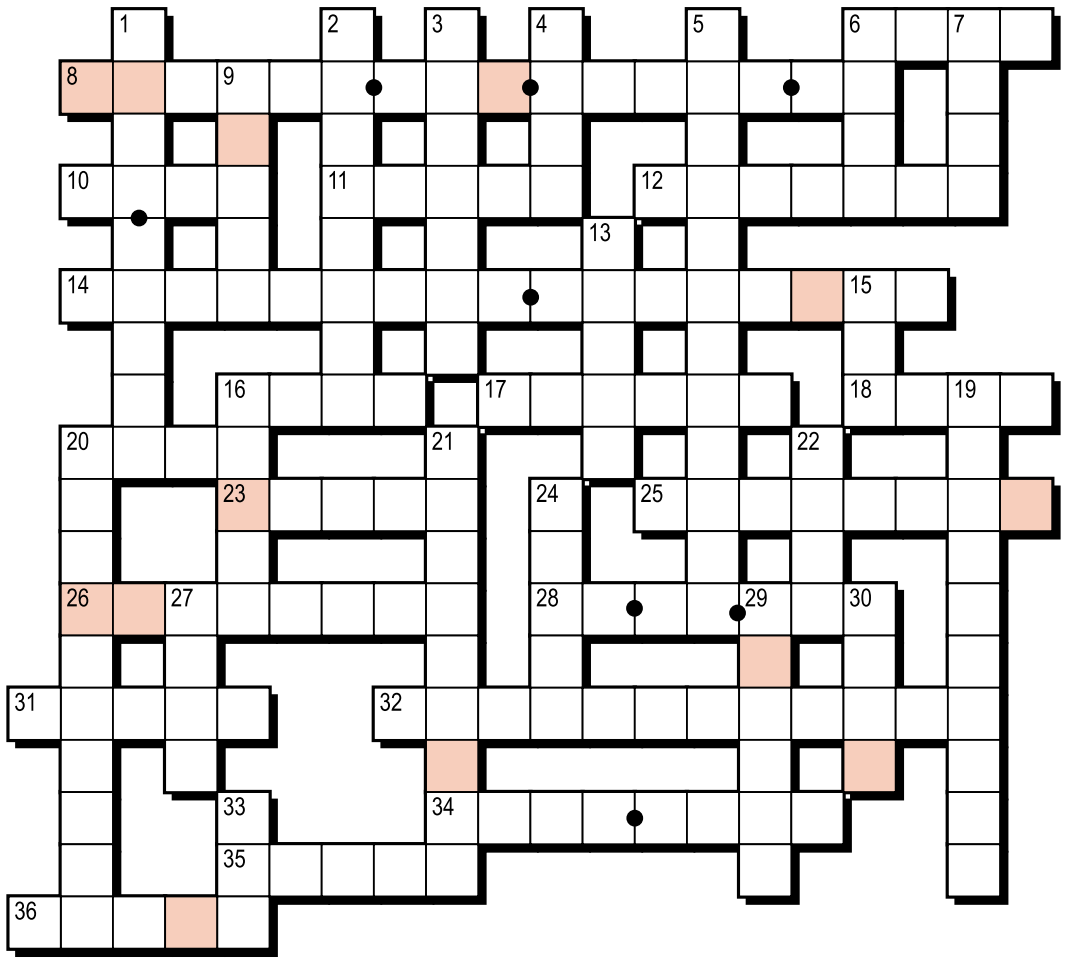

SŁOŃCEM OPĘTANI
Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
6) muzyka Lady Pank
8) ballada z „każdą nocą złotą"
10) płyta, po wysłuchaniu której „mnie nie chce się iść do domu"
11) ... koncertowa, niejedna w karierze zespołu
12) oficjalna ... zespołu: www.lady-pank.com
14) piosenka z tekstem Grzegorza Ciechowskiego („Tam ciągle gra muzyka i oni tańczą wciąż")
16) „Marchewkowe ... rośnie wokół mnie"
17) piosenka zaczynająca się słowami: „Gonią mnie siły złe, czas uciekać"
18) piosenka „... do B."
20) ... i papierosy, w tytule filmu dokumentalnego o zespole
23) „7-me ... nienawiści"
25) „W moich snach wciąż ... pełna ulic, placów, drzew" („Stacja ...")
26) „„Kryzysowa narzeczona" albo „Na co komu dziś"
28) piosenka z frazą w refrenie: „Jestem tu, jeśli chcesz się bić"
31) „Banalna ...: c'est la vie"
32) bałtycki kurort szczególnie lubiany przez fanów zespołu
34) „Samotna i zła, jakbyś z planety była zimnej..."
35) album z 1984 roku, z utworami „Zabij to", „Czas na mały blues"
36) „... i aids, Hollywood w stanie Kalifornia", w piosence „Bóg i boogie-woogie"

Pionowo:
1) „Aniołowie, jeśli tylko są, kryją się w metalowych bunkrach..."
2) w Opolu lub w Sopocie, wielokrotnie z udziałem Lady Pank
3) najtrudniejsza ze sztuk (odpowiedź w piosence z łabędzią nutą w refrenie)
4) „Nieufność to ..., co przynosi tylko ciszę", w piosence „Tacy sami"
5) „Za oknem skoro świt – ..."
6) znak zodiaku w tekście utworu „Uciekaj"
7) „Przecież wiara czyni ..., tak mówili mi od lat", w piosence „List"
9) w jego vademecum porady: „szanuj czas i pieniądz, zęby myj, zbieraj złom"
13) „... we wroga", z tekstem Jacka Skubikowskiego
15) „Jak ruchomy ..."
16) przydomek Janusza
19) „Fabryka małp, fabryka psów, rezerwat dzikich ..." (wpisujemy w mianowniku)
20) piosenka albo utwór instrumentalny
21) Janusz z określenia 16 pionowo
22) „Paru kumpli już tam jest, mówią, że krzyżyk piecze w ...", w tekście piosenki 1 pionowo
24) „Niedawno tak jeszcze było mi ..."
27) „Wciąż bardziej ..."
29) „... Butterfly", odrobina klasyki na symfonicznej płycie zespołu
30) „Nie wiem, kiedy przyszła tu, by zabrać mnie w ..." („F33")
33) „W swoich rękach trzymasz ..., to wolności głos"

Leszek Rydz

Rozwiązanie „Weekendówki" nr 187 z 10.01:

Poziomo:
4) parking 7) Fight Club 10) instalacje 11) jeżdżenie 12) garaże 13) sól 14) pani 16) kraina 19) Poe 21) ziemianki 23) gniazda 25) Raj 26) górnik 27) Kartagina 29) synonim 31) żwirowisko 32) Herakles 35) aktor 36) underground 38) Verne 39) legenda 40) nauka.

Pionowo:
1) mineralog 2) chodnik 3) obieg 4) pisarz 5) Kolce 6) nacisk 8) cmentarz 9) geologia 15) Anna In 17) metro 18) jaskinia 20) energia 22) krasnoludy 24) Arado 28) korzenie 29) srebro 30) maseczka 31) żyła 33) kolej 34) tunel 37) uran.

Hasło:
CIEMNE INTERESY

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34414082

Literówka · Quizy
Sudoku · Krzyżówki
Szukaj w APLIKACJI WYBORCZEJ

Zeskanuj QR kod i pobierz aplikację
POBIERZ Z Google Play
Pobierz w App Store
1 RP

eprasa.pl 828ea60232